

# ANNA KŁODZIŃSKA

## Wrak



### Rozdział 1

Hipy obsiadły skwer przy pomniku Mickiewicza, to było ich ulubione miejsce oprócz letniej herbaciarni w parku Łazienkowskim, na górze. Siedzieli rządkiem na ławkach, wszystko długowłose, przeważnie brodate, cicho o czymś rozmawiali. Dziewczyny były tylko dwie - Słowianka i Ta Pierwsza, o której mówiono, że dawniej chodziła z Prorokiem, teraz ją jakoś zaniedbał.

Sierpniowy wieczór nie przyniósł ochłodzenia, po zachodzie słońce grzało tak, jakby stało na środku nieba. Hipy porozpinały brudne koszule; ślady po żyletkach i paznokciach odznaczały się ostro na skórze. Ta Pierwsza nosiła znak na czole, mówiła, że to od Proroka. Że ciął ten znak powolutku, może kwadrans albo dłużej, ale nic nie czuła po zastrzyku Lucyny.

- Masz? - zainteresował się Andrzej, spojrzał na nią wyczekująco.

Potrząsnęła głową. O locynę było najtrudniej, a Prorok chodzi teraz z Malutką i dla niej się stara.

- Nic nie masz?... Naprawdę nic?

Wzruszyła ramionami, odrzuciła w tył długie ciemne włosy, ciężkie od kurzu i tłuste.

- W domu było gdzieś trochę Berksu – mruknęła niepewnie. Nie

wiedziała, czy opłaci się inwestować w Andrzeja, miał rodzinę, a ta rodzina miała pieniądze. - Ale chyba już zużyłam - dodała spiesznie. - Twój stary może dać forszę - próbowała.

Czarnobrody hip dosłyszał, wstał z końca ławki, przykucnął obok nich. Był bosy. Poprzedniej nocy gonila go banda chuliganów, uciekł, ale zgubił sandały. Pięty miał czarne od brudu i popękane.

- Masz w domu Berks? - spytał szeptem.

- Może - uśmiechnęła się tajemniczo. Lubiała zwracać na siebie uwagę. - Chcesz przyjść?

- Ona łże - powiedziała Słowianka zazdrośnie. - Dwa dni temu wzięliśmy wszystkie prochy, nic nie zostało. Ani odrobiny.

- Suszy mnie - powiedział Andrzej. Z trudem przełykał ślinę.

- Brałeś coś? - Czarnobrody patrzył na niego uważnie. Miał takie spojrzenie, jakby ciągle badał człowieka i nie wiedział, co w końcu o nim myśleć. Andrzej nie lubił tego hipa.

- Wczoraj - odparł niechętnie.

- Co?

- Tao - skrócił słowo, nie chciało mu się mówić.

- Taotil?

- Aha.

- Po tym trudno spać.

- Nie spałem.

- Skąd to wzięłeś?

- Mniejsza.

- To nic nie daje - upierał się czarnobrody. - Nie warto brać. Na co ci to było?

- Tak sobie. Na próbę. Cholera, co ja bym dał za locynę! - wykrzyknął i umilkł zaraz, trącony ostrzegawczo przez Tę Pierwszą. Po Krakowskim snuły się tłumy, okrzyk ze skweru mógł zaintrygować i przyciągnąć kogoś niepotrzebnego.

- Jemioła idzie! - powiedział któryś z ożywieniem.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę, skąd nadchodził nieduży, trochę przygarbiony mężczyzna w szn

urowanej, żółtej koszuli i z podłużnym medalem na sznurku, medal miał coś tam symbolizować. Ważne było, że Jemioła zawsze miał prochy.

Podszedł do nich jak zwykle pewny siebie, ironiczny i zadowolony.

- Bydlaki - rzekł z rozrzewnieniem, patrząc na ich wyczekujące twarze. - Co byśta beze mnie zrobiły!

Jemioła stylizował się na chłopca, podobno jego przodkowie pochodzili ze wsi, ale to musiało być ogromnie dawno. Stał nad nimi, podparty pod boki, włosy w strąkach opadały mu na opalone czoło. Otarł pot wierzchem dłoni, uśmiechnął się do Słowianki, podobała mu się od paru dni.

- Masz? - wyręczył tamtych Andrzej. Grdyka chodziła mu jak śliwka, znowu nie mógł przełknąć śliny.

- Mam - odparł Jemioła z triumfem. - Chodźta do mnie. Starczy na noc. Dla wszystkich.

Podał rękę Słowiance, ściągnął ją z ławki, otoczył ramieniem i poprowadził, jak w pierwszą parę w tańcu, reszta szła za nim. Andrzej włókł się na końcu, było mu trochę niedobrze. Bał się przyznać, że nigdy jeszcze nie zażywał locyny i nie wiedział, jak na nią zareaguje. Był już świadkiem - przerażonym, milczącym świadkiem - paru różnych reakcji

organizmu na nowy środek psychotropowy i wiedział, że jakakolwiek pomoc czy współczucie było w tym gronie niemodne. Wywlekało się po prostu gościa gdzieś w krzaki, aby doszedł” - obojętnie, do czego. Najmłodszą, jasnowłosą Hanię w porę znaleźli przechodnie, w szpitalu wiele się nabiedzili, aby ją odratować. Hania nie zdradziła nikogo z hipów, może zresztą dlatego, że знаła tylko ich imiona lub pseudonimy, a żadnego adresu.

O locynie mówili mu, że wizje są czasami kolorowe. Gdzieś wyczytał, że nowemu władcy Inków czy Azteków dawano w tamtych czasach wyciąg z meksykańskich grzybów, zawierający locynę, i zamykano go w izolowanym pomieszczeniu. Władca miał fantastyczne wizje, z których po ocknięciu się prorokował podwładnym. W książce nie było jednak podane, co się dzieje z człowiekiem” zanim ogarną go wizje, i tego przejściowego okresu bał się, choć jednocześnie bardzo pragnął spróbować.

Jemioła mieszkał daleko, aż w Marysinie Wawerskim. Miał tam pokój z kuchnią, na parterze od podwórza, dom był w ogóle mały, stary i reszta lokatorów nie interesowała się cudzymi sprawami, za takie rzeczy można było tu oberwać pięścią lub nożem. Mieszkanie należało do rodziców Jemioły, ale nie było ich. Tak właśnie mówił: „nie ma ich” i każdy musiał na tym poprzestać, Jemioła nie lubił zbędnych pytań.

Andrzej był tu dwa, może trzy razy. Zazwyczaj w domu było brudno i smrodliwie, toteż zdziwił się zmianom, jakie teraz zastał. Pokój był posprzątanym, wywietrzonym, na tapczanie leżał nowy koc, krzesła - połamane, kulawe - zastąpiono kilkoma fotelikami.

- Dorobiłeś się? - spytał zdziwiony.

Któryś parsknął śmiechem, spoglądali na siebie znacząco. Jemioła zażenowany przestępował z nogi na nogę, coraz to rzucając okiem na Słowiankę. Zrozumiała, że to dla niej ta cała parada, zachichotała, trochę jej to pochlebiło, chociaż nie ceniła zbytnio Jemioły.

Rozłożyli się po pokoju. Ta Pierwsza ściągnęła koc na podłogę, wyciągnęła się jak długa, zamruczała sennie. Jemioła przesuwając wzrokiem po twarzach i widział z zadowoleniem, że patrzą na niego pół prosząco, pół groźnie. Nie mógł jednak przeciągać struny, było ich sześcioro z dziewczętami, a on jeden. Toteż mimo iż przewaga, jaką miał w tej chwili, dawała mu wiele satysfakcji, rzekł spieszenie:

- Andrzej dostanie pierwszy. Potem wszyscy.

- Dlaczego ja?! - Przestraszył się, zaraz potem opanował ten strach, tak było trzeba, taki był fason.

- Ty. Bo nie brałeś - Jemioła uśmiechnął się złośliwie.

- Brałem! - krzyknął. - Chyba ze trzy razy albo i więcej.

Patrzyli na niego, Słowianka zmrużyła ładne oczy, ziewnęła. Zaczerwieniony, zrzucił koszulę i nadstawił rękę, tyle wiedział, że locynę dawali sobie w zastrzykach.

- Kto zaszpili? - Jemioła wyjął ze stolika strzykawkę i ampułki.

- Ja mogę - Ta Pierwsza uniosła się z podłogi, pod-czołgała do Andrzeja. - Lubię kłuć - pokazała zęby w uśmiechu.

Zresztą robiła to dobrze, przyznał głośno, czując szybkie i lekkie ukłucie w ramię. Oparł się wygodnie o poduszkę, odetchnął głęboko, przymknął oczy.

Przez pewien czas nic nie nadchodziło, nie ogarniało go ani podniecenie, ani senność, więc pomyślał, że być może Jemioła wystawił

go do wiatru i już chciał mu nawymyślać. Rychło jednak zrozumiał - tak, właśnie było to zrozumienie sytuacji, zupełnie wyraźne - że Jemioła był kiedyś, może wczoraj, a może rok temu, tak samo oni wszyscy, tak samo zresztą i on. Czas rozwiął mu się nagle jak smuga dymu i znikł, nie pozostawiając śladu. Czasu po prostu nie było, wszystko mogło istnieć dziś czy sto lat temu albo kiedyś.

- Zabawne - mruknął, próbując to ogarnąć myślą, ale nie było mu potrzebne, czas nie był potrzebny do niczego i dziwił się tylko, że kiedyś było to dla niego ważne.

Poruszył się w fotelu, uniósł rękę i poczuł, że może ją trzymać w powietrzu bez żadnego wysiłku. Chwycił ze stołu dużą szklaną popielniczkę.

- No, no! - ostrzegł Jemioła, cofając się - tylko bez kawałów!

Andrzej roześmiał się. Wcale nie chciał rzucać. Chciał trzymać rękę z tą ciężką popielniczką, wyciągniętą poziomo nad podłogą, nie czuł swoich mięśni, ich wysiłku, ręka nie mdlała i stwierdził to z ogromnym zdumieniem. Równocześnie jednak spocił się na całym ciele, serce biło mocno, nierówno, słyszał to bicie, krew pulsowała w żyłach.

Czarnobrody hip przysunął się do niego, spytał szeptem:

- Widzisz coś?

Andrzej nie odpowiedział. Hip wydał mu się tak okropnie zabawny, że wybuchnął długim, niepohamowanym śmiechem. Zresztą śmieszyło go teraz wszystko, wystarczyło kiwnięcie palcem przez Jemiołę, który obserwował go z wielką uwagą. Zaśmiewał się, chichotał, łzy ciekły mu po policzkach.

- Spróbuj przestać! - zażądał nagle Jemioła.

Spróbował, ale nie udawało się, wcale nie chciał przestać i rozgniewał się, po co mu przeszkadzali, niech sobie idą. Pokój wirował dokoła niego, ściany wędrowały w górę i w dół, były zielone, potem zamieniły się w kolorowe groty i jaskinie, szedł tamtędy, biegł, frunął, nie spadał.

Nie wiedział, że przez ten czas pozostali wstrzyknęli sobie wzajemnie locynę, że przeżywali - podobnie jak on - przerażające wizje, nieprzytomni, mokrzy od potu, z sercem bijącym wściekle, porzuceni po pokoju w najdziwniejszych pozycjach, nie pamiętający o świecie. Tylko Jemioła był trzeźwy. On jeden nie przyjął zastrzyku i śledził przez cały czas reagowanie Andrzeja na trujący lek.

Po kilku godzinach, gdzieś koło północy, uniósł mu głowę i zmusił do wypicia ćwiartki wódki. Alkohol przerwał wizje. Chłopak ocknął się, przetarł oczy. Szumiało mu w uszach, serce wciąż nieprzyjemnie dawało znać o sobie, ciało było mokre i lepkie w dotknięciu.

- Te, szprycer! Idź do domu - powiedział Jemioła. - Żaden z was nie może tu zostać.

- Nigdzie nie pójdę - mruknął, próbując z powrotem wyciągnąć się na fotelu.

Ale tamten szarpnął go za nagie ramię, popchnął kolanem. Rzucił mu mokry ręcznik do otarcia, podał koszulę. Potem wyprowadził na dwór. Szli pustą, ciemną uliczką, nocny autobus był dość daleko stąd. Jemioła prowadził Andrzeja, mocno ściskając go za rękę, jakby się bał, że tamten wyrwie mu się i zawróci. Zaprowadził go na przystanek, wcisnął bilet w niezdarne palce, a kiedy autobus nadjechał, wepchnął go do środka i znikł w ciemności.

Andrzej przysiadł z westchnieniem. W wozie było prawie pusto. Próbował zebrać myśli, ale nie pamiętał w tej chwili nic, zapomniał swego nazwiska, adresu, zapomniał, gdzie był i co robił. Kiwał się na zakrętach, głowa opadła mu na piersi, skądś wiało, próbował więc zapiąć koszulę, ale palce rozłaziły się i gmerały nieporadnie dokoła guzików.

Kiedy zobaczył przez okna dużo świateł i autobus zatrzymał się na przystanku, wygramolił się, bo zdawało mu się, że powinien był tak zrobić, chociaż nie śpieszył się nigdzie. Był przy rotundzie PKO w Alejach Jerozolimskich, ale nie rozpoznał ulicy. Przeszedł kilka kroków i zwałił się na chodnik.

W kwadrans później szara „Warszawa” zatrzymała się w pobliżu. Wyskoczyło z niej dwóch pracowników służby wywiadowczej z komendy w śródmieściu.

- Pijaczek - stwierdził szczupły, ciemnowłosy, w zielonej wiatrówce.
- Spytaj, czy nie ma „Nysy” w pobliżu.

Drugi wywiadowca, krępy i przysadzisty, ubrany w jasną marynarkę i trochę ciemniejsze spodnie, podszedł do samochodu. Siedział tam kierowca, z radiostacji dobiegał zniecierpliwiony głos oficera na stanowisku dowodzenia.

- Co jest? - spytał kierowca.
- „Nysę” trzeba ściągnąć - ziewnął przysadzisty. Obszedł wóz dokoła, wsunął się na przednie siedzenie, uruchomił nadajnik i powiedział:
  - Dwadzieścia trzy, tu osiem-trzyście.
  - Słucham cię, osiem-trzyście.
  - Mam pijaczka na Jerozolimskich, przy rotundzie.
  - Wszystkie „Nysy” zajęte, nie ma żadnej w twoim rejonie. Zabierz



go do KD.

- Dobra, dwadzieścia trzy.

- A jak mi zaświni wóz? - zaprotestował kierowca.

- Cóż ja ci poradzę... - westchnął.

Wygramolił się z radiowozu, zataszczyli Andrzeja na tylne siedzenie, leciał im przez ręce, nieprzytomny, błądy. Ułożyli go jakoś i pojechali na Wilczą. Do komendy wnieśli go na kocu, bojąc się, że im po drodze zrobi brzydki kawał.

- Co to jest? - skrzywił się oficer dyżurny i wycelował palcem w długi tobołek.

- Kleopatra! - zaśmiał się ciemnowłosy, wyturlając chłopaka na podłogę poczekalni.

- Co za Kleopatra? - oficer nie był na filmie, zresztą o drugiej nad ranem tracił poczucie humoru. - Po coście go tu przywieźli, jak pragnę skonać! To już nie ma Izby Wytrzeźwień?

- Nie było „Nysy”. Kazali do komendy.

Nagle Andrzej zbudził się i usiadł. Błędnymi oczami spoglądał na stojących dookoła milicjantów, próbował zrozumieć, co się stało. Czuł potworny ból głowy, dokuczało serce.

- Gdzieś się tak schlał? - mruknął dyżurny. Chłopak poruszył ustami, chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Ciemnowłosy wywiadowca pochylił się nad nim.

- Jak się nazywasz? - spytał.

- An...drzej...

- Świetnie, Andrzej. A dalej?

Cze...nnn - wybąkał, całym wysiłkiem woli skupiając myśli.

- Jak? Powtórz!

- Co się będziecie z nim cackać. Przyjedzie „Nysa”, zabierze go na Kolską. Spisz notatkę, i tyle.

- Poczekaj - wywiadowca wciąż przypatrywał się chłopakowi, który wstał z jękiem, zatoczył się i usiadł na podsuniętym krzeselku. - Coś mi się tu nie podoba. Więc jak się nazywasz?.

- Andrzej..! Czertwan.

- Masz dowód osobisty?

Pokręcił głową przecząco. Kieszenie spodni były puste, koszula w ogóle ich nie miała.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście skończyłem... w czerwcu.

- Gdzie mieszkasz?

- Na... Bielanych. Ogólna... dwadzieścia trzy.

- Z rodzicami?

- Czeka! - wtrącił się nagle oficer dyżurny. - Jak on powiedział: Czertwan? Kim jest twój ojciec? - zwrócił się do chłopca.

- Tam... w jednej fabryce.

Słuchaj - oficer kiwnął głową na wywiadowcę, odszedł z nim na bok. - Jego stary to może być ten dyrektor z „Poksydu”. Wiesz, tworzywa sztuczne. Na Służewcu. Spytaj, jak ojciec ma na imię, a ja zaraz sprawdzę - wyszedł z poczekalni.

- Co ojciec robi w tej fabryce? - Ciemnowłosey zwrócił się do chłopca.

- Główny inżynier.

- Jak mu na imię?

- Zbigniew.

- Pracuje w „Poksydzie”?

- Tak. Odp... się! - krzyknął nagle, rozgniewany.

- Wolnego, bracie. Nie tak ostro. Więc gdzie ojciec pracuje?

- W „Poksydzie”. - Głowa zwisała mu na piersi, usnął na chwilę.

- Gdzie piłeś? - Ciemnowłosa badał nieustępliwie.

- Nie piłem.

- I czego zalewasz pałę. Jedzie od ciebie wódka... - urwał, przyglądał się w zadumie ramieniu chłopca, przesunął palcami po opalanej skórze. - A to, gdzieś sobie zafundował?

Andrzej spojrział na rękę, zobaczył świeży ślad po zastrzyku. Raptem przypomniał sobie wszystko. Zsrwał się z krzesła, chciał uciec, ale wywiadowca przytrzymał go za ramię i zmusił do zajęcia miejsca. Wrócił oficer dyżurny.

- No, jak? - spytał.

- Zgadza się - odparł wywiadowca. - To syn tamtego. Młody Czertwan.

- Ale się ojciec ucieszy! I nie wstyd ci?

- Że piłem? - Chłopak spojrział na niego ponuro. - A pan to nigdy nie wypije? A wy wszyscy?

- Ależ owszem! - roześmiał się ciemnowłosa. - Tylko że się nie zalewam do nieprzytomności. I nie znajdują mnie na chodniku, o drugiej nad ranem, urzniętego jak bela. A w dodatku po zastrzyku... przyznaj się, co brałeś? Morfinę?

- Ładna historia - mruknął oficer i wyszedł, bo z dyżurki dobiegł terkot telefonu.

- Nic nie brałem. Zwykły zastrzyk, w przychodni. Na... ten, na wzmocnienie.

Wywiadowca pokiwał głową z wyrzutem. Porucznik Kotowicz z wydziału dochodzeniowego, obserwujący tę scenę od paru minut, zbliżył się do Andrzeja. Miał w notesie i w pamięci wielu hippiesów warszawskich, znał ich twarze, adresy, kontakty, wiedział, kto aktualnie z kim śpi, a kto z kim zerwał. Dawało mu to pewną przewagę w ich środowisku, nie mogli go zaskoczyć błazeństwami i fantazjowaniem na swoje tematy, co bardzo lubili.

Czertwana jednak nie znał, to go trochę zdziwiło. „Nowy - pomyślał z przykrością. - Jeszcze jeden”.

- Chcesz kawy? - spytał. - Mocnej, gorącej kawy?

- O, tak! Proszę! - Andrzejowi na samą myśl o kawie zmniejszył się jakby piekielny ból głowy. Wstał posłusznie,” poszedł z porucznikiem na górę. Kotowicz przyrządził szklanekę marago, sypnął cukru z torby.

- Pij - podał mu. - To ci dobrze zrobi. Potem patrzył, jak chłopak chciwymi, drobnymi łykami pije wrzący płyn, parząc wargi z pośpiechu.

- Oczywiście, rodzice o tym wszystkim nie wiedzą - powiedział oficer jakby do siebie.

Czertwan odstawił pustą szklanekę na stół, ręce mu trochę drżały. Zgarbił się na krześle, zapatrzył gdzieś w kąt pokoju.

- Matka wie?

- Matka nie żyje. Dawno.

- Z ojcem jesteś w dobrych kontaktach?

- Jak czasem.

- Źle ci w domu?

Wzruszył ramionami, spróbował się uśmiechnąć, wyszło to trochę żałośnie.

- Nie, dlaczego? - zaprotestował. - Dobrze mi.

- Masz rodzeństwo?

- Siostrę. Młodsza, ma dwanaście.

- Kłopoty z nauką?

- Nie. Zdałem do ostatniej licealnej.

- To na przyszły rok matura?

- Tak. Chyba tak - dodał niepewnie.

- Dziewczyna ci dała w kość?

- Nie. Zresztą nie mam dziewczyny.

- Chłopakami się chyba nie interesujesz? Andrzej poczerwieniał.

- Co pan! - rzucił gniewnie.

- Dobra. Palisz? - podsunął mu papierosy i zapalki. - Jak się czujesz?

- Lepiej. Głowa mnie boli. Pójdę już - chciał wstać, ale oficer powstrzymał go ruchem ręki.

- Poczekaj. Zaraz pójdziesz. Zresztą odwiozę cię. Niech kawa podziała, bo masz jeszcze miękkie nogi.

Palili chwilę w milczeniu, Kotowicz oglądał sobie chłopaka z uwagą, w końcu rzekł:

- Wizje były kolorowe, prawda?

- Kolorowe - przyświadczył mimo woli i zaciął wargi.

- Mnie nie ocyganisz. Z kim byłeś? Z Jemiołą?... Słowianka też z wami była? I ten czarny, jak mu tam... No, ten z brodą. Aha, Mefisto... Dobra, nie chcesz mówić, to nie mów. Wąchaliście Tri czy Ixi pod prześcieradłem?

- Nic nie wachaliśmy - odparł obrażonym tonem. - To dobre dla gówniarzy.

- A wy dorośli, prawda. Powiedz, co było w robocie, Berks? A może locyna?

Andrzej milczał.

- I po coś ty do nich przystała! Chłopak z porządnego domu, niedługo kończysz szkołę, po cholere zachciało ci się truć. Przyjrzyj im się wszystkim na trzeźwo, w biały dzień. Zobacz, jak wyglądają, jakie mają nieprzytomne oczy, jaką skórę, porzniętą żyłkami. Słuchaj, Andrzej - położył mu rękę na ramieniu, patrzył w oczy - myśmy nie tak dawno brali osiemdziesięciu na badania lekarskie. Wiesz, ilu wśród nich było chorych? Oczywiście nie wiesz. Siedemdziesięcioro i dwoje. Kiła albo płuca zajęte, albo jedno i drugie. Uszkodzenia wątroby, nerek, wrzody w żołądku. Wraki, nie ludzie. A najstarszy nie miał trzydziestki. Do czego chcesz doprowadzić swój organizm? Drugiego nie kupisz, w sklepach nie sprzedają.

Czertwan wciąż milczał, uciekał wzrokiem w dół, to na boki. Kotowicz wstał, westchnął ciężko.

- Dobra, pojedziemy. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Nie mam żadnego interesu, żeby tobą w życiu kierować, ale nie mogę patrzeć, co wy ze sobą robicie.

Andrzej uniósł głowę i wybuchnął:

- Pan myśli, że to łatwo się odzwyczaić? To się panu tylko zdaje! A zresztą, co tam... Nic mi nie będzie.

- Powiedz mi jedno, ale szczerze: jak długo chodzisz z hippiesami?

- Nie pamiętam. Miesiąc, może półtora.

- To masz jeszcze pełną szansę, żeby zerwać. Ty sam. Nikt tego za ciebie nie zrobi. Nie zatrzymam cię teraz, bo wiem, że mi się wszystkiego wyprzesz i nie zbiorę dowodów. Ale pamiętaj! Jeżeli cię nakryję na melinie u któregoś z nich, będziemy inaczej rozmawiali.

Czertwan rozważał coś w myślach, potem rzekł prosząco:

- Niech pan nie mówi ojcu, dobrze?

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Jeżeli dasz mi teraz słowo, że nie weźmiesz więcej żadnego środka psychotropowego. Rozumiesz, co to jest, te środki?

- Wiem. Ale... - zawahał się. - Nie potrafię tak od razu.

- Musisz od razu. Nie jesteś jeszcze nałogowcem. No, więc?

- Dobra, niech będzie - mruknął.

Wyszli z komendy, wsiedli do kremowej „Syreny”, pojechali na Bielany. Na dworze było już jasno, zapowiadał się upalny dzień. Kotowicz, prowadząc wóz, myślał o siedzącym z tyłu chłopaku. Nie wierzył w dane słowo, Czertwan rzucił je na odczepne, aby prędzej zakończyć rozmowę.

Zatrzymali się przed domem na Ogólnej. Na osiedlu zaczął się już poranny ruch, szczękały metalowe pojemniki z butelkami, pełnymi mleka, ktoś zapuszczał silnik samochodu. Porucznik odwrócił się do Andrzeja i zobaczył, że ten śpi, rozwalony na siedzeniu, z głową opartą o drzwiczki. Szarpnął go za rękę, rozbudził.

- Idź do domu - powiedział. Był piekielnie zmęczony, miał za sobą prawie dwadzieścia cztery godziny służby.

Czertwan wygramolił się z wozu, przeciągnął, wstrząsnął nim

dreszcz nie przespanej nocy i wszystkich jej atrakcji.

- Dobranoc - mruknął. Nie był pewien, czy tamten chce mu podać rękę, więc na wszelki wypadek wsadził swoją w kieszeń i oddalił się spieszenie.

Kotowicz patrzył za nim przez chwilę, jakby chcąc utrwalić w pamięci sylwetkę chłopca. Potem zawrócił w stronę Śródmieścia.

\*

Zbigniew Czertwan zbudził się, właściwie obudził go delikatny szmer klucza w drzwiach wejściowych. Spojrzył na zegarek, była czwarta.

- Znowu - szepnął. Zapalił papierosa, narzucił kurtkę od piżamy i wyszedł do przedpokoju. Jego siedemnastoletni syn zamykał właśnie zasuwę na drzwiach. Spostrzegłszy ojca, znieruchomiał, ręce opadły mu bezwładnie.

- Gdzie byłeś? - spytał dyrektor Czertwan. Mówił półgłosem, nie chciał zbudzić córki, śpiącej w małym pokoiku obok wejścia.

- U kolegi - bąknął Andrzej. - Odwiózł mnie teraz.

- Aż do rana u kolegi? Co wyście robili?

- Bawiliśmy się. Zmęczony jestem, chcę spać - wyminął ojca, skierował się do swego pokoju. Na progu zawahał się, odwrócił. - Przecież jeszcze nie ma szkoły - rzekł tonem usprawiedliwienia. - Co ci przeszkadza, że się bawię?

- Ty piłeś - stwierdził ojciec, czując w powietrzu zapach alkoholu. - Cały jesteś przesiąknięty wódką i dymem. Oczy masz czerwone, jesteś blady. To nie pierwszy raz, Andrzej!

- Może odłożymy to śle... tę rozmowę na jutro, dobrze? Dobranoc - trzasnął drzwiami od pokoju, przekręcił klucz z tamtej strony. Rzucił się na



tapczan, od razu zasnął.

Czertwan powstał chwilę pod drzwiami, potem wrócił do siebie, zgasił papierosa, wyciągnął się na pościeli, ale już nie mógł usnąć. Przed szóstą wstał, jak zwykle, za dwadzieścia siódma wsiadł do służbowej „Warszawy” i odjechał do fabryki. W drodze postanowił, że dziś jeszcze stanowczo przeprowadzi z synem zasadniczą rozmowę.

\*

- Proszę pana, to jest nasz dołek!

Kapitan Szczęsny leżał nieruchomo, wyciągnięty na piasku twarzą w kierunku słońca, usiłując nie kojarzyć tych słów, wypowiedzianych po raz drugi tonem wzburzenia, z własnym, ciepłym dołkiem na plaży. Wmawiał sobie, że to chodzi o kogoś zupełnie innego, chociaż przez szpary w powiekach widział stojące tuż obok boscie nogi w ilości niezliczonej. Musiała to być cała rodzina.

- Coś podobnego! - powiedział kobiecy głos. - Józek, rusz się, zrób coś!

- Nic nie zrobię - odparł męski głos. - Chodź, wykopimy inny.

- Ja będę kopał, tato! Ja! - rozdarło się młodsze pokolenie trojgiem głosów. - Nie, ja! Właśnie, że nie ty. Idź sobie!

Na Szczęsnego poleciała fontanna piachu, coś niedużego przetoczyło się po jego nogach, rozległ się wrzask, duży cień przesłonił mu na chwilę słońce. Wytrzymał wszystko, cierpliwie udawał, że śpi. Głosy oddaliły się, widocznie rodzina zrezygnowała z dołka. Wtedy ułożył się wygodniej, poprawił koc i strzepnął z niego piasek.

Właściwie myśli jego były w tej chwili trochę smutne. Ostatni dzień urlopu nad morzem i przy fantastycznej pogodzie nastrojał smętnie. Na

wspomnienie dusznej, zakurzonej Warszawy poczuł, że ogarnia go melancholia. W dodatku dziewczyna, z którą spędził prawie dwa tygodnie, musiała odjechać już wczoraj i pożegnanie wcale nie było wesołe. Dziewczyna nie mieszkała w Warszawie, może więc zobaczą się dopiero za miesiąc czy dwa, a może i za pół roku.

Szczęśny wiedział dobrze - i czuł wskutek tego ogromne wyrzuty sumienia - że po powrocie wspomnienie0 szalonej dziewczynie rozplynie się w wirze codziennych zajęć, zblednie, po prostu zatrze się w pamięci. Powtarzał sobie teraz, że byłoby słuszniej, gdyby to ona zerwała pierwsza, od razu, bez skrpułów, z rozsądku - i na myśl o tym zrobiło mu się zupełnie niewesoło, bo w czysto męskim egoizmie wcale tego sobie nie życzył.

Westchnął, wstał z koca, odłożył ciemne okulary i pobiegł do wody. Morze było tak ciepłe, jak tylko może być w Bałtyku, to znaczy nie bardzo. Mało kto siedział w wodzie, chociaż plaża była pełna aż do granic możliwości. Szczęśny pokręcił się trochę blisko brzegu, aby przyzwyczać rozgrzaną skórę do nowej temperatury, potem wszedł głębiej i popłynął. Umiał to robić dobrze, nawet bardzo dobrze. Jego śniade, mocno opalone ciało przemykało się przez spokojną wodę i oddalało coraz bardziej, aż spłoszeni ratownicy zaczęli gwizdać alarmująco. Rozśmieszyło go to, ale docenił ich dobre chęci i zawrócił. Pływał potem równolegle do brzegu, tam gdzie woda była głęboka, wolna od wszelkich gumowych materacy, nadymanych wielorybów i innych obrzydliwości, z rozwalonym wczasowiczem pośrodku.

Kochał morze miłością skrytą, wieloletnią, nie potrafił o nim mówić ani czytać, nie znosił „morskich” obrazów, wszystkie były okropne, żaden

nie oddawał prawdy. Nie znał oceanu, sądził jednak, że jest jeszcze piękniejszy niż morze i kochał go w ciemno, na wyrost. Do gór podchodził z pewną rezerwą, było mu w nich ciasno.

Wyszedł wreszcie na piasek, otrząsnął się z wody, ułożył w dołku do wyschnięcia. Późnym popołudniem zdecydował, że trzeba iść na obiad, i z żalem pożegnał dołek. Jutro wróci tu jego prawowity właściciel albo też zajmie miejsce ktoś nowy, blady, zmęczony, ktoś rozpoczynający dopiero urlop.

Wieczorem szedł przez Ustronie szeroką asfaltową ulicą, zatłoczoną przez wczasowiczów i grupy młodzieży z okolicznych campingów i obozów letnich, cały ten rozgadany, wesoły, opalony tłum, niechętnie ustępujący z drogi przejeżdżającym samochodom. Jechały zresztą bardzo wolno, ledwie poruszały się, bo przechodnie tutaj nie rozróżniali chodnika od jezdni.

Minął „Ustroniankę”, z której rozlegały się donośne zawodzenia orkiestry, za przystankiem Pekaesu zapuścił się w niby szosę, niby ulicę obramowaną po obu stronach gęstym, pięknym lasem. Po godzinie zawrócił nad morze, długo siedział w koszu, patrząc na prawie nieruchome, ciemne, uspione jak żywa istota - i mówił mu do widzenia.

Na drugi dzień był już w Warszawie.

- Aleś się opalił! - stwierdzali koledzy i zaraz zaczynali o swoich sprawach. Pożalował ich, jak należało, niektórym życzył równie udanego urlopu, po tygodniu morze wracało już tylko w snach.

Któregoś dnia, kiedy przerwał bezowocne przesłuchanie w nudnej, mało ważnej sprawie i miał wyjść na obiad, zajrzał do pokoju major Czarliński, dawny kolega ze Szkoły Oficerskiej w Szczytnie. Pracował

teraz w komendzie dzielnicowej na Południowej Pradze.

- Masz chwilę czasu? - spytał.

- Chodź do kasyna - zaproponował Szczęsny. - Zjemy i pogadamy.

- Wolałbym tu. Parę minut, dosłownie.

- Oczywiście, siadaj. Jakież kłopoty w dzielnicy?

- Nie, to nie to. Widzisz, mam dobrego znajomego. On jest dyrektorem technicznym w fabryce „Poksyd” na Służewcu Przemysłowym.

- Wiem, tworzywa. Polistyren i coś tam jeszcze. Spora fabryka.

- Tak. Znajomy nazywa się Zbigniew Czertwan. Szczęsny poszukał w pamięci, ale nie znał żadnego Czertwana.

- No i? - podsunął majorowi papierosy. - Co mu się stało?

- Ma poważne zmartwienie z synem. Chłopak wdał się od pewnego czasu w paskudne towarzystwo.

- Kradnie?

- Nie. Włóczy się z hippiesami, pije, a co gorsze, zaczął używać narkotyków. Niedawno funkcjonariusze ze Śródmieścia znaleźli go o świcie na chodniku, spitego do nieprzytomności. Śmierdział wódką, ale na ramieniu miał ślady po zastrzykach. Kotowicz, który zajmuje się hippiesami, twierdzi, że chłopak brał któryś z tych środków psychotropowych, morfinę czy inne świństwo.

- Alkohol i morfina razem? - zdziwił się kapitan.

- Może tak, a może wódka na otrzeźwienie. Brzmi to paradoksalnie, ale Kotowicz twierdzi, że jeżeli po paru godzinach działania niektórych narkotyków wypić sporą ilość alkoholu, to na krótki czas człowiek trzeźwieje. Znikają wizje, i tak dalej. Potem oczywiście przychodzi jeszcze

gorszy kac.

- Poczekaj - Szczęśny zastanawiał się chwilę. - Z tego, co powiedziałaś, wynika, że chyba było ich conajmniej dwóch. Ten drugi podał Czertwanowi alkohol.

- Tak, przecież mówiłem ci, że on włóczy się z hippiesami.

- Chodzi mi o karalność. Wspólne używanie środków psychotropowych. Ile lat ma chłopak?

- Siedemnaście. We wrześniu rozpoczyna ostatni rok nauki. Ojciec boi się, że nie potrafi sam go odciągnąć od hippiesów. Prosił mnie o pomoc. A ty podobno interesujesz się narkotykami.

- Miałem dwie takie sprawy w robocie, potem przejęła dzielnica. Sprawy małego kalibru. Ale owszem, te rzeczy zawsze mnie ciekawiły.. Chcesz, żebym pogadał z chłopcem? Jak on ma na imię?

- Andrzej. Mieszkają na Bielanych, dam ci adres. Może najpierw porozmawiaj z ojcem; powie ci wszystko, co zaobserwował. Ja bym się tym zajął, ale za trzy dni wyjeżdżam do sanatorium na cały miesiąc, i już nie zdążę. Zrób to po koleżeńsku, bo, oczywiście nie mam prawa obarczać cię służbowymi sprawami. A może przy okazji wpadniesz na ciekawy trop?

- Ano, może - uśmiechnął się Szczęśny. Zapisał adres Czertwana, po krótkim namyśle sięgnął po słuchawkę i połączył się z sekretariatem głównego inżyniera „Poksydu”.

- Chciałbym mówić z dyrektorem Czertwanem - powiedział.

- Kto mówi?

- Kapitan Szczęśny z Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej.

- W jakiej sprawie? - Głos sekretarki był nieuprzejmy, więc odparł

sucho:

- To pani nie powinno interesować.

- Dyrektor każe mi się zawsze pytać - tłumaczyła, speszona. - Łączę pana...

Szczęśny tak określił Czertwanowi cel proponowanej wizyty: chodzi mu o jednego pracownika fabryki, z pewnych przyczyn nie należy o tym mówić w kadrach. Dyrektor zdziwił się trochę, spróbował przerzucić sprawę na naczelnego, westchnął i orzekł w końcu, że gotów jest przyjąć przedstawiciela komendy jutro o jedenastej.

- To bardzo miły facet - powiedział Czarliński. - Będę ci wdzięczny za pomoc. Chciałbym, aby udało się wyciągnąć chłopaka z tego bagienka.

- Powiedz mi jeszcze coś o jego rodzinie. Wolę wiedzieć to i owo, zanim będę rozmawiał z dyrektorem.

- No, więc Zbigniew jest wdowcem, ma oprócz Andrzeja córkę Basię, chyba dwunastoletnią. On sam będzie miał teraz ze czterdzieści pięć, sześć. Zawsze był zdolny, bystry, odważny. Służył w wojsku przez parę lat. Porucznik, zdaje się. Jeżeli dobrze pamiętam, toppanc.

- Służył za granicą czy tutaj?

- Tutaj, w I Armii. Potem straciłem go z oczu i spotkaliśmy się dopiero kilka lat temu. Już pracował w „Poksydzie”, najpierw w wydziale polistyrenu, potem skoczył wysoko, bo na zastępcę dyrektora do spraw technicznych. Wiem, że kończył chemię na Uniwersytecie Warszawskim. Miły chłop, cenię go i lubię. Możesz z nim szczerze rozmawiać. A ten Andrzej jeszcze pół roku temu był chłopakiem całkiem do rzeczy. Odwiedziłem ich parę razy i widziałem, że w rodzinie są dobre stosunki, ojciec dba o dzieciaki, jak może. Oczko w głowie, to Baśka... Śliczna

dziewczyna. Andrzej dobrze się uczył, z ojcem żyli w wielkiej komitywie. A teraz wszystko się zepsuło. Podobno potrafi przez całą noc gdzieś łązić, a potem wraca pijany. Zbyszek martwi się, gryzie, nie może z synem znaleźć kontaktu, jak dawniej. W fabryce roboty do cholery, a tu jeszcze w domu takie kłopoty. Gdyby była matka, może by przypilnowała.

- Dawno umarła?

- Basia miała wtedy cztery lata. Nie, sześć! Myślałem, że Czertwan ożeni się drugi raz, ale nie chciał. Jakiś czas mieszkała u nich ciotka Zbyszka i zajmowała się dziećmi. Potem zestarzała się mocno i było już jej za ciężko. Zdaje się, że wyjechała. Mają tam taką pomoc domową, obiady gotuje, sprząta, przepiera. Ale nie mają nikogo, kto by potrafił uczciwie zaopiekować się dziećmi.

- To już nie dzieci - zauważył Szczęsny. - Zwłaszcza Andrzej. Siedemnaście lat... człowieku, ja w jego wieku zarabiałem na życie. Prawda, że to były inne czasy.

Wyszli razem z komendy, kapitan skręcił do kasyna, zjadł obiad. Potem pojechał na Wilczą, do Komendy Dzielnicowej, odnalazł porucznika Kotowicza i rozmawiał z nim długo. Kotowicz sądził, że Czertwan został wciągnięty w grupę hippiesów dla wspomagania ich pieniędzmi ojca. Znał podobne przypadki, hipy polowały czasem na chłopaczków zamożnych „z domu”. Częstawali ich narkotykami, zachęcali do wspólnej włóczędzy po melinach i parkach.

Podstawowy trzon hippiesów składał się z grupy abnegatów życiowych, którym obce były troski dnia powszedniego. Niektórzy próbowali do swego trybu życia dopasować jakąś filozofię, trochę zasłyszaną, trochę przeczytaną, podpatrzoną w kinie. Robił się z tego

rodzimy, niesłuchanie wygodny bełkot.. Tym bełkotem tłumaczyli wszystko - że nic nie robią, że są brudni, oteźpiali. Ponieważ jednak chcieli poza tym jeść, pójść do kina, jakoś tam się ubrać, dlatego każdy nowy, który miał pieniądze, był ceną zdobyczą.

Tak też pewnie, sądził porucznik, było i z Czertwanem.

## Rozdział 2

Czwarty reaktor w wydziale polistyrenu trzeba było zatrzymać. Szef produkcji siny ze złości jękał się, jak zwykle, kiedy był zdenerwowany, i mało kto rozumiał, o co mu chodziło. Starszy majster sam wiedział, że nawalił zawór bezpieczeństwa na pokrywie reaktora. Ale szef pytał, z czyjej winy, a tego nie można było ustalić.

Kłócili się zajadle, pokrzykiwali. Kto mógł, odchodził od stanowiska roboczego, aby posłuchać kłótni. Nie lubili szefa produkcji. Był nieznośny, apodyktyczny, nie słuchał ludzi, do fabryki przyszedł z innej branży i uważali, że się nie zna.

Przy reaktorze ukazała się wysoka sylwetka dyrektora Czertwana, w rozpiętym zielonym kitlu. Umilkli przezornie i pochowali się na swoich miejscach. Tylko szef, który stał tyłem i nie dostrzegł dyrektora, wciąż wypluwał urywki słów, zły, że własny język nie pozwala mu się dokładnie wypowiedzieć.

- Co się stało? - spytał Czertwan, patrząc na majstra.

- Czwarty reaktor - odparł tamten. - Zawór bezpieczeństwa.

Szymczak i Piątkowski dadzą radę, nie potrwa ani pół godziny.

- Wła... właśnie, panie dy... dyrektorze - zaczął szef, ale Czertwan go



nie słuchał. Podszedł do korpusu „czwartego”, fachowym okiem rzucił na szybkie ruchy rąk dwóch robotników. - Jak króciec wylotowy pary?

- W porządku - mruknął Szymczak. Wyprostował się, skrzywił, bo zabolalo coś w plecach. - Zajdziecie po południu do komitetu, towarzyszu dyrektorze?

Był sekretarzem oddziałowej organizacji partyjnej członkiem egzekutywy KZ.

- Macie coś do mnie?

- Tak. Sprawy kadrowe - odparł krótko. Chodziło im o szefa produkcji, który wszystkim zalazł za skórę.

- Wpadnę o pół do czwartej.

Przeszedł do wyłaczarki ślimakowej, porozmawiał z robotnikami. Grube nitki polistyrenu wylażyły z kolumny polimeryzacyjnej jak olbrzymi makaron i wędrowały pod zimny natrysk.

Szef włókł się za dyrektorem krok w krok, czekając na okazję, aby wyłożyć swoje żale, jednakże Czertwan nie dał mu tej okazji. Zerknął na zegarek i wyszedł z hali. Zajrzał jeszcze do wydziału żywic epoksydowych, po czym zawrócił do budynku administracyjnego.

Kapitan Szczęsny czekał już w sekretariacie. Przywitani się i dyrektor zaprosił oficera do gabinetu. Był trochę roztargniony, myślał o czwartym reaktorze, postanowił szybko załatwić interesanta i wrócić na wydział polistyrenu. Jednocześnie zastanawiał się, jakie to sprawy kadrowe mają omówić w komitecie zakładowym i czy przypadkiem nie dotyczą, szefa produkcji. Sam był gotów go wyrzucić, poparcie załogi byłoby mu na rękę.

- Słucham, kapitanie - powiedział, z trudem odrywając myśli od

spraw produkcji. - O kogo chodzi?

- O Andrzeja - odparł Szczęsny. Czertwan zbladł, uniósł się na krześle.

- Co mu się stało? - szepnął, choć drzwi gabinetu były zamknięte.

- Nie, nic. Po prostu major Czarliński prosił mnie, abym panu pomógł w tej sprawie. Przez telefon nie chciałem mówić, o co chodzi, sekretarki czasem lubią, się włączać, wie pan.

- Ach, tak - dyrektor opadł na krzesło, zapalił papierosa. - Myślałem... proszę - podsunął paczkę „Extra mocnych”. - Złakłem się, że coś z nim.

- A w domu byłoby chyba niewygodnie - uzupełnił Szczęsny - właśnie ze względu na obecność syna.

- Tak, ma pan rację.

- Proszę mi opowiedzieć, jak to się zaczęło.

- No, więc... Napije się pan kawy?

- Chętnie.

Sekretarka przyniosła filiżanki, cukiernicę, po chwili wróciła z elektrycznym czajnikiem,- naląła kawę. Kiedy wyszła, dyrektor zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

- Andrzej ma siedemnaście lat, w tym roku szkolnym będzie zdawał maturę. Do wiosny, ściślej mówiąc, do połowy maja, nasze wzajemne stosunki były niemal idealne. Chłopiec uczył się dobrze, byliśmy w przyjaźni. We trójkę, bo mam jeszcze dwunastoletnią córkę, chodziliśmy do kina, w niedzielę wyjeżdżaliśmy poza miasto, rozmawialiśmy często o różnych problemach... To naprawdę zdolny, inteligentny chłopak. W połowie czerwca zauważyłem, że zaczyna wychodzić z domu sam, nie

mówiąc, dokąd idzie, czego przed tym nie robił. Ja wiem, że to już duży chłopiec, nie krępuję go, nie pilnuję jak małego dziecka, ale sądziłem, że prędzej czy później opowie mi o tym. Tak jak przyjacielowi. Myślałem zresztą, że znalazł jakąś dziewczynę, co byłoby normalne w jego wieku.

- I tak było?

- Niezupełnie. Kiedy spytałem go o to żartem, wykręcił się byle jaką odpowiedzią. Nie powracałem do tematu. Po zakończeniu szkoły jak gdyby wszystko wróciło do normy. W lipcu wyjechaliśmy we trójkę na urlop, samochodem. To były ostatnie tygodnie, kiedy nasze wzajemne stosunki były dobre. W sierpniu zaczął wychodzić z domu na całe wieczory, potem noce. Wracał pijany albo też, co mnie najbardziej przeraziło, jak gdyby pod wpływem narkotyków. Chciałem go zaprowadzić do lekarza, nie dał się. Zrobił mi awanturę. Sprowadziłem do domu dobrego znajomego, który jest lekarzem, aby choć obejrzał go i porozmawiał. Nie udało się, Andrzej po prostu nie zjawił się tego wieczoru. Próbowałem serdecznie, po przyjacielsku, wypytać go, co się stało, z kim tak nagle zaprzyjaźnił się, dokąd wychodzi na tyle godzin. Milczał albo odpowiadał byle co, na odczepne. Moja córka Basia, dziecko roztropne, też chciała jakoś go powstrzymać od wychodzenia, nawet żaliła się, że zostaje sama, że się boi. Nie pomogło. A przecież Andrzej ma dobre serce, jest wrażliwy i w gruncie rzeczy nas kocha. Teraz wiem, że wciągnęli go hippiesi, wie pan, ci długowłosi, brudni, używający narkotyków... Nie znam tego środowiska, nie mam czasu, aby stamtąd wydostać mego syna, choćby siłą! Ale, na miły Bóg, kiedyś dorwę się do nich i porozpędzam, nawet żebym miał potem...

Umilkł, znów sięgnął po papierosa. Szczęsny słuchał uważnie,

obserwując Czertwana. Dyrektor był przystojny, miał męską, mocną twarz, spojrzenie chwilami władcze, niemal dumne, chwilami znów pełne goryczy i rozżalenia. Widać było, że stara się za wszelką cenę opanować, ale przychodzi rnu to z trudem.

- Pan go bardzo kocha - powiedział.

- To mój syn - odparł Czertwan. Zagryzł wargi, siedział chwilę w milczeniu, potem rzekł cicho: - Nie mogę zostawić fabryki, ale po stokroć bardziej nie mogę stracić syna. A zdaję sobie sprawę z tego, czym grozi używanie narkotyków, zwłaszcza w tak młodym wieku. Gdybym mógł, tobym zabrał rodzinę i wyjechał daleko, do innego miasta. W kraju jest nie jedna fabryka tworzyw sztucznych. Któż mi jednak zaręczy, że i tam do niego nie dotrą? A poza tym, w „Poksydzie”, nie wiem, czy pan się orientuje, potrzebny jest na moim stanowisku doświadczony, długoletni fachowiec. Ja jestem takim fachowcem. Poznałem podobne fabryki na Zachodzie, mam skalę porównawczą i chcę nasze tworzywa postawić na wysokim poziomie. Mam tę ambicję. Gdyby nie Andrzej...

- Pomogę panu - rzekł Szczęsny. - W każdym razie zrobię, co będę mógł. Porozmawiam z kolegami. Dobierzemy się do tego towarzystwa, zobaczymy, kto go wciągnął i jak to się stało. Może to sprawa przypadku. Może wystarczy odciąć go od nich na pewien czas.

- Chciałbym tylko - Czertwan zawahał się - to znaczy, wolałbym, żeby...

- Rozumiem - przerwał kapitan. - Oczywiście, ta rozmowa zostanie między nami. Gdyby syn dowiedział się, że ojciec, jak się to mówi, napuścił na niego milicję... - uśmiechnął się.

- Właśnie! On by mi nigdy tego nie darował. A ja po prostu sam nie

daję sobie z tym rady, zwłaszcza przy moim wiecznym braku czasu. Zawsze sobie ze wszystkim radziłem. A z tym nie potrafię. Chciałem wysłać go do znajomych w Łokiewicach, moim mieście rodzinnym. A jednocześnie boję się stracić go z oczu. Poza tym w ostatnim roku szkolnym to by mogło być ryzykowne.

- Czy Andrzej ma jednego lub paru dobrych kolegów ze szkoły, takich, którzy mają na niego wpływ? Może jakąś porządną dziewczynę?

- Owszem, ma kolegów. Od dziewcząt też nie stroni. Ale tak było przed tym i teraz mało kto do niego przychodzi. Nie wiem, czy on sam nie chce, czy oni go zostawili. To mi jednak przypomniało, że przecież znam niektórych rodziców. Spróbuję z nimi pogadać. - Spojrzał na zegarek. - Przepraszam, muszę kończyć. O wpół do czwartej czekają na mnie w komitecie.

- Lepiej, żeby w sekretariacie byli pewni, że przyszedłem tu w sprawie pracowników - powiedział Szczęsny, wyjmując swój notatnik. - Tak się, rzeczywiście, składa, że ma pan przecieki polistyrenu do prywatnych warsztatów. Tu jest parę nazwisk... - Przeczytał i dodał: - Dwóch pierwszych już zatrzymaliśmy. Może coś na ten temat?

- Dobrze. - Czertwan przesunął kabelek selektora i rzekł: - Pani Wando, niech pani przyśle do mnie Wygodzkiego.

Po chwili do gabinetu wszedł mężczyzna w zielonym kitlu roboczym, jakie nosili pracownicy administracji. Zatrzymał się na progu i spojrzał na dyrektora wyczekująco.

- Panie Kaziu - Czertwan rzucił okiem na nazwiska, które sobie zanotował. - Proszę mi przygotować z kadrteczki osobowe tych pracowników - podał mu kartkę.

- Na kiedy, panie dyrektorze? Bo pan zdaje się wychodzi teraz do komitetu, więc może odwieźć teczki do domu?

- Nie, po co. Niech pan położy na moim biurku, jak wrócę, to je przejrzę. Oczywiście, niech sprzątaczką tu nie wchodzi.

- Przypilnuję, panie dyrektorze.

- Dobra, to wszystko.

Wygodzki znikł bez szmeru, a Czertwan wyciągnął rękę do kapitana i rzekł:

- Dziękuję, że pan przyszedł. I dziękuję za obietnicę pomocy.

- Pomogę panu - powtórzył Szczęsny, a mówiąc to wcale nie przypuszczał, jak daleko go te słowa zaprowadzą.

\*

Głos był natarczywy, uparty. Powtarzał wciąż to samo, powoli, systematycznie wbijał do głowy kilka zdań. Mówił tuż obok, bardzo blisko, chociaż nie było widać człowieka.

Andrzej leżał na trawie. Nie czuł chłodu nocy ani rosy, przenikającej przez koszulę. Było mu dobrze, wizje skończyły się, ale stan upojenia trwał jeszcze. Tylko ten głos mu przeszkadzał, nie chciało mu się jednak wyciągnąć ręki, aby go odpędzić.

- Weź to, słyszysz? - powtarzał głos bez człowieka. - Weź te dwie tabletki i połknij. Chcę, żebyś to zrobił sam. Żebyś zabrał je z mojej ręki i połknął. Sam. Słyszysz?... Andrzej, weź te dwie tabletki. Wyciągnij swoją rękę, prawą... Moja ręka jest tu, obok ciebie. Bardzo blisko.

Westchnął głęboko. „Właściwie - myślał wolno, leniwie - dlaczego by nie wziąć tych... czegoś tam, co on... z prawej strony... może to jeszcze więcej... ale...” Myśli plątały mu się, odpływały w noc, park kołysał się,

śpiewał.

- Wyciągnij prawą rękę - powtarzał głos. - Weź tabletki i połknij...  
Andrzej, słyszysz?

Nagle zrobiło mu się żal tego głosu. Bardzo powoli uniósł dłoń, poszukał w powietrzu palcami. Obca, ciepła ręka natrafiła na te palce, podsunęła im się z pokorą, usłużnie. Dotknął czegoś, co było małe, okrągłe, twarde. Obok było drugie, takie samo. Palce bezwolnie zgarnęły tabletki i skierowały do spierzchniętych warg. Rozchylił je, poczuł w ustach lekko gorzkawy smak, ale już był przyzwyczajony przełykać różne prochy, nawet bez popicia.

- Wzięłeś, Andrzej? - spytał głos. - Na pewno? Zamruczał potakująco, skrzywił się, bo mimo wszystko na języku pozostało trochę goryczy.

- Zaraz przestaniesz być senny - słyszał koło siebie szept. - Za chwilę wstaniesz i wyjdiesz z parku na ulicę. A jeżeli ktoś zastąpi ci drogę, to go zniszczysz, Andrzej! Musisz go uderzyć, przewrócić, skopać! Każdy, kogo spotkasz, to jest ścierwo. To jest twój wróg. Każdy, słyszysz?

Nadsłuchiwał teraz uważnie. Senność i błogość odeszły, poczuł niepokój. Uniósł się na łokciach, rozejrzał. Nie widział nikogo, chyba był sam w parku. Wstał, zatoczył się, przytrzymał drzewa. „Wszyscy poszli - myślał, wypatrując ścieżki, która wyprowadziłaby go na ulicę. - Poszli. Skurwysyny! Gdzie ta przeklęta droga?”

Rozdrażnienie coraz bardziej dawało znać o sobie. Znalazł ścieżkę, ruszył szybkim krokiem w kierunku, skąd daleko prześwitywały światła latarni. Potem szedł jakąś ulicą, nie poznawał jej, chociaż urodził się w Warszawie, był jakby zagubiony. To go jeszcze bardziej rozgniewało.

Potrącił kogoś umyślnie, ten obejrzał się za nim, ale nic nie powiedział. „Boją się - pomyślał. - Dobrze. Ścierwa, wszystko. Każdego w mordę”.

Zza rogu wyszło dwóch mężczyzn. Nieśli wypchane teczki, rozmawiali z ożywieniem i śmiali się. Andrzej na ich widok stanął na środku chodnika, zagradzając drogę. Ręce mu drżały, oczy patrzyły dziko. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem, zatrzymali się.

- Co jest, młody człowieku? - spytał wyższy. - Zgubiłeś coś?

- Pewnie wczorajszy dzień - zaśmiał się drugi.

- Ja ci pokażę, ty sk...nu! - krzyknął Czertwan, trzęsąc się z gniewu. Zamachnął się i z całej siły uderzył śmiejącego się pięścią między oczy. Mężczyzna zachwiał się, potoczył na barierkę przy chodniku i zawisł na niej połową ciała. Jego towarzysz, wysoki, barczysty, złapał chłopaka za ramiona, potrząsnął nim jak workiem i odrzucił na bok.

- Ty chuliganie! - wrzasnął. - Na ludzi się rzucasz, łobuzie? Spiłeś się, to spływaj do domu, bo dostaniesz. Gnojek jeden!

Andrzej zerwał się, doskoczył do niego i uczepił się, jak rozwścieczone zwierzę, wpijając mu paznokcie w odsłoniętą szyję. Drugi mężczyzna, ocknąwszy się, pośpieszył koledze z pomocą. We trójkę tarzali się po chodniku, sapiąc i pokrzykując. Napadnięci byli to ludzie dorośli, silni, ale Czertwan pod wpływem nie znanych mu tabletek czuł tak ogromne rozdrażnienieT gniew, że chciał tylko bić, szarpać, kopać. Nawet zabić.

Radiowóz milicyjny wyjechał z bocznej ulicy, kierowca dodał gazu. Po chwili dwóch funkcjonariuszy wyskoczyło z samochodu. Chwycili jednego z mężczyzn za marynarkę, odciągnęli. A drugi sam wstał. Tylko Andrzej, zorientowawszy się, że milicjanci przeszkadzają mu w bójce,



uderzył najbliższego w twarz. W tej samej chwili strumień gazu łzawiącego oszołomił go i kompletnie obezwładnił. Krzyknął, zasłonił oczy. Płaczącego wprowadzili do radiowozu.

- Panie sierżancie, to diabeł, nie chłopak! - zawołał jeden z mężczyzn, przykładając chustkę do krwawiącego nosa. - Szliśmy z kolegą z pracy, bo na drugiej zmianie robimy, ten zastąpił nam drogę i od razu pięścią w twarz! Nie znam człowieka, na oczy nie widziałem, a ten z mety bierze się do bicia.

- Wariat chyba - dodał drugi robotnik - patrz pan, jak mi szyję rozorał pazurami! Że też to kary nie ma na tych chuliganów.

- Proszę do radiowozu - rzekł podoficer. - Od razu pojedziemy na komendę. Jakoś się zmieścimy.

Upchani jak śledzie w beczce, pojechali na ulicę Żeromskiego. Przed budynkiem stało kilka milicyjnych samochodów i „Nysa” dla pijaczków. Czertwan, wyprowadzony na chodnik, próbował jeszcze szarpać się i rzucać, potem zrezygnował i posłusznie wszedł do komendy. Nagle poczuł, że całe rozdrażnienie opuściło go, był teraz osłabiony i straszliwie zmęczony. Ze zdumieniem rozglądał się dokoła, właściwie nie rozumiał, co się stało i dlaczego znajduje się w milicji.

Z jeszcze większym zdziwieniem i strachem usłyszał słowa oskarżenia, które padały z ust obu mężczyzn. Przyglądał im się, nie poznawał, doszedł do wniosku, że nigdy ich nie widział. Podawali oficerowi dyżurnemu swoje dowody osobiste, słyszał, że są to robotnicy z jakiejś fabryki.

- No, a ty? - zwrócił się do niego porucznik. - Masz dowód?

- Nie - odparł cicho. - Nie skończyłem jeszcze osiemnastu.

- A zaświadczenie tymczasowe? Legitymację szkolną?... Nic nie masz?

Zaprzeczył ruchem głowy. Był tak słaby, że najchętniej ułożyłby się na podłodze i zasnął.

- Nazwisko?

- Andrzej Czertwan.

- Gdzie mieszkasz?

- Ogólna dwadzieścia trzy.

- Znaście go, panowie? - oficer spojrział na robotników.

- Nie - odparli niemal jednocześnie.

- Dlaczegoś ich zaczepił i pobił? O co ci poszło?

- O nic - mruknął, zwieszając głowę. - Nie wiem.

- Wódkę piłeś?

- Nie.

- Prawdę mówiąc, to wcale od niego nie jedzie - zauważył milicjant, który siedział obok Czertwana w radiowozie. - Zresztą teraz to wszystko śmierdzi gazem.

- Więc jak to, nie znasz ludzi i tak nagle, bez powodu, rzucasz się na nich? - Porucznik patrzył na Andrzeja z niechęcią.

- Ja... przepraszam - wyjąkał. - Nie chciałem.

- A kto chciał? Może oni?

- Nie, oni nie. Nie wiem. Byłem okropnie zdenerwowany.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Zsunął się z krzesła na podłogę. Zemdlął.

\*

Lekarz Pogotowia rozłożył ręce. Nie potrafił znaleźć przyczyny, dla której Andrzej uległ ni stąd, ni zowąd aż tak silnemu rozdrażnieniu, że pobił nie znanych mu ludzi. Widział, że nie było to pod wpływem alkoholu, sądził więc, że pewnie chłopiec ulega jakimś atakom psychozy, stany nerwicowe, coś takiego, tłumaczył oficerowi dyżurnemu, pod wpływem których traci panowanie nad sobą.

Czertwan nie był notowany w komendzie, milicjanci nie znali go. Porucznik sprawdził personalia i zasepił się. Chłopak pobił dwóch obywateli - prawda, że i sam od nich oberwał, ale zaczął bójkę - uderzył milicjanta, „stawiał opór władzy”... zebrało się na dwa albo i trzy paragrafy. Robotnicy wzruszali ramionami: co z tego, że syn znanego dyrektora? Tym gorzej.

- Bananowa młodzież - rzekł kąśliwie ten niższy. - A gdyby to był syn robotnika, to nikt by się nie zastanawiał, czy go przymknąć w kiciu.

- Ja się nie zastanawiam - odparł oficer. - Sprawiedliwość jest jedna dla wszystkich.

- Akurat - mruknął barczysty. - Zaraz tatuś przyjedzie i synka samochodem do domu zabierze. Żeby mu się tu krzywda nie stała.

Andrzej siedział w kącie poczekalni. Milczał. Rozmowa toczyła się gdzieś nad nim, było mu wszystko jedno, co o nim mówią. Jednakże ostatnie zdanie dotarło do niego i podrażniło ambicję. Wstał, podszedł do oficera.

- Proszę mnie zamknąć - powiedział, chociaż zabrzmiało to głupio, niemal śmiesznie. - Będę odpowiadał z więzienia.

- I co jeszcze? - warknął porucznik. - Masz pojęcie o przepisach prawnych!

- Proszę mnie dać do więzienia - powtórzył uparcie.

- Ty mnie nie ucz, co mam robić!... Więzienia mu się zachciało. Bartosik! - zwrócił się do jednego z milicjantów. - Daj go do „dołka”. A rano zrobimy tryb przyspieszony - popatrzał na robotników. - Żadne tatusie ani samochody. Nie ta epoka, panowie.

- To do kolegium? - spytał niższy, oglądając się za swoją teczką.

- Nie, do sądu.

Kapral Bartosik ujął Andrzeja za ramię, poprowadził do aresztu. Kiedy robotnicy wyszli, porucznik rzekł do lekarza:

- Jak pan myśli, doktorze, co jest z tym chłopakiem?

- Musiałbym go zbadać dokładniej. Ale wygląda mi na to, że zażył jakiś środek ośrodkowo pobudzający. Są tego typu leki, które stosuje się np. przy chorobie Parkinsona. Mogą prowadzić do toksykomanii. Jeżeli chłopiec miał dostęp do nich, to wprowadził się w stan niepokoju, drażliwości, a nawet wybuchowości. Wywołują podniecenie, niepokój. Mieliliśmy szereg wypadków zażywania tych leków przez młodą latorośl. Ci chłopcy, zresztą i dziewczęta, nie mają pojęcia, że popełniają zbrodnię wobec własnego organizmu.

Lekarz pożegnał się i karetka odjechała. Oficer dyżurny zajął się swoimi sprawami, postanowił jednak następnego dnia przekazać te uwagi koledze, który poprowadzi dochodzenie. Chłopca trzeba będzie skierować na badanie lekarskie, ale to zrobi już sąd.

Około trzeciej nad ranem na jego biurku odezwał się telefon. Dzwonił inżynier Zbigniew Czertwan. Z niepokojem w głosie pytał, czy milicja nie ma być może wiadomości o jego synu. Do tej pory nie wrócił do domu, a czuł się chory poprzedniego dnia. Czertwan tłumaczył, że

obdzwonił już szpitale i Pogotowie Ratunkowe przy Hożej; na szczęście syna tam nie znalazł. Może jednak wie ktoś z komendy...

Porucznik słuchał w milczeniu tych słów, a potem rzekł:

- Owszem, wiemy. Pański syn jest u nas w areszcie.

- Gdzie? - spytał dyrektor zdumiony.

- W areszcie. Przykro mi, ale musieliśmy go zatrzymać.

- Co on zrobił?

- Zaczepił i pobił dwie osoby, potem funkcjonariusza. Awanturował się. Zresztą - zawahał się, poszukał właściwych słów - chyba zrobił to pod wpływem jakichś leków. Musieliśmy wezwać lekarza, który właśnie tak przypuszcza.

- Dlaczego wzywał pan lekarza?

- Bo pana syn zasłabł. Lekarz twierdzi, że w momencie kiedy te środki przestały działać, organizm zareagował osłabieniem. Syn otrzymał zastrzyk i krople uspokajające. Teraz śpi.

- Będę u was za parę minut - powiedział nagle Czertwan i odłożył słuchawkę.

Andrzej spał w areszcie mocnym, ciężkim snem. Nie obudził się, kiedy ojciec, wprowadzony przez zakłopotanego porucznika, pochylił się nad nim i coś mówił cicho.

- Chodźmy - rzekł oficer, naruszył przepisy obowiązujące w komendzie i sam nie wiedział, dlaczego poszedł Czertwanowi na rękę, może wyobraził sobie własnego syna w tej sytuacji. - Niech pan go zostawi. Rano przesłucha go ktoś z dochodzeniówki... chyba nie damy sprawy na tryb przyśpieszony ze względu na opinię lekarza. A w ogóle, to radziłbym zająć się chłopakiem - dodał surowo. - Pewnie włóczy się z tym

hippiesami, i taki rezultat.

\*

Prokurator zgodził się. Zbigniew Czertwan zaręczył własnym słowem, iż syn stawi się na rozprawę sądową, złożył też wymaganą kaucję. Na decyzji prokuratora zaważył w dużym stopniu młody wiek chłopca i dotychczasowa niekaralność.

- Niech pan go zaprowadzi do poradni psychiatrycznej dla młodzieży - poradził Czertwanowi. - Badanie lekarskie może mieć zasadnicze znaczenie przy rozprawie. I niech pan się stara dowiedzieć od syna, skąd wziął środki psychotropowe, jeżeli oczywiście je zażywał. Może to był jednorazowy wyskok. Taka szczeniacka głupota.

Kapitan Szczęsny dowiedział się o wszystkim od dyrektora dopiero na drugi dzień, gdyż Czertwan mimo nieustannych poszukiwań telefonicznych nie mógł go złapać w Pałacu Mostowskich. Wysłuchawszy, co zaszło, spytał, czy Andrzej jest w domu, postanowił bowiem go odwiedzić. Sprawy zaszły już tak daleko, że nie było sensu konspirować kontaktów między dyrektorem a milicją. Zresztą po zatrzymaniu chłopca w areszcie rzecz dała się sprowadzić do normalnych, w takich wypadkach, rozmów-przesłuchiwań.

Szczęsny przyszedł więc do mieszkania Czertwanów, zastanawiając się po drodze, jak skłonić delikwenta do szczerzej rozmowy. Umówili się poprzednio z jego ojcem, że nie będzie on obecny, a drzwi otworzy gosposia. Andrzej mógłby bowiem po prostu nie wpuścić gościa, którego nie znał, a może i nie chciał poznać.

Tak się jednak złożyło, że gosposia wyszła po coś do sklepu i do mieszkania poprosił kapitana właśnie Andrzej. Sądził zresztą, że to w

związku z zajściem, nie znał się na trybie przesłuchiwań, było mu to w gruncie rzeczy obojętne. Usiedli w pokoju dyrektora, zwanym przez domowników „dużym”, bo rzeczywiście był największy, stał tu telewizor, radio i magnetofon, ściany pełne były regałów z książkami.

- Słucham pana - powiedział chłopiec, patrząc gdzieś w bok. Twarz miał mizerną, pod oczami ciemne sińce. Wargi drżały lekko. - Ja już wszystko powiedziałem w komendzie.

Ale Szczęsny, jakby nie słuchając, wstał i podszedł do jednego z regałów. Dojrzał książkę, której bezskutecznie szukał w księgarniach, była to „Droga z Monachium” Reniaka.

- Twoja? - spytał, biorąc książkę do ręki.

- Ojca - odparł Andrzej, nieco zdziwiony. - Moje są u mnie. I na tamtych półkach - pokazał ruchem brody. - Nie interesuje mnie polityka.

Kapitan odłożył książkę na miejsce, przeszedł wzdłuż regałów i, rzucając okiem na tytuły, rzekł:

- Trochę z medycyny. Chcesz iść na studia?

- Chciałem. Zresztą, nie wiem... - urwał.

- Zacząłem kiedyś. Zaliczyłem dwa lata, no i zmieniłem zawód - uśmiechnął się do chłopca.

- Dlaczego?

- A czy ja wiem - wzruszył ramionami. - Dawne lata. Ale medycyna interesuje mnie do dziś. Widzę, że masz Kowalskiego: „Leki psychotropowe”. Trudno to dostać.

Andrzej odwrócił głowę. Milczał. Był zły, że nie schował książki, nie przypuszczał jednak, że tak się potoczy rozmowa. Szczęsny usiadł naprzeciw niego, oparł ręce na kolanach.

- Nie wierzysz, że chcę ci pomóc? - zapytał. - Naprawdę znam się na tych rzeczach lepiej niż ty.

- iMa czym? - burknął chłopak, opuszczając wzrok.

- Na lekach psychotropowych. Domyślam się, że tamtego wieczoru zażyłeś jakiś lek antydepresyjny. Czytałeś profesora Kowalskiego, więc musisz wiedzieć, że te środki powodują nagłe rozdrażnienie, wybuchowość, podniecenie. Czy to były małe, czy duże tabletki?

- Małe. Mniejsze od... no, od prochów na ból głowy.

- Białe?

- Nie wiem. To było w nocy.

- Zmusili cię?

- Nie! - krzyknął. Zerwał się z fotela, odszedł w głąb pokoju. Raptem przypomniał mu się tamten głos i słowa: „Wyciągnij swoją rękę, prawą... Chcę, żebyś to zrobił sam! Słyszysz, Andrzej”.

- Zmusili - powtórzył Szczęsny twierdząco. - Włożyli ci do ust.

- Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Sam wziąłem.

- Przecież nie miałeś tych leków - rzekł kapitan łagodnie. - A oni bawią się teraz twoim kosztem. Napuścili cię, narozrabiałeś, będziesz miał sprawę w sądzie, a oni z ciebie się śmieją.

- Jacy oni!? - wybuchnął z gniewem. - Nie ma żadnych „ich”. Sam wziąłem. I niech mi pan niczego nie wmawia.

- Tak ci z nimi dobrze, Andrzej? Naprawdę teraz ci lepiej, niż było dawniej?

Milczał, zaskoczony. Nie porównywał: przedtem - i teraz, nie przyszło mu to do głowy. Musiałby przemyśleć, zastanowić się, ale po co. Pamięć przywiodła kolorowe wizje...



- Wtedy jest tak dziwnie - mruknął.

- Powiedzmy. A potem? Wzruszył ramionami z niechęcią. „Potem” było nieważne, ponieważ zawsze można było przekreślić rzeczywistość, wciąż na nowo, może dałoby się nawet nie wracać stamtąd w ogóle, biorąc tabletki bez przerwy, jak tylko wizja przygasa.

- Wiesz, czym to się kończy? Kompletnym wyniszczeniem organizmu i obłądem.

- Skąd pan wie! Można tak żyć latami.

- Owszem. W szpitalu dla psychicznie chorych. Miłe miejsce sobie wybrałeś na przyszłe lata. Mogę cię tam zawieźć dla tak zwanej propagandy wizualnej, żebyś sobie obejrzał, jak to wygląda.

- O co panu chodzi właściwie? O bójkę czy o... Tamto nie jest karalne. Jestem pełnoletni wobec prawa. Mam siedemnaście lat skończonych. I będę żył tak, jak chcę.

- To ci się tylko zdaje. Żyjesz tak, jak chcą ci, którzy po raz pierwszy podali ci narkotyk. Powinieneś wiedzieć, że w myśl ustawy z pięćdziesiątego pierwszego roku, artykuł trzydziesty, karalne jest używanie środków odurzających w towarzystwie innej osoby, jeżeli nastąpiło bez zezwolenia lekarza. Powinieneś również wiedzieć, jeżeli już się w to bawisz, że nasz Kodeks Karny w artykule sto sześćdziesiątym pierwszym przewiduje karę do pięciu lat więzienia dla tego, kto bez uprawnień daje komukolwiek środek odurzający albo nakłania do jego zażycia. A więc ci, którzy tak hojną ręką podają ci narkotyki, są przestępcami.

- Skąd pan wie, czy to nie lekarz? - Andrzej uśmiechnął się ironicznie. - Lekarzowi wolno.

- Lekarzowi wolno, jeżeli środki te są potrzebne dla leczenia jego

pacjenta. W innym wypadku stałby się tak samo przestępcą. Pytałeś, o co mi chodzi, po co przyszedłem. Chcę cię po prostu wyrwać ze środowiska, w które wsiąkłeś.

- Nikt pana o to nie prosił! - wybuchnął znowu Czertwan.

- Prosił.

- Kto?!

- Twój ojciec.

- Nie!

- Ależ tak. Inaczej bym tu z tobą nie siedział. Znam ciekawsze zajęcia. Mimo że tak podkreślasz swoją odpowiedzialność prawną, jesteś w gruncie rzeczy jak głupie dziecko i leziesz prosto w kałużę. Zrozum, masz dopiero siedemnaście lat i całe życie przed tobą. Czy naprawdę chcesz je spędzić u czubków? Albo w szpitalu dla nieuleczalnie chorych?

- Będę żył tak jak chcę - powtórzył chłopak z uporem. Wstał, odszedł do okna, stanął plecami do Szczęsnego i milczał, jakby czekając, aż natrętny rozmówca odejdzie. Kapitan ważył coś w myślach, wreszcie podniósł się z fotela i rzekł:

- No, dobrze. Pamiętaj tylko, że nie żyjesz w izolacji od społeczeństwa, bo korzystasz ze wszystkiego, co ono ci daje. Może to i wygodna postawa, tak wypiąć się na innych, niech pracują i utrzymują mnie, bo mi się nie chce. Tylko że to społeczeństwo też ma w stosunku do ciebie coś do powiedzenia.

Odwrócił się i wyszedł tak cicho, że Andrzej nie słyszał jego kroków i sądził, że Szczęsny jest jeszcze w pokoju. Dopiero szcęk zamka u drzwi frontowych zorientował go, iż nawet nie pożegnał gościa, i zrobiło mu się trochę głupio. „A może to i lepiej - pomyślał. - Obraził się i więcej nie

przyjdzie”. Przypomniało mu się jednak, że to ojciec prosił tego jasnowłosego kapitana o interwencję, wobec czego należało potraktować go nieco uprzejmiej.

- Trudno - mruknął do siebie. - Teraz mam to z głowy.

Rzucił się na fotel, przymknął oczy. Czekala go rozprawa sądowa. Może więzienie. Przepadnie matura... Co to mogły być za tabletki, że taki był po nich wściekły? I kto mu je dał? Pamiętał tylko, że po południu zebrali się znowu u Jemioły, dostał zastrzyk locyny. Były jaskrawe kolory, kołysanie, stan zupełnego zatracenia, - może nawet później apatii. Nie wiedział, jak znalazł się w krzakach nad Wisłą. Z Marysina Wawerskiego na Bielany był kawał drogi, musiał jakoś dojechać, nie pamiętał jednak zupełnie jazdy autobusem czy taksówką. Zresztą taksówka nie wchodziła w grę, nie miał przecież pieniędzy.

Tabletki były pewnie od Jemioły. Tylko on zawsze miał przy sobie jakieś prochy. Ale czy Jemioła był z nim tam, w parku bielańskim?

Próbował przypomnieć sobie, robił to zresztą po raz dziesiąty chyba, ojciec wypytywał go przez pół dnia, a on nie był w stanie odpowiedzieć, bo nie pamiętał. Doszedł do wniosku, że jednak musiał tam leżeć sam, Jemioła nie zostawiłby go, nie dopuścił do awantury. A ten głos, który tak uporczywie namawiał go do zażycia tabletek, musiał być głosem wyobraźni.

\*

Kapitan Szczęsny wyszedł od Czertwanów trochę zły. Chciał inaczej poprowadzić rozmowę, ale chłopak go zirytował. Szczęsny wiedział, że nie ma zdolności pedagogicznych, był impulsywny i zbyt szybko ponosiło go. Nigdy jako milicjant nie pracował z nieletnimi albo takimi, co ledwie

przeskoczyli ten wiek. Od takich spraw byli w komendach specjaliści, pedagodzy z urodzenia. Cieszyli się na ogół popularnością wśród młodzieży, walczyli dla niej o świetlice i kluby, pomagali je urządzać, godzili skłóconych, niemal że wycierali ukradkiem czyjeś mokre nosy.

Szczęśny zawsze miał do czynienia z dorosłymi. Zabójstwa, ciężkie bójki, skomplikowane szantaże, grube afery gospodarcze. Ludzie dobrze w tym wprawieni, szczwani, oblatani w paragrafach - ludzie, kierujący się zemstą, zawiścią, zazdrością, chciwością. Znał to od lat.

A tu? Dzieciak, który jeszcze szkoły nie skończył, niedojrzały hippies-narkoman, uparty jak kozioł i głupi. Ojciec zapracowany, dla chłopaka nie ma czasu, chociaż kocha go i chciałby ratować. Radykalne posunięcie to byłoby wojsko, ale za młody. W wojsku nauczyliby go rozumu, oderwali od tej bandy... Właściwie należałoby się bliżej zająć otoczeniem Andrzeja. Dokąd chodzi, gdzie znajduje te prochy, z kim zażywa. Kotowicz mówił, podał nawet parę nazwisk i adresów. Ale na to wszystko trzeba mieć czas, a Szczęśny czasu nie miał. Miał za to kilka rozpoczętych dochodzeń, z których naczelnik wydziału będzie go rozliczał.

Tak rozmyślając dojechał do Śródmieścia i skierował się do komendy na Wilczą. Porucznika Kotowicza zastał nad aktami jakiejś sprawy. Przerwał mu pracę, zafundował koniak i poprosił o bliższe rozpoznanie, w miarę możliwości, z kim Czertwan styka się i gdzie przebywa. Kotowicz skrzywił nos na propozycję, ale obiecał, że się postara. Dodał tylko, że gdyby miał być w charakterze anioła stróża wszystkich maminsynków...

### Rozdział 3

Pierwszy sekretarz, który przewodniczył naradzie, spojrział na kartkę papieru i powiedział:

- Głos ma towarzysz Czertwan, przygotuje się towarzysz Małecki z PZO.

Czertwan podniósł się, wziął ze stołu maszynopis swego wystąpienia i, precyzyjnie się pomierzając między dwoma rzędami krzeseł, wszedł na małe podium z mównicą. Narada odbywała się w Komitecie Dzielnicowym Partii. Zabierali w niej głos przede wszystkim pracownicy pionu inżyniersko-technicznego, a dotyczyła spraw ważkich. Czertwanowi przypadł obowiązek wygłoszenia w imieniu „Poksytu” zasadniczego referatu. Pisał go przez dwa wieczory, skreślał, poprawiał, chciał, żeby wszystko było dla słuchaczy jasne i zwięzłe. Miał ambicję dobrego mówcy i był nim.

Kiedy zaczął, na sali ucichły szmery i szepty, zaczęto słuchać uważnie, co zdarzało się tylko przy niektórych prelegentach. Czertwan więcej mówił, niż czytał, znał zagadnienie na wylot. W pewnej chwili dostrzegł, że sekretarz ekonomiczny Bielecki, który siedział w prezydium zwrócony twarzą do mówcy, zmarszczył brwi, a potem uniósł je w górę i powiedział:

- Przepraszam... chyba sześć, towarzyszu dyrektorze. A nie szesnaście.

Czertwan spojrział na maszynopis. „Szesnaście procent” - odczytał w myśli i zawahał się. Nie pamiętał tych procentów, chodziło mu o meritum, nie o szczegóły.

- W planie na czwarty kwartał podaliście sześć - wyjaśnił Bielecki i uśmiechnął się. - Przerwałem wam, przepraszam.

Czytał teraz uważnie, trochę wolniej. Doszedł do eksportu, tutaj liczby znał na pamięć, toteż wymienił je bez wahania, nie mógł się pomylić, bo sam wywindował eksport o półtora procent, pokłóciwszy się przy tym z dyrektorem naczelnym, który był z przyzwyczajenia asekurantem, a z natury pesymistą.

Ale pod koniec wystąpienia Czertwan pomylił się jeszcze raz. I znów wytknięto mu to na głos, odezwał się jego kolega z „Poksydu”, dyrektor od spraw inwestycji, w strachu, że nagle odbierają mu zaplanowane limity. Czertwan, speszony, szybko dokończył referatu i wrócił na miejsce. Z drugiego końca sali kolega przesłał mu kartkę: „Przepraszam, Zbyszku, masz byki w maszynopisie, a ten kretyn ze zjednoczenia już był gotów uwierzyć!”. W postscriptum było jeszcze: „Zniszcz kartkę albo wykreśl kretyna”.

Wsunął kartkę do kieszeni, przejrzał dokładnie referat. Jak to się mogło stać? Czytał przecież maszynopis po przepisaniu przez sekretarkę, samą panią Wandę, bo bał się zlecić tak ważny referat zwykłej maszynistce. Czytał, poprawił drobne błędy... Jak mógł nie zauważyć pomyłki w limitach? Rzeczywiście, delegat zjednoczenia, który siedział w prezydium obrad, miał bardzo ucieszoną minę. Zupełny kretyn. Przecież zatwierdzili plany. Oczywiście, chcieliby poobcinać gdzie się da, znani są z tego nie od dziś.

Narada skończyła się późno i Czertwan nie pojechał już do fabryki, lecz prosto do domu. Zamknął się w swoim pokoju, wyciągnął z teczki rękopis referatu, przerzucił szybko parę stron. Na piątej u dołu, jego

własną ręką napisane było: „16%”. Tak samo z limitami. A więc on sam pomylił liczby i procenty, Wanda dobrze przepisała.

No, cóż. Każdemu się zdarza. Pomyślał, że to przez te zmartwienia z Andrzejem. Jest zdenerwowany, zmęczony, niespokojny o syna.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę. To był naczelny „Poksytu”.

- Panie kolego - mówił powolnym głosem, trochę przez nos - co tam było na naradzie z tymi limitami?

„Już ktoś naszczekał” - pomyślał i odparł z irytacją:

- Nic się nie stało, po prostu pomyłka w maszynopisie. Kto panu zdążył opowiedzieć?

- Wiecie, tak się jakoś rozeszło. Mam nadzieję, że zjednoczenie nie wzięło tego na serio... - zawiesił głos.

- Ależ, skąd! Plany marny zatwierdzone. Cóż to, pomylić się nie można!

- Niech pan się nie denerwuje, chciałem tylko sprawdzić. No, to do jutra.

„Stary dureń!” Czertwan rzucił słuchawkę. Nie układała mu się zbyt dobrze współpraca z naczelnym.

Wstał, zajrzał do pokoju Andrzeja. Chłopiec leżał na tapczanie, ręce miał podłożone pod głowę, wzrok utkwiony gdzieś w suficie. Na widok ojca poruszył się trochę, ściszył magnetofon.

- Chciałeś coś? - mruknął sennie.

Czertwan rzeczywiście chciał porozmawiać z synem, tak jak dawniej, szczerze i przyjaźnie, przełamać tę barierę, która wyrosła pomiędzy nimi. Zamiast tego jednak, dziwnie skrepowany, spytał tylko:

- Jadłeś kolację?

- Nie chce mi się - odparł chłopak. A bojąc się widać, że zaczynają się perswazje i namowy, dodał spiesznie: - Zresztą, później zjem.

- Basia jest?

- Poszła do koleżanki, na Marymoncką. Zaraz pewnie wróci. Tato... - Andrzej usiadł na tapczanie, zwiesił głowę.

- No co, synku?

Przysiadł obok niego, pogładził po zwichrzonych włosach. „Może teraz” - pomyślał z nadzieją.

- Tato, możesz mi dać setkę? - usłyszał.

„A więc tylko o to...” Odsunął się, wyjął portfel.

- Proszę - powiedział sucho.

Wstał, przeszedł się do drzwi i z powrotem, poprawił książkę wystającą..z półki. „Nie warto zaczynać...” Otworzył okno, bo w pokoju było duszno. Potem wyszedł.

\*

W południe naczelny zajrzał do gabinetu swego zastępcy i oznajmił, że jedzie na konferencję do centrali handlu zagranicznego. Od dawna wiadomo było, że chodzi o kontrakt na dostawę polistyrenu do jednego z państw strefy dolarowej. Kontrakt był ważny, naczelny mógł wszystko zepsuć, bo bał się kłopotów z surowcem.

- Wolałbym sam pojechać - rzekł Czertwan niegrzecznie. - Znów pan się wycofa, jak w zeszłym tygodniu.

Niespodziewanie naczelny odparł ugodowo, że owszem, on może zostać w fabryce, bo i tak ma pilną robotę. Oznaczało to, że wszelką odpowiedzialność za kontrakt chce zwalić na głównego inżyniera. Nie uda się, Czertwan będzie winien, nie on.



- Dobrze - powiedział zastępca. - Zastąpię pana i podpiszę umowę.

- Żebyśmy tylko potem nie musieli się tłumaczyć przed zjednoczeniem - ostrzegł naczelny po swojemu i wyszedł z gabinetu.

Czertwan sięgnął do biurka, wyjął teczkę, którą miał od dawna przygotowaną na taką okazję, przerzucił notatki. Nagle spostrzegł, że dotyczą one zupełnie czegoś innego. Teczka była jednak ta sama, miała napis: „Eksport polistyrenu” i ciemną plamę z kawy na okładce. Zajrzał do środkowej szuflady, potem do bocznych, wyciągnął wszystkie teczki, skoroszyty. Zrobił się z tego ogromny bałagan na biurku, ale notatek o eksporcie nie było.

- Wygodzkiego! - warknął do słuchawki. Przyciskając ją ramieniem, nie przestawał szukać wśród papierów.

Zapukano do drzwi, wszedł Kazimierz Wygodzki, prawa ręka dyrektora technicznego, jak mówiono oficjalnie. Nieoficjalnie bowiem nazywano pana Kazia: „dyrektorski piesek”. Piastował on nieokreślone stanowisko, coś pomiędzy osobistym sekretarzem a starszym referentem; etatowo pełnił funkcję kierownika technicznego sekretariatu.

- Kaziu, gdzie moje notatki o eksporcie? - zaniepokoił się Czertwan.  
- Były w tej teczce i nagle znikły.

- Te notatki, które pan dyrektor przygotował w sprawie kontraktu na polistyren? - spytał Wygodzki. Miał małą, ptasią twarz z ostro zakończonym nosem i trochę cofniętym podbródkiem. Jasne oczy ukrywał za przyciemnionymi okularami. Głos miał cichy, przyjemny.

- Tak, te! Powinienem jechać zaraz do cehazetu, a bez notatek nie mam po co. Tam były wszystkie nasze propozycje.

Wygodzki spojrział przelotnie na zegarek i odparł spokojnie:

- Pan dyrektor zdąży wstąpić do domu i zabrać. Konferencja ma się rozpocząć dopiero o trzynastej.

- Do domu? - powtórzył Czertwan zdumiony. - Przecież ja ich wcale tam nie zawoziłem!

Dyrektorski piesek chrząknął leciutko, lecz z dezaprobatą.

- Przecież we wtorek pan dyrektor zabrał notatki, wyjąwszy je z teczki, o, tej - pokazał na biurko - i włożywszy do skórzanej, czarnej, o, tej - znów pokazał, tym razem na krzesło.

- Ja?! - Czertwan patrzył na niego niemal w osłupieniu.

- Byłem przy tym, panie dyrektorze. Widocznie chciał pan je uzupełnić, a w domu większy spokój niż tu, w fabryce.

- Dobrze, dziękuję - burknął, siadając w fotelu. - Niech Stasiak zajrzy do auta, czy jest benzyna.

- Zaraz mu powiem.

Spiesznie poupychał papiery do szuflad i zamknął biurko na klucz. W drodze, prowadząc służbową „Warszawę”, próbował przypomnieć sobie moment przekładania notatek z jednej teczki do drugiej, ale w żaden sposób nie potrafił. „Kazio mówił: we wtorek, to znaczy przedwczoraj” - zastanawiał się, skręcając w stronę Bielan.”Musiało to być po zebraniu w komitecie zakładowym. Wróciłem na górę, była chyba szósta wieczorem albo wpół do siódmej. Czy Wygodzki siedział jeszcze w sekretariacie?... Pewnie siedział. Dobrze, ale po co ja brałem te cholerne notatki do domu?”

Rzeczywiście, leżały na biurku. Co prawda, pod wczorajszą gazetą i mógł ich rano nie zauważyć. Włożył więc teraz do teczki, zamknął ją starannie. Jechał potem do centrali i usiłował skupić myśli na czekającej

go ważnej konferencji - ale nie mógł. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że jego świetna dotąd pamięć zaczyna zawodzić.

A przecież miał dopiero czterdzieści sześć lat. Był w pełni sił umysłowych i fizycznych, nabyte doświadczenie i wiedza pozwalały właśnie teraz właściwie je wykorzystywać. Zmęczenie, które często odczuwał, nie było czymś katastrofalnym, mijało szybko po przespanej nocy, znikало zupełnie po krótkim choćby urlopie. Był dotychczas dumny ze swej bystrości, doskonałej pamięci, z umiejętności błyskawicznego reagowania i podejmowania decyzji.

Cóż więc się stało? Odpowiedział sam sobie, że przecież jeszcze nic. Że te dwie pomyłki w referacie i sprawa notatek to absolutny drobiazg, ot, chwilowe roztargnienie. Na pewno przyczyniły się do tego zmartwienia domowe. Andrzej... Tak, to było to. Z obawą i niechęcią myślał o rozprawie sądowej, która czekała jego syna, choć z tego, co wiedział, można było przypuszczać, iż sąd weźmie pod uwagę stan psychiczny chłopca w momencie zajścia i uniewinni go lub przynajmniej zawiesi karę. A jeżeli nie?...

W nocy Czertwan obudził się pod wpływem jakiegoś przykrego snu. Zaświecił lampkę przy tapczanie, aby odpędzić senne majaki, zapalił papierosa. Leżąc tak, rozmyślając o tym i owym, nagle przypomniał sobie treść snu i poczuł zimny pot, oblewający mu czoło. Oto syn jego, Andrzej - widział go we śnie zupełnie wyraźnie - stał w kuchni, pochylony nad szklanką herbaty, i wsypywał do niej jakiś białawy proszek. Potem zamieszał starannie - Czertwan dostrzegł, iż płyn nie zmienił koloru - odwrócił się i szedł, niosąc ostrożnie szklankę w obu rękach.

Twarz miał skupioną, ale jednocześnie jakby nikczemnie uradowaną,

ze złośliwym uśmiechem na swych ładnych, chłopięcych wargach. Czertwan widział również siebie, siedzącego w pokoju przy stole, zastawionym jedzeniem. Andrzej - zbliżył się, postawił przed nim herbatę, podsunął cukiernicę. Sam nie pił, lecz siadł po drugiej, stronie stołu, wyglądało na to, że czeka... Na co?

I we śnie, a teraz sobie to wyraźnie przypomniał, Czertwan zrozumiał, że syn wsypał mu narkotyku do szklanki. Nawet powiedział to na głos, a wówczas Andrzej roześmiał się hałaśliwie, szeroko, tak jak nigdy nie miał we zwyczaju. Czertwana zmroził ten śmiech i przeraził. Przeważenie było tak silne, że zbudził się.

„Cóż za bzdury!” - pomyślał, przekręcając się na bok. Zdusił niedopałek, przekręcił kontakt. Pokój zaległa ciemność. Ale nie mógł zasnąć. Myśl bezwiednie zaczęła kojarzyć: pomyłki, roztargnienie, zapomniane notatki... Przypomniał sobie, że zdarzało się dość często, iż jedno lub drugie z dzieci przygotowywało dla pozostałych domowników kolację. Wprawdzie ostatnio Andrzej robił to niechętnie, ospale - ale robił. Przynosił też ojcu herbatę.

„Oszalałem chyba! Własny syn?” - wzdrygnął się. Znow zapalił papierosa. Wstał, wyszedł do kuchni, postawił czajnik na gazie. Za oknem zaczynało świtać. Ostatecznie mógł już się nie kłaść, tylko pojechać wcześniej do „Poksydu”. Roboty zawsze dość.

\*

Czertwan umówił się ze znajomymi, że wpadnie do nich wieczorem na krótkiego brydża i na pogawędkę. Potrzeba mu było trochę oddechu po pracy, prócz tego ostatnio zaniedbał jakoś stosunki towarzyskie. Nie miał czasu, martwił się Andrzejem. Teraz jednak chciał przy okazji wizyty

porozumieć się właśnie w jego sprawie. Znajomy był prokuratorem.

- No, jesteś! - przywitał go na progu. - Zagramy w piątkę, a potem może złożą się dwa stoliki, bo jeszcze ktoś przyjdzie.

- Jak się masz, Zbyszku - pani Teresa wyjrzała z kuchni, gdzie przygotowywała kawę. - Świetnie wyglądasz.

Był to banał, Czertwan wiedział, że podoba się pani Teresie i tymi słowami wyraziła coś innego. Uśmiechnął się nieznacznie, pochylając nad jej ręką. Teresa miała w sobie coś, co zniewalało do niej zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ona sama zaś twierdziła, że przede wszystkim kochają ją zwierzęta. Swego czasu dziwiono się, że wyszła za prokuratora Nieświeskiego, człowieka surowego, o twarzy niemal ascetycznej i wysokiej, prostej sylwetce. Może zbliżyły ich kontrasty, bo Jerzy Nieświeski uśmiechał się rzadko, a Teresa prawie zawsze, on był uosobieniem srogiego stróża prawa, ona - kobiety w najmiłszym tego słowa znaczeniu. Zresztą, kochali się bardzo, choć sprzeczcali każdego dnia.

Nieświescy zajmowali dwa pokoje, połączone rozsuwanymi, szklanymi drzwiami, które teraz były otwarte. Przy stole, przygotowanym do brydża, Czertwan zastał jeszcze dwóch panów. Jednego znał, był to adwokat Kurski. Drugi, uniósłszy się z krzesła, podał mu dłoń dziwnie ostrożnie, zaledwie dotykając jego ręki, i natychmiast cofnął.

- Doktor Sechno - przedstawił Nieświeski - dyrektor Czertwan. Przepraszam, a może znacie się?

- Nie - odparli.

Pani Teresa wniosła tacę z kawą i wspaniały keks, rzekomo domowej roboty. Mąż z miejsca zdekonspirował fakt, wyjaśniając, że ciasto z

„Europejskiej”, po czym został zakrzyczany i nazwany potwarcą.

- Proszę pić kawę i zjeść przedmiot sporu - orzekła pani domu. -  
Potem będziemy grali.

W trakcie rozmowy Czertwan dyskretnie obserwował doktora, gdyż twarz Jego wzbudziła w nim zainteresowanie. Sechno miał rysy dość regularne, jasne włosy sięgały kołnierza marynarki, były przy tym trochę zaniedbane. Skóra na policzkach, niezwykle delikatna i jakby przezroczysta, obciągała je niczym ciasna rękawiczka, zdawało się, że dotknąć, a rozedrze się. Szare oczy spoglądały na ludzi z jakąś szczególną uwagą i napięciem. Być może, sądził Czertwan pijąc kawę, spojrzenie to było związane z zawodem lekarza, traktującego wszystkich dokoła jako potencjalnych pacjentów.

Zaciekawiło go, jaką specjalność wybrał ten człowiek w swoim fachu i spytał o to, częstując go papierosami.

- Jestem neurologiem - odparł Sechno. Głos miał lekko zachrypnięty.

- Ciekawa praca - zauważył Czertwan, aby coś powiedzieć, chciał, aby tamten mówił dalej.

- Trudna.

- Nie orientuję się, czym się różni neurolog od psychiatry - rzekł Czertwan z uśmiechem. - Nie leczyłem dotąd nerwów.

Sechno podniósł na niego wzrok, poruszył wargami, ale nie odpowiedział.

- Z doktorem nie ujedziesz, Zbyszku - wtrąciła pani Teresa. - Dla niego normalni ludzie mogą nie istnieć. Rozmawia tylko z pacjentami.

Sechno uśmiechnął się lekko, nie był to jednak uśmiech pociągający, wręcz przeciwnie. Czertwan pomyślał ze zdziwieniem, że twarz doktora

staje się wtedy nieco okrutna, co oczywiście musiało być złudzeniem.

Zanim zaczęli grać, Nieświeski zaprosił dyrektora do drugiego pokoju i na chwilę zasunął drzwi, po czym rzekł:

- Zdaje się, że chciałeś mi coś powiedzieć o Andrzeju.

- Tak - odparł Czertwan i zasępił się. Nie było czasu na dłuższe zwierzenia, krótko więc tylko streścił prokuratorowi, co zaszło. Poprosił też o radę. Nieświeski słuchał uważnie, zadał kilka pytań, na które Czertwan nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż sam nie wiedział. Wreszcie zapewnił, że dowie się w komendzie i w prokuraturze dzielnicowej, jak sprawa wygląda.

- Sądzę, że dobrze byłoby jednak wyciągnąć z chłopaka, ile się da - dodał. - To mu tylko może pomóc. Jak myślisz, dlaczego on tak kryje swoich kompanów?

- Nie wiem. Doprawdy, nie wiem.

Czertwan chciał jeszcze dorzucić, iż poprosił o pomoc kapitana Szczęsnego, ale po sekundzie namysłu zdecydował, że tego nie powie. Różnie tam czasem bywało pomiędzy prokuraturą a milicją, ambicje zawodowe nieraz wchodziły w grę i jedni koso patrzyli na drugich. Nieświeski mógłby zresztą czuć się dotknięty, że tak bliski znajomy wpierw szukał pomocy u obcych, a potem dopiero zwrócił się do niego.

Siedli do brydża, a kiedy zjawili się spóźnieni gracze, ustawiono dwa stoliki. Czertwan grał trochę niedbale i zniecierpliwiony mecenas zrobił mu jakąś przykrą uwagę. Pani Teresa wystąpiła z obroną, a Kurski pocałował ją w rękę i rzekł:

- Dziecko śliczne, a płoche, wybacz, ale na brydżu to ja się lepiej znam. Dyrektor gra dziś jak noga, znów będziemy leżeć bez trzech. W

dotatku, z kontrą. Po cholere wyszedł pan w piki?!

- Przepraszam - powiedział Czertwan, któremu nie chciało się spierać. - Trochę mnie głowa boli.

- Doktorze, nie ma pan tam pod ręką jakiego proszka? Sechno z wolna przeniósł wzrok na mecenasa i patrzył, lasując karty. Nie odezwał się. Ku swemu zdumieniu Czertwan dostrzegł w tym momencie, że Teresa Nieświeska przybladła, uciekła spojrzeniem gdzieś w bok. Na chwilę zapanowała cisza, tylko przy sąsiednim stoliku spierano się o coś zajadle.

Późno w noc, kiedy żegnali się w przedpokoju, Czertwan pociągnął prokuratora do kuchni i spytał półgłosem:

- Słuchaj, co to za facet, ten lekarz? Nigdy go u ciebie nie widziałem.

- Sechno? Trochę dziwaczy, ale to dobry fachowiec. Za rzadko przychodzisz do nas - uśmiechnął się. - Wpadnij znów na brydza, najlepiej w sobotę, bo potem można się wyspać.

Na ulicy znaleźli się we trójkę, dwaj spóźnieni partnerzy mieszkali w tym samym domu. Kurski miał „Fiata-125” i zaofiarował się, że odstawi, gdzie kto chce, aby nie poza Warszawę, bo ma niewiele benzyny. Czertwan był zmęczony i chętnie przystał na podwiezienie. Lekarz podziękował, wołał się przejść.

Kiedy jechali przez uśpione miasto, dyrektor zapytał:

- Dawno pan zna doktora Sechnę?

- Wcale - odparł Kurski, zwalniając przed skrzyżowaniem, choć nie było żywego ducha. - Dziś go poznałem. - I dodał, jakby do siebie: - To chory człowiek.

- Czemu pan tak myśli?

- At, nic. Tak sobie myślę... - urwał i nie chciał już mówić na ten



temat, a Czertwan nie nalegał.

\*

W pokoju, który od lat zajmował kapitan Szczęsny i porucznik Kręglewski, przeciekał kaloryfer i sierpień był najlepszą porą, aby go wreszcie naprawić. Kilka minut po ósmej do komendy wtargnęli fachowcy ze SPEC-u i stanęli przed grzejnikiem, przyglądając mu się krytycznie.

- Cieknie - powiedział Kręglewski. - Tu, przy rączce.

- Skądże! - odparł jeden z fachowców. - Wcale nie cieknie, tylko rosi na nyplu.

- Rosi, bo gałązka idzie do dołu, zamiast do góry - dodał drugi.

- Jasne - powtórzył pierwszy. - A kolanko zapowietrzone.

- Całkiem jak u Tuwima - mruknął Szczęsny, przysłuchując się rozmowie. - Droserklapa rozblindowana i ryksztosuje.

Obaj fachowcy spojrzeli na niego z zainteresowaniem, radzi, że mogą oderwać się od roboty. Ale kapitan więcej nie pamiętał, więc pogawędka się urwała. Za to na biurku zadzwonił telefon. Porucznik Kotowicz z komendy śródmiejskiej zawiadamiał, że wybiera się do Marysina Wawerskiego, a ściślej - do meliny hippiesów, i jeżeli Szczęsny chce, to mogą pojechać razem. Porucznik spodziewał się bowiem znaleźć tam kilku najgorliwszych wyznawców Proroka.

Około jedenastej rano znaleźli się więc w pobliżu niewielkiego, parterowego domku, zamieszkanego przez trzy rodziny; ścieśnione w trzech pokojach z kuchniami. Obaj oficerowie byli po cywilnemu, a służbowy samochód zostawili dwieście metrów dalej, aby nie wywołać zbyt dużego popłochu.

- Masz” coś przy sobie? - spytał Kotowicz cicho, wodząc

spojrzeniem po brudnych oknach, zamkniętych mimo upału.

- Pistolet - odparł Szczęsny. - A ty?

- Gaz. To lepsze.

- Sądzisz, że coś będzie potrzebne?

- Raczej nie. Ale z nimi to nigdy nie wiadomo, na co się natrafi.

- Pod którym mieszka Jemioła?

- Na prawo, pod trójką. On się nazywa Saszewski.

- Sam mieszka?

- Teraz sam. Jego rodzice siedzą za zabójstwo.

- Oboje?

- Ona za współudział. Jemioła ma trzydzieści cztery lata i nie zakosztował jeszcze pracy. Żyje z pokątnego handlu. Ostatnio sprzedawał na bazarze słone paluszki i sezamki. Ale według mnie sprzedaje również narkotyki. Nie mogę tylko dojść, skąd je bierze. Jak dotąd, żadne przemytnicze nitki do niego nie prowadzą.

Obeszli dom, nie napotkawszy nikogo. Postali jeszcze trochę na ulicy, wreszcie weszli do sieni, z której prowadziło troje drzwi w trzech kierunkach. Zastukali do tych na prawo. Otworzyły się natychmiast i stanął w nich nieduży, trochę przygarbiony mężczyzna w żółtej, mocno przybrudzonej koszuli, na której kołysał się podłużny medal, zawieszony na sznurku.

- Dzień dobry, panie Saszewski - powiedział Kotowicz. - Można do pana?

- Proszę uprzejmie - odparł Jemioła i cofnął się, wpuszczając ich do środka.

W pokoju było pusto. Na oko, żadnych śladów bytności hipów,

podłoga względnie czysta, meble równo poustawiane.

- Proszę, niech panowie usiądą - zapraszał gospodarz tego lokalu, podsuwając im krzesła. Sam przysiadł na brzegu tapczana i spoglądał na nich uprzejmie, tylko w ciemnych, trochę wystających oczach przeblyskiwało coś jakby wesoły uśmieszek.

- Sam pan jest, panie Saszewski? - spytał porucznik, patrząc w przymknięte kuchenne drzwi.

- Sam. Starzy w kiciu, jak pan wie. - No, a koledzy? Dziewczyny? Jemioła uśmiechnął się, wyraźnie rozweselony.

- Owszem, dlaczego nie? - powiedział, przyjmując od Szczęsnego papierosa. - Trafi się dziewczyna, trafi i kolega.

- Słowianka przychodzi jeszcze?

- Przepraszam, kto?

- No, panie Saszewski, nie do mnie takie pytania - zreflektował go Kotowicz. - Po co mamy się na siebie gniewać, prawda?

Jemioła westchnął, zaciągnął się papierosem.

- Przychodzi - mruknął. - Czasami. Teraz już dawno nie była.

- Doprawdy? A ja wiem, że była przedwczoraj.

- Tu, u mnie?! - zdumienie Jemioły było szczytem doskonałości.

- Tu, u pana. Nie później niż o dwunastej w południe.

- Ach, prawda! - klepnął się dłonią w czoło. - Na śmierć zapomniałem. Przepraszam, panie poruczniku.

- No, widzi pan. A ta blondynka, wie pan, z takimi długimi włosami, co troszeczkę zezuje?

- Malutka... - Jemioła znowu westchnął. - Nie, ona teraz wysoko mierzy. Wyżej niż ja.

- Co pan powie! - udał Kotowicz, choć doskonale wiedział, że Malutka chodzi z Prorokiem. - Opuściła pana?

- Co robić. Zdarza się.

- A ten... no, jak mu to - zastanawiał się - ten Andrzej, siedemnastolatek, co na Bielanach mieszka. Dawno był?

Przez twarz Jemioły przeleciał lekki skurcz. Zmrużył oczy, odchrząknął.

- Teraz to naprawdę nie wiem, o kim pan mówi - rzekł, unosząc ramiona w górę. - Andrzej to przychodzi do mnie tylko jeden, ale nie z Bielan, tylko stąd, z Pragi. Koszewski, pan go zna.

- Wiem, Kizior. Ostatnio zapuścił brodę. Ale mnie chodzi o innego Andrzeja. Niech pan sobie to i owo przypomni, panie Saszewski, a potem pan mi powie.

Kotowicz wstał, przeszedł się po pokoju, zajrzał do kuchni. Szczęsny nie odzywał się, obserwował Jemiołę spod oka, a ten zupełnie dobrze udawał, że tego nie widzi. Kiedy milczenie przedłużało się, porucznik rzekł, oglądając brudne okno:

- Nazywa się Czertwan. Czy to panu coś mówi?

- Nic a nic - Jemioła rozłożył ręce. - Nie znam człowieka. Żadne siedemnastolatki do mnie nie przychodzą. Do gnojków nie mam interesu.

- Czyżby! A jak ja panu powiem, że widziano was razem na skwerze przy Krakowskim, to też pan sobie nic nie przypomni?

- Panie poruczniku, na ten skwer różna hołota przychodzi, ja temu nie winien. Może i przyczepił się który do mnie, może o co spytał.

- A strzykawkę, gdzie pan trzyma? - Szczęsny stał przy szafie, była nie domknięta, z półki wystawała flanelowa koszula.

Twarz Jemioły w jednej chwili przybrała wyraz głębokiej obrazy. Podniósł się z miejsca, zbliżył do szafy i otworzył ją szeroko.

- Proszę - powiedział z godnością. - Niech panowie szukają. Nie mam nic do ukrywania. Proszę... tu jest bielizna, tu skarpety, krawat - przewracał na półkach, pokazując swój skromny przyodziewek. - Wszędzie może pan zajrzeć. Nie ma żadnych strzykawek.

- Niech pan zostawi, nas nie interesują pańskie gacie, panie Saszewski - przerwał porucznik. - Więc jak to jest z Andrzejem Czertwanem?

- Przecież powiedziałem. O co właściwie chodzi?

- O narkotyki.

- Nar-ko-ty-ki?! - Jemioła wytrzeszczył oczy i otworzył szeroko usta, całą swą postacią pokazując, jak bardzo jest zdumiony. - Pan chyba żartuje, panie poruczniku!

- Sądzi pan? - Kotowicz przyjrzał mu się z bliska, a Jemioła nagle zmieszał się, na chwilę spuścił głowę. - Ja wiem, że pan przestał pić na Pradze i przeniósł się aż na Wolę, bo tam mniej się rzuca w oczy. Za co pan pije, panie Saszewski? Za te parę złotych, co pan utarguje na bazarze? Za słone paluszki? Śmiechu warte. Mnie pan nie zmyli, Jemioła! Owszem, na bazarze można i tysiące zarobić na lewo, ale to nie pan. Pięć paczek paluszków na cały tydzień, niech będzie nawet dziesięć. Mydlenie oczu, abym pomyślał: handlarz. Zgadza się, handlarz, ale czym innym.

Jemioła milczał. Ręce zacisnął na kolanach, wielki medal dyndał na sznurku przy każdym głębszym oddechu, usta były zaciśnięte.

- Ma pan znajomego pielęgniarza albo salową? Potrząsnął głową przecząco.

- Do lekarza pan chodzi?

- Czasami.

- Do którego?

- Różnie.

- Od kogo pan dostaje recepty? Albo gotowe prochy?

- Od nikogo. Ja się tym nie zajmuję.

- Panie Saszewski - porucznik przysiadł obok niego - niech pan słucha uważnie. Wiem, że niełatwo jest żyć, kiedy cała rodzina to złodzieje, włamywacze, paserzy i tak dalej. Do tej pory nie stawał pan przed sądem, ma pan jeszcze czystą kartę. Ale to jest ostatni dzwonek, Jemioła! Jeden krok dalej na tej drodze i będzie koniec. A za narkotyki siedzi się, i to długo.

- Pan mi nic nie udowodni - odezwał się Jemioła. - Nie pójde siedzieć, bo nie mam za co. A ze szprycerami nie mam styku.

- Chodźmy - zwrócił się Kotowicz do kolegi. - Ale rny się chyba jeszcze spotkamy, panie Saszewski. Tak rai się zdaje.

- Zdrowia życzę panu porucznikowi - uśmiechnął się Jemioła, zamykając za nimi drzwi.

Kiedy oddalili się dostatecznie, aby nie było słychać rozmowy, Kotowicz rzekł:

- Musieli mieć „świecę” gdzieś na drodze, a znają, cholera, milicyjne wozy. Jeden ostrzegł w porę i rozbiegli się.

- Tak. W pokoju pachniało eterem czy czymś takim. A on miał w kieszeni fiolki. W prawej kieszeni spodni.

- Skąd wiesz? - Kotowicz aż przystanął. - Czemuś nic nie powiedział?

- Grzechotało lekko i dzwoniło, kiedy się poruszał, wyraźnie uderzało szkło o szkło. Ale pewnie fiolki były puste. Widocznie nie zdążył wyrzucić.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - powtórzył porucznik. - Mogliśmy go z tym złapać.

- Nie, to żaden dowód. Mógł mieć dla siebie. To nie jest karalne. Dopóki nie złapiemy co najmniej dwóch, razem zażywających, nie przetniemy tego interesu.

- Ustaliliśmy ścisłą współpracę z komendą praską, ale brak ludzi, żeby noc i dzień obserwować ten dom i Jemiołę. Wiem, że się tu schodzą, ale nie mogę natrafić. A dałbym głowę, że ktoś mu dostarcza narkotyki!

Wrócili do Śródmieścia i Szczęsny pojechał do swojej komendy. Kręglewski oznajmił mu z zadowoleniem, że „na nyplu już nie rosi”, a jego szukał naczelnik wydziału. Prócz tego Stary był w wydziale na kontroli.

- Zupełnie bez uprzedzenia, wyobraź sobie! Na szczęście, byłem. Jak zwykle - dodał szybko.

- Od kiedy to o kontroli ktoś uprzedza? - mruknął Szczęsny i poszedł do gabinetu majora Daniłowicza.

\*

Prokurator Nieświeski umówił się z Czertwanem na kawę i kieliszek koniaku w barku „Europejskim”, bo jednemu i drugiemu było tam po drodze z pracy. Usiedli w lewej salce, pod tajemniczym malowidłem, pokrywającym całą ścianę, zamówili zamiast kawy śledzika i „wyborową”. Ludzi było mało, jeszcze nie powrócili z urlopów.

- Rozmawiałem o Andrzeju z kim trzeba - rzekł Nieświeski, dziobiąc

dzwonko śledzia - i chciałbym cię uprzedzić, że za dobrze to nie wygląda.

Czertwan wychylił kieliszek i postawił go ostrożnie. Nic nie powiedział, patrzył tylko na przyjaciela, czekając dalszych słów. O tym, że sprawa wygląda niedobrze, sam wiedział i nie tego potrzebował, lecz właściwej rady, nawet pomocy.

- Gdyby chłopak zdecydował się na szczerą wobec mojego kolegi - ciągnął prokurator - i opowiedział, jak to było z narkotykami, kto mu dał, kiedy, gdzie i tak dalej, rzecz byłaby łatwa do... - zawahał się - no, nie do umorzenia, oczywiście, ale w świetle prawa wyglądałoby to zupełnie inaczej. Rozumiesz, Andrzej jest bardzo młody, ma czystą hipotekę. Napaść na przechodniów w stanie upojenia alkoholowego lub, co gorzej, na trzeźwo, a napaść pod wpływem silnego narkotyku, w dodatku podanego mu przez jakiegoś faceta, może starszego - to duża różnica. Sądzę, że chłopiec nie zdawał sobie sprawy z tego, co zażywa. Znam go przecież nie od dziś, wiem, że to spokojny młody człowiek, dobry uczeń, przyzwoity syn i brat. I powiedziałem tak mojemu koledze, który prowadzi sprawę.

- Dziękuję ci - odezwał się Czertwan.

- No, ale bieda w tym, że Andrzej mówić nie chce. Dlatego cała rzecz wygląda o wiele gorzej. Sąd może przypuszczać, że chłopiec sam, dobrowolnie, włączył w towarzystwo łobuzów i narkomanów. Że wiedział, co robi. I milczy, bo ich ochrania, bo mu na nich zależy. Czy nie możesz go jakoś skłonić do puszczenia farby?

- Próbowałem. Może zlewnie wiem.

- Znasz takiego człowieka, który nazywa się Saszewski i mieszka w Marysinie Wawerskim?



- Saszewski - Czertwan zamyślił się na chwilę, potem potrząsnął głową. - Chyba nie. To pracownik „Poksydu”?

- Nie, to w ogóle nie pracownik. Czymś tam handluje na bazarze. Milicja ma go na oku, bo są pewne dane, niestety na razie dość skąpe, że handluje pokątnie narkotykami. Podobno, ale to jest rzeczywiście: podobno, widziano go z Andrzejem. Gdzieś na Krakowskim. Jeżeli znajdziesz dogodny moment, spytaj chłopaka o tę znajomość.

- Spróbuję. Chociaż ostatnio mało co mi się udaje - mruknął Czertwan. - Zaczynam tracić pamięć. Gubię się w drobiazgach, a to jest dowodem... - urwał.

Prokurator przyjrzał mu się uważnie, jego chłodne oczy straciły na chwilę swą ostrość, złagodniały.

- Weź się w garść - odparł. - Pamiętaj, że jeszcze wszystko jest do odrobienia. Póki ktoś żyje, wszystko jest do odrobienia - powtórzył ciszej i odwrócił głowę.

Czertwanowi zrobiło się przykro. Nieświeski stracił niedawno brata, którego bardzo kochał. Wychowywali się razem i razem uczyli,- potem obaj studiowali prawo. Stefan Nieświeski zginął w wypadku samochodowym. W czasie niezwykle gęstej mgły, jadąc zresztą ostrożnie, wpakował się na furmankę, i to tak nieszczęśliwie, że pęknięta kierownica wbiła mu się w brzuch.

- Wypijmy - zaproponował Czertwan, bo nic innego nie przyszło mu na myśl, nie potrafił mówić słów pocieszenia.

Tego wieczoru zajrzał znowu do pokoju syna i zastał go, przerzucającego książki szkolne. Widok ten uradował go, bo był oznaką, że chłopiec powraca myślą do czekającej go nauki. Zaraz jednak

przypomniawszy sobie perspektywę rozprawy sądowej i westchnął ciężko. Jak pójdzie źle, to Andrzej nieprędko wróci do szkoły.

- Słuchaj... - usiadł przed nim, zawahał się. - Chcę cię o coś zapytać.

Andrzej odłożył na tapczan książkę.

- No? - powiedział i Czertwanowi, nie wiadomo dlaczego, wydało się, że syn jest chory.

- Błady jesteś - rzekł mimo woli. - Czujesz się dobrze?

- Jako tako. O to chciałeś spytać?

- Nie.

- Więc słucham - w głosie była odrobina zniecierpliwienia.

- Od dawna znasz Saszewskiego?

Nagły rumieniec, który oblał mu twarz, zdradził ojcu, że prokurator nie omylił się.

- Jakiego Saszewskiego? - mruknął, pochylając się nad dywanem, jakby czegoś szukał.

- Tego, który mieszka w Marysinie Wawerskim.

- Nie wiem, o kim mówisz. Mam, właściwie miałem w tamtym roku, kolegę Saszewskiego. Jurka. Zresztą, i ty go znasz, bo przychodził do mnie czasami. Ale on został na drugi rok. I nie mieszka w Marysinie, tylko na Wrzecionie.

- Nie chodzi mi o Jurka. Dlaczego nie mówisz ze mną szczerze? - Czertwan wyciągnął rękę, ujął palcami szczupłą twarz syna, uniósł ją trochę w górę i patrzył mu prosto w oczy. - Czy naprawdę nie chcesz, żeby pomiędzy nami było tak, jak dawniej? Przecież było nam ze sobą dobrze. Przypomnij sobie, synku.. Zawsze chciałem twego dobra i teraz tego chcę. Uwierz mi, że tak jest!

Ku jego zdumieniu, Andrzej nagłym ruchem wyrwał mu się, rzucił twarzą na poduszkę i wybuchnął tak gwałtownym płaczem, że Czertwan zdrętwiał w pierwszej chwili. Nie pomogło uspokajanie, serdeczne, czułe słowa, nie pomogły krople, chłopiec zasłabł i trzeba było wezwać lekarza. Trzęsącymi się rękoma Czertwan nakręcił numer Pogotowia, gdyż znajomy internista był na urlopie.

Przyjechała wreszcie karetka i tak się dziwnie złożyło, że w mieszkaniu zjawił się ten sam lekarz, który dawał Andrzejowi zastrzyk w Komendzie MO na Żoliborzu.

- O, to my się już znamy - powiedział na widok chłopca. I wyjaśnił ojcu, co ma na myśli. Po zastrzyku Andrzej usnął, a dyrektor poprosił doktora do drugiego pokoju i rzekł niemal z rozpaczą:

- Panie doktorze, niech mi pan ratuje syna! Co ja mam robić, żeby to się nie powtórzyło?

- Wyrwać go z tego łajdackiego towarzystwa hippiesów i narkomanów - odparł lekarz bez namysłu. - Bo inaczej chłopak się panu zmarnuje. I to już nie są żarty, my mamy niejednen wypadek śmiertelnego zatrucia narkotykami, właśnie wśród takich młodych ludzi.

- Ja rozumiem, ale przecież nie mogę rzucić pracy! Jestem głównym inżynierem dużej fabryki, muszę być poza domem wiele godzin.

- Czy nie ma pan rodziny gdzieś w innym mieście, dokąd mógłby pan go wywieźć? Choćby na rok. Może przecież tam kończyć szkołę.

- Teraz nie mogę tego zrobić - zamyślił się. - Chyba, żeby wrócił tu na samą rozprawę. Ale czy on się zgodzi wyjechać? Gdyby żyła moja żona, nigdy by do tego wszystkiego nie doszło.

- Umarli nic nam już nie pomogą - odparł lekarz. - Muszą pomóc

żywi.

## Rozdział 4

Czertwan wszedł do wydziału głównego mechanika i natrafił na kłótnię przy tokarce. Mistrz Cieśliński bez powodzenia próbował wtrącić się w gwałtowny tok dyskusji między kilkoma robotnikami. Byli to specjaliści wysokiej klasy, toteż dyrektor zbliżył się, aby posłuchać, o czym mówią, i ewentualnie rozsądzić spór.

Cieśliński dostrzegł go pierwszy, pokazał oczami. Umilkli na chwilę, ale twarze mieli gniewne, nieprzejednane.

- O co chodzi? - spytał Czertwan, spoglądając to na nich, to na mistrza.

- Powiem krótko: mają rację - odparł. - Chodzi o tę premię.

- Wiem, wydział nie otrzymał. Narzędzia były złe.

- Panie dyrektorze, to ma być sprawiedliwość? - wybuchnął jeden z tokarzy. - Jaki odlew huta przysłała, z takiego robimy. Czy to nasza wina, że odlewy są złe?

- Jest odgórne zarządzenie - zaczął dyrektor, ale któryś rzucił ostro:

- Do d...y z takimi zarządzeniami! Niech sobie dyrektorzy ze zjednoczenia czy tam z resortu papierkami ściany w domu wyklejają. Za złe odlewy trzeba hutę bić po kieszeni, a nie nas. Do czego to podobne! - I cisnął o podłogę trzymanym w ręku kawałkiem stali. - Nie będę robił takim świństwem.

- Dobrze - zgodził się Czertwan. - Postawię sprawę premii dla wydziału na jutrzejszej KSR. Jeżeli samorząd się zgodzi, premia będzie.

Cieśliński popatrzał na niego ze zdziwieniem.

- Az czego, panie dyrektorze? - spytał. - Przecie już podzielona.

- Znajdziemy fundusz. To moja rzecz. A z hutą sprawa załatwiona, od października przestajemy od niej brać. Jaki procent złych odlewów?

- Trzydzieści sześć w tym miesiącu. Ale w lipcu było to samo.

- Panie Cieśliński, w magazynie powinny jeszcze być odlewy zapasowe, tamta partia była dobra, jeżeli pamiętam. Proszę pobrać, na razie przerwiemy robotę z bieżących dostaw.

Zawrócił do biurowca, słysząc za sobą przyjazny pomruk tokarzy. W gabinecie sięgnął do skoroszytu z ostatnimi przesyłkami z huty „Radość” i przebiegł oczami kopie. Pamiętał, że w porozumieniu ze zjednoczeniem zamówił na czwarty kwartał odlewy w innej hucie, a do „Radości” wysłał urągliwe pismo z rezygnacją. We wrześniu mieli otrzymać resztę z zamówionych uprzednio dostaw, choć teraz gotów był walczyć o wycofanie tych nieszczęsnych odlewów.

Jednakże w skoroszycie nie było kopii pisma z ową rezygnacją. Ku swemu zdumieniu znalazł natomiast inny list, w którym jak byk widniało zamówienie na czwarty kwartał... w „Radości”.

- Cóż to jest? - szepnął, pocierając czoło. Przyglądał się obu kopiom, sygnowanym jego charakterystycznym podpisem i opatrzonym podłużną pieczętą „Główny inżynier Zbigniew Czertwan”. Pieczętą tej nie wydawał nikomu, trzymał ją w szufladzie, zamkniętą na klucz.

Raz jeszcze przeczytał pisma, a potem wezwał sekretarkę.

- Pani Wando - odezwał się, nie patrząc na nią. - Czy pani przekazywała ode mnie do działu handlowego pismo, rezygnujące z dostaw odlewów z huty „Radość”?

- Nie, panie dyrektorze - odparła. - Nie przypominam sobie takiego listu. A kiedy to było?

- Tuż przed moim urlopem, gdzieś koło dziesiątego lipca, może dwa dni później.

- Ja w lipcu byłam na urlopie, panie dyrektorze. Zastępowała mnie Jadzia z finansowego. Zaraz się jej spytam. A co się stało, nie ma pan kopii w skoroszycie?

- Nie mam.

Nie dodał, że miał za to pismo, którego przecież nie chciał, nie mógł wysłać, bo od wielu miesięcy borykali się ze złymi odlewami z „Radości”. I właśnie w tej sprawie, pamięta dobrze, rozmawiał w zjednoczeniu, gdzie zgodzili się nie bez trudności na zmianę kooperanta. Zaraz! Tam chyba muszą też pamiętać...

Zanim pani Wanda wróciła, połączył się z inżynierem Olewskim ze zjednoczenia i, kołując trochę, aby nie wyjść na zupełnego idiotę, sprowadził rozmowę na hutę „Radość”. Olewski przypominał sobie dobrze jego prośbę, ale teraz odrzekł z przekąsem:

- Wie pan, dyrektorze, tyle czasu pan się upierał, aby zmienić kooperanta, a kiedy ustąpiliśmy, nagle zamówił pan odlewy z powrotem w „Radości”. Więc po co były te targi?

- Ja... - zaczął Czertwan i urwał. Po prostu nie wiedział, co odpowiedzieć. Bąknął coś i pożegnał rozmówcę.

Oparł głowę na rękach, skupił myśli. Musi przypomnieć sobie treść pisma, tamtego pisma, które... wyszło czy nie wyszło z fabryki? Zjednoczenie oczywiście od razu dowiedziało się o powrocie do starego kooperanta. Wyobraził sobie uśmieški i wzruszanie ramion nad

dyrektorem technicznym „Poksytu”, który sam nie wie, czego chce.

Weszła pani Wanda, prowadząc za sobą zaniepokojoną Jadzię z finansowego. Dziewczyna nie pamiętała takiego pisma, była jednak pewna, że wszystkie kopie włączyła do skoroszytu.

- Powinna być druga kopia w sekretariacie - rzekł Czertwan z nadzieją w głosie.

- Zaraz się zorientuję.

Wanda wyszła z gabinetu, po chwili wróciła z grubym skoroszytem. Czertwan pochylił się nad nim niecierpliwie, przerzucił kartki. I tu było to samo, co u niego. Nie warto więc było sprawdzać jeszcze w dziale handlowym.

- A dyrektor Litwiński? - podsunęła sekretarka, widząc zdenerwowanie swego szefa. - Czy pan omawiał tę sprawę z naczelnym?

- Oczywiście - odparł Czertwan niechętnie. Co z tego, że naczelnny nawet pamięta tamtą rozmowę, jeżeli pismo poszło nie to, co trzeba. - Rzecz polega na tym, że... tu jest zamówienie na czwarty kwartał do huty „Radość”, a miało iść do „Kościuszki”.

Spojrzał na twarze stojących przed nim kobiet i zagryzł wargi. Obie były zdumione, mało, wprost przestraszone tym, co powiedział. Wanda, starsza i bardziej doświadczona, odezwała się ważąc słowa:

- No, ale jakże to się mogło stać? Przecież... czy pan dyrektor nie podpisywał tych pism? Mogło to również oznaczać: „czy pan nie czyta tego, co podpisuje”, i Czertwan nie mógł się obrazić, bo tylko tak chyba musiało stać się z pismami. Ktoś jednak nie wysłał listu z rezygnacją i ktoś zmienił treść pisma, dotyczącego ostatniego kwartału. A on, jak widać, podpisał nie czytając.

- Czy to możliwe! - szepnął do siebie.

- Może pan Wygodzki będzie coś pamiętał? - odezwała się nieśmiało Jadzia, która bała się tylko, aby na nią nie spadło posądzenie o cokolwiek, bo zależało jej na pracy w „Poksydzie”.

- Poproszę go tu - zdecydowała pani Wanda, nie pytając już szefa o zgodę.

Dyrektorski piesek był w księgowości, trwało więc trochę, zanim go odnalazła. Zjawił się natychmiast po telefonie i spojrzał na Czertwana pytająco, gotów do” usług. Dyrektor krótko wyjaśnił, co zaszło. Wygodzki słuchał uważnie, obejrzał oba skoroszyty, a potem rzekł:

- Szkoda, ja też byłem wtedy na urlopie, więc nie znam sprawy. Po prostu, chyba komuś zależało na tym, aby nie zrywać kooperacji z hutą „Radość”.

- Dobrze, ale komu?! - wykrzyknął Czertwan. - Założmy nawet, że podpisałem nie czytając, może się zdarzyć w nawale roboty, chociaż... Ale przecież taka rzecz musiałaby się szybko wydać, wystarczyłby list z „Radości”, że w myśl zamówienia wysyłają, i tak dalej. Czy nie było dotąd takiego listu? - zaniepokoił się znowu.

- Nie było listu - odparł Wygodzki. - Ale przyszły odlewy.

- Cholera! - zaklął dyrektor.

Milczeli wszyscy, Jadzia pobladła, pod powiekami czuła łzy. Zastanawiała się gorączkowo, czy naprawdę mogłaby aż tak poplątać pisma, zmieniając całkowicie ich treść. Była absolutnie pewna, że nie, ale kto jej uwierzy? Kto uwierzy, jeżeli w obu skoroszytach są kopie.

- Teraz już nie można zmieniać decyzji, dotyczącej czwartego kwartału - rzekł wreszcie Wygodzki z wahaniem. - Oni tam mają nasze



zamówienie, ułożyli sobie według tego plan dostaw. Do grudnia musimy jakoś pomęczyć się, a w tych dniach wyślemy im rezygnację od przyszłego roku.

- Odlewy są złe - warknął Czertwan. - Trzydzieści sześć procent do kitu. W mechanicznym obcięto premię za złą jakość, co jest niedopuszczalne. I ja to załatwię.

- Jak? - Dyrektorski piesek pokręcił głową. - Takie są przepisy, które nas obowiązują.

- Powiedziałem: załatwię! Choćbym miał z własnej pensji zapłacić. Mniejsza z tym. Panie Kaziu, niech mi pan przygotuje dwa pisma: do huty „Radość” i do huty „Kościuszko”. To drugie z zamówieniami odlewów od nowego roku. W myśl uzgodnienia ze zjednoczeniem. A pani - zatrzymał wzrok na Jadzi, która rozplakała się, nie panując już nad sobą - niech sobie dobrze przypomni, jak to było. Radzę!

Kiedy wszyscy wyszli z gabinetu, Czertwan opadł na fotel za biurkiem i przymknął oczy. I znowu przypomniał mu się sen. Zły sen o własnym synu. Poczuł, że boli go serce, cała lewa strona, pewnie mięsień sercowy zaczął się buntować albo też, co zupełnie możliwe, jest to już stan przedzawałowy.

Uchyliły się drzwi gabinetu. Chciał krzyknąć, żeby nikt nie wchodził, ale dostrzegł panią Wandę i wzruszył się. Sekretarka niosła ostrożnie szklankę z wodą i buteleczkę z lekarstwem. Postawiła na biurku, nic nie mówiąc nalala pełną łyżeczkę kropli i, jak dziecku, podała wprost do ust. Przełknął posłusznie, poczuł smak waleriany. Popił wodą i wzdrygnął się, nie znosił lekarstw.

- To tylko krople nasercowe - powiedziała, zabierając szklankę i

butelkę - ale pan dyrektor musi iść do lekarza. Pan jest po prostu przemęczony. Tak nie można pracować.

- Dziękuję, pani Wando - odparł. Pomyślał chwilę, potem dodał: - Niech ta mała z finansowego... niech pani jej powie, że to ja musiałem się pomylić, nie ona. To byłby nonsens posądzać kogoś o takie rzeczy, nie widzę celu. Rzeczywiście jestem jakiś nie w formie. Mam kłopoty domowe.

Westchnęła, popatrzała na niego ze współczuciem.

- A bo to kto ich nie ma, panie dyrektorze? - rzekła całkiem zwyczajnie, po kobiecemu. - O, choćby pan Kaliński, szef produkcji. Jeden syn, student Politechniki, świetnie się uczy, zdolny. A drugi w więzieniu.

Czertwan drgnął, podniósł na nią zmęczony wzrok.

- Za co?

- Za chuligaństwo. Upił się, narozrabiał w lokalu, podobno uderzył milicjanta. Pan Kaliński mało ataku serca nie dostał, jak mu syna w kajdankach do samochodu prowadzili. Bo akurat tamtędy przechodził.

- Czemu w kajdankach?

- No, bo się awanturował, chciał wszystkich bić. Różnie to bywa w rodzinie, panie dyrektorze. Rodzice teraz zapracowani, czasu nie mają dla dzieci.

Wyszła. Czertwan został sam. „-Gdybyś ty wiedziała - myślał - gdybyście wy wszyscy w fabryce wiedzieli, że syn dyrektora też niedługo stanie przed sądem. Za chuligańską bójkę. Po pijanemu... nie, po narkotykach. Co za różnica! Ludzie prędzej pijaństwo zrozumieją, bo prawie każdy pociąga. Pijakowi więcej się wybacza.”

Siedział chwilę bez ruchu, twarz miał kamienną, koło ust wyżłobiły się głębokie bruzdy. Nagle coś mu przyszło do głowy, sięgnął po książkę telefoniczną. Odszukał literę S i wodząc palcem po nazwiskach natrafił na właściwe. Potem nakręcił numer.

- Czy pan doktor Sechno? - spytał, słysząc ciche: „halo” z tamtej strony słuchawki.

- Przy telefonie.

- Mówi inżynier Czertwan, dzień dobry panu. Poznaliśmy się niedawno na brydżu, u prokuratora Nieświeskiego.

- Tak, pamiętam.

- Panie doktorze, czy mógłby pan mnie potraktować jako swego prywatnego pacjenta?

- Ja w zasadzie prywatnie nie przyjmuję.

- Może zrobiłby pan wyjątek? Zależy mi na dobrej poradzie - uśmiechnął się, ale czekał z napięciem na odpowiedź.

Sechno milczał tak długo, że zaniepokojony Czertwan zawołał:

- Halo!

- Dobrze - odparł lekarz z ociąganiem w głosie. - Jeżeli pan chce, to proszę przyjść do mnie... powiedzmy, o wpół do piątej. To znaczy, szesnasta trzydzieści. Adres ten sam, co w książce telefonicznej.

- Dziękuję panu. Do widzenia.

\*

Doktor Adam Sechno mieszkał na trzecim piętrze, na drzwiach, nie było tabliczki. Czertwan, zdenerwowany i niespokojny, zadzwonił wpierw lekko, potem, bojąc się, że nikt nie usłyszał, jeszcze raz. Chciał już to mieć za sobą, cokolwiek się dowie. Sam nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego

uzależniał od tego obcego lekarza, o którym nikt mu przed tym nie wspominał - niemal całą swoją przyszłość, a w każdym razie najbliższe miesiące. Może przyczyna tkwiła w tym, że od bardzo dawna nie chorował, nie brał lekarstw i przed tymi wszystkimi chirurgami, internistami, neurologami czuł ogromny respekt, żeby nie powiedzieć: strach. Zdawało mu się, że każdy z nich trzyma w rękach ludzkie życie. Jak Bóg.

Sechno sam otworzył drzwi i poprosił do środka. Był uprzejmy, jakby odrobinę serdeczniejszy niż wówczas przy brydżu. Czertwan wyczuł tę zmianę, poczuł się trochę różnie. Rozumiał, że Sechno jest tutaj w podwójnej roli: gospodarza domu i lekarza.

Weszli do pokoju, który był jednocześnie gabinetem, biblioteką, a pewnie i sypialnią doktora, gdyż w kącie stał tapczan, nie zaś lekarska kozetka. Kolorowe zasłony nie wpuszczały słońca, mimo to w pokoju było gorąco. Sechno siadł za biurkiem, dyrektorowi wskazał wygodny fotel po drugiej stronie.

- Słucham pana - rzekł.

- Panie doktorze, sprawa dotyczy oczywiście mego stanu zdrowia - zaczął Czertwan z wysiłkiem - wiąże się jednak również, przynajmniej tak przypuszczam, z inną, o której wolę nie mówić. Chodzi o to, że od pewnego czasu zauważyłem u siebie tak silne roztargnienie, rozproszenie uwagi, może nawet brak pamięci, iż przeraziło mnie to.

- Przepraszam - odezwał się Sechno - chciałbym jednak zwrócić panu uwagę, że ja nie jestem psychiatrą.

Czertwan niecierpliwie machnął ręką.

- To nic - rzekł, bez większego szacunku dla specjalności

medycznych. - Neurologia to przecież też sprawa stanu nerwów. A nerwy to dziedzina psychiatrii.

Po wąskich, bladych wargach lekarza przewinał się uśmiech. Czertwan zauważył go i rzekł tonem usprawiedliwienia:

- Mówiłem już panu, że nie rozróżniam tych wszystkich... Ale nie zdobędę się teraz na pójście do innego lekarza. Pana znam bardzo mało, zawsze jednak poznaliśmy się na gruncie towarzyskim, i to jest jakoś inaczej.

- Słucham więc. Od kiedy zauważył pan u siebie ten niepokojący stan nerwów?

- Mniej więcej od miesiąca. Doszło do tego, że w fabryce, w której pracuję, zaczynam robić głupstwa. Inni to widzą.

- Proszę się rozebrać, zbadam pana.

Opukiwanie, osłuchiwanie, cała seria pytań, przy których Czertwan, nieprzyzwyczajony do wywnętrzania się przed obcym człowiekiem, zacinał się i kluczył, szukając słów. Wreszcie Sechno pozwolił mu się ubrać, siadł za biurkiem i zaczął wypisywać receptę. Wtedy Czertwan zdecydował się na poruszenie sprawy, z którą właściwie przyszedł.

- Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, czy jest możliwe, że ja nieświadomie” zażywałem... no, jakieś środki psychotropowe. I że one właśnie tak podziałały na mój system nerwowy.

Lekarz wolnym ruchem odłożył długopis i spojrzał na mówiącego. Było to dziwne spojrzenie, pomyślał Czertwan, dziwne i niedobre, a uśmiech Sechny wydał mu się znowu, jak wtedy przy brydżu, nieco okrutny.

- Dlaczego pan mnie o to pyta? - powiedział lekarz cichym głosem.

- Bo - Czertwan znów zaciął się, milczał chwilę - bo sędzę, że... po prostu, jest taka możliwość... Proszę mi odpowiedzieć na pytanie! - dokończył gwałtownie.

Sechno wstał nagle i ponad biurkiem wyciągnął do niego rękę z receptą.

- Proszę to zażywać. Proszki dwa razy dziennie po jedzeniu, a tabletki na noc jedną, po tygodniu połowę. Dadzą się łatwo przełamywać. Nie więcej niż jedną teraz, a później nie więcej niż pół - powtórzył.

- Ale pan mi nie odpowiedział, panie doktorze! - wykrzyknął Czertwan, widząc, że nie dowie się najważniejszego.

- Nie prosiłem pana o tę wizytę - odparł Sechno szorstko. - I nie muszę na wszystko odpowiadać. Ma pan nadwreżony system nerwowy, nerwicę serca, poza tym jest pan zdrow.

- Nadwreżony wskutek narkotyków? - zdecydował się postawić sprawę jasno. - Przecież to może mi pan chyba powiedzieć!

Sechno odwrócił się do niego plecami. Milczał. Po dłuższej chwili rzekł zdławionym głosem, a Czertwanowi zdawało się, że przez słowa lekarza przebija śmiech, drwiący i nieprzyjemny:

- Najlepiej pan zrobi, jak pan teraz wyjdzie.

- Dobrze - ambicja nie pozwalała dłużej nalegać. - Proszę, to jest honorarium za wizytę. Do widzenia.

Położył na brzegu biurka dwie setki i wyszedł. Sechno nie ruszył się, nie odprowadził go do drzwi. Czertwan, kipiąc gniewem, wsiadł do samochodu i postanowił, że przy pierwszej okazji nawymyśla Nieświeskiemu za to że każe mu grać w brydża z wariatami. Klął półgłosem, prowadził wóz nieuważnie i na skrzyżowaniu ronda zarobił

mandat. Płacąc, mimo woli uspokoił się, a w każdym razie przestał się złościć. Nakazał sobie spokój i opanowanie.

W domu podarł receptę i wyrzucił do kosza, nawet nie patrząc, co mu Sechno zapisał. Postanowił poczekać na powrót z urlopu znajomego lekarza. Ale tego wieczoru, kiedy chciał jak zwykle poprosić Andrzeja o herbatę, zawahał się, a potem sam poszedł do kuchni. Wstydził się że posądza własnego syna, nie był jednak w stanie wprost go zapytać o te ciemne sprawy. Pomyślał, że już teraz tak będzie - bariera, odgradzająca go od Andrzeja, bariera nieufności i podejrzeń. I zrobiło mu się gorzko.

Do kuchni wsunęła się Basia, o której w ostatnim czasie często zapominał, tak była cicha i jakaś niezauważalna w domu. A może po prostu on był zbyt zaabsorbowany synem, żeby dostrzegać córkę? Pełen winy przyciągnął ją do siebie, objął i przytulił.

- No co, córeczko? - zagadnął. - Za trzy dni szkoła. Czy ty masz wszystko, co ci potrzeba? Wiesz, te tam... zeszyty, książki, kapcie.

Roześmiała się, otarła policzkiem o rękaw jego marynarki.

- Tato, kapci już się nie nosi. Nogi się rozklapują. Teraz obowiązkowe są juniorki. Ale ja już mam. Ciocia Helena kupiła mi zeszyty i książki, i nową teczkę.

- Ciocia Helena?

Prawda, zapomniał o własnej siostrze. Ostatnio prawie jej nie odwiedzał. A mimo to, proszę, wyręczyła go w obowiązkach ojcowskich. Postanowił, że w najbliższą niedzielę pójda tam we trójkę... albo we dwoje, z Basią. Znowu myśl o chłopcu zachmurzyła mu czoło. Basia, jakby domyślając się, szepnęła:

- Ja wiem, że ty masz kłopoty z Andrzejem, tato. Czy to prawda, że

on musi iść do sądu? I że mogą go skazać?

- Nie wiem jeszcze, kochanie - westchnął. - Być może, uda się go z tego wyciągnąć.

- On teraz ze mną wcale nie rozmawia - poskarżyła się. - Tak się zmienił od wakacji. Dlaczego?

- Myślę, że jest mu z tym ciężko. Postaraj się jakoś do niego trafić, pogadać jak dawniej. Dobrze?

- Dobrze, tato. Zrobić ci kolację?

- A co mamy w domu?

- Gospośia kupiła schab pieczony, są jajka, pomidory. Chcesz jajecznicę z pomidorami?

- Chcę. I kawałek schabu.

- Ale musisz trochę poczekać, bo obiorę ci pomidory ze skórki.

- Po co?

- W radio mówili, i pani w szkole, jeszcze w czerwcu, zanim były w sklepach. Pani mówiła, że na skórcie są... te, no... środki owadobójcze. Idź, tato, do pokoju i nakryj stół. Andrzej jest?

- Zobaczę.

Zajrzał do syna, ale go nie było. Jak zwykle w ostatnich tygodniach. Zasepiony, wrócił do swego pokoju, otworzył telewizor. Zjedli kolację, pooglądali film.

- Tato - powiedziała Basia, kiedy mówiła mu dobranoc - mogę jutro pójść do Anki, wieczorem? Pobawimy się trochę, Anka ma fajne płyty, wujek jej przysłał z Kanady.

- Gdzie ta Anka mieszka?

- Na Olesińskiej. Wiesz, gdzie to jest?



- Wiem, na Mokotowie. Długo chcesz tam być? Nie lubię, jak chodzisz sama po nocy.

- Ojej, zaraz noc! - prychnęła. - Na jedenastą wrócę. No, piętnaście po. Wsiądę tam w pośpieszny „A” i zajadę prosto na Żeromskiego. A przez nasze osiedle, to dwa kroki.

- Dobra, córeczko. Idź teraz kimać i niech ci się coś ładnego przyśni.

\*

Szła ulicą, jeszcze rozweselona zabawą, nucila sobie pod nosem jedną z kanadyjskich melodii, która wszystkim najbardziej się podobała, tę płytę nastawiały chyba z sześć razy. Wieczór - właściwie, była to już noc, dwadzieścia po jedenastej, mimo obietnicy zapomniała wcześniej wrócić do domu - więc wieczór był tak ciepły i pogodny, że postanowiła przejść się chociaż kawałek, zanim wsiądzie do autobusu. Właściwie, myślała skręcając w Sandomierską, można zupełnie dobrze dojść do Rakowieckiej i dopiero stamtąd zawrócić na Puławską.

Na Sandomierskiej było pusto. Nie od razu jednak dostrzegła trzech mężczyzn, którzy nagle wyłonili się gdzieś z tyłu, może zza zakrętu, i szli za nią, w odległości kilkunastu metrów. Potem uprzytomniła sobie, że ich kroki słyszała już od pewnego czasu, tylko nie zwracała na nie uwagi. Może szli tak od Olesińskiej.

Postanowiła szybciej dojść do Rakowieckiej, tam było zwykle więcej ludzi i świateł. Ale kroki zbliżały się, w pewnej chwili zorientowała się, że są tuż za nią. „Cóż mogą mi zabrać - pomyślała - torebkę i zegarek. Mam tylko dwadzieścia złotych. Zegarek jest zwyczajny, tani. Jeżeli mnie zaczepią, rzucę im torebkę i ucieknę. Może gdzieś niedaleko będzie radiowóz milicyjny.”

- Laleczko, co się tak śpieszysz? - usłyszała tuż nad uchem. Poczowała czyjś oddech, przesycony alkoholem.

Zacząła biec, ale mocna ręka przytrzymała ją za łokieć i wykręciła, aż dziewczynka krzyknęła z bólu. Teraz otaczali ją wszyscy trzej, widziała ich zaczerwienione twarze. Nie rozumiała jeszcze, czego chcą. Była wyrosnięta i dobrze zbudowana, jak na swoje dwanaście lat, może to ich zmyliło, sądzili, że mają do czynienia z kobietą dorosłą. Raptem rozgniewała się. Nie była tchórzliwa.

- Czego chcecie? - krzyknęła. - Zostawcie mnie w spokoju!

- O, laleczka się złości - zdziwił się ten wyższy. - Nieładnie, ach, jak nieładnie. My tego nie lubimy, proszę dziewczynki.

Dostrzegła, że z najbliższej bramy wysunął się jeszcze jeden, kryjąc się w cieniu. Coś w tej postaci było chyba znajome, nie miała jednak czasu, aby się zastanowić. Jeden z chłopaków wyszarpnął jej torebkę, drugi przyłożył rękę do ust, aby nie mogła wydobyć głosu, i zaczął ciągnąć do bramy. Opierała się, kopała, wykręcała głowę, w końcu ugryzła dłoń, zasłaniającą usta. Właściciel ręki zaklął, puścił na chwilę. Nabrała oddechu, aby krzyknąć, i w tej samej chwili zobaczyła tuż przed oczami inną rękę, a na jej przegubie piękny szwajcarski zegarek z charakterystyczną czerwoną tarczą. Maleńkie cyferki płonęły w mroku zielonkawym światłem.

- Ty!?! - krzyknęła, zdumienie i przerażenie zdławiło jej krtań.

Poczowała piekielny ból na twarzy, jakby rozżarzona igła przeorała jej policzek - raz, drugi. Jednocześnie usłyszała z daleka gwizd, tupot nóg i szum motoru. Raptem dokoła niej zrobiło się pusto. Zanim oprzytomniała, ktoś chwycił ją i pociągnął do światła latarni, ktoś inny zawołał: - Tam,

Władek, za tymi drzewami! Jedź dokoła, ja zajdę od podwórza...

Samochód odjechał, przy dziewczynce pozostał młody człowiek w szarej flanelowej koszuli, który wyciągnął z kieszeni chustkę i przyłożył jej do skaleczonych policzków.

- Zna pani tych ludzi? - spytał, a potem przyjrzawszy się bliżej, mówił po prostu: - Dziecko, znasz ich? Mów szybko, musimy ich znaleźć. Boli cię? Jesteśmy z milicji, nie bój się.

- Taaak - wyjąkała przez łzy, twarz piekła ogniem, nie wiedziała, co się stało, oszołomiona tak błyskawicznie rozgrywającą się sceną. - Boli... Ja ich nie znam... Zaczepili mnie i wyrwali torebkę...

- Ta? - mężczyzna podniósł coś z chodnika i podał.

- Tak, to moja.

- Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz?

- Barbara Czertwan. Mieszkam na Bielanych.

- Ile masz lat?

- Dwanaście skończone.

- I czego łazisz po nocy? - rozgniewał się na chwilę. - Zaraz odwieziemy cię do domu, tylko radiowóz wróci. Coś tu robiła na Mokotowie?

- Byłam u koleżanki na Olesińskiej i... chciałam trochę się przejść. Tak ciepło...

- Na spacer to się chodzi w dzień, w twoim wieku. Na pewno nie znasz żadnego z nich?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. Trzęsła się, jak w gorączce, aż wywiadowca zaniepokoił się, bo sądził, że dziewczynka dostała szoku ze strachu. Musieli - jednak czekać.

Po kwadransie samochód wrócił, nie było w nim jednak napastników. Przepadli w mroku podwórek i bram starych domów. Dwaj pozostali wywiadowcy pomedytowali chwilę, zawiadomili przez radio Komendę Dzielnicową na Mokotowie i zgodzili się, że trzeba małą zawieźć na Pogotowie Ratunkowe. Miała policzek dwukrotnie przecięty żyletką, ranka była dość głęboka i wymagała szycia.

- Tatusiowi trzeba - szepnęła Basia, kiedy jechali przez miasto - bo on się niepokoi... Obiecałam, że wcześniej wrócę.

- Macie w domu telefon?

- Tak.

Podawała numer. Wywiadowca połączył się ze stanowiskiem dowodzenia w Pałacu Mostowskich i poprosił o przekazanie Czertwanowi, co zaszło. Wtedy dowiedział się, że zaniepokojony ojciec dzwonił już do komendy, pytając, czy jego córka nie miała jakiegoś wypadku, bo powinna od godziny być w domu.

Lekarz nie skończył jeszcze nakładania szwów, kiedy Zbigniew Czertwan wpadł na salę zabiegową. Na widok Basi, tak okaleczonej, nogi ugięły się pod nim i prócz córki trzeba było jeszcze ratować ojca. Dowiedziawszy się od pracownika służby wywiadowczej, co zaszło, Czertwan zaczął mu gorąco dziękować za ratunek.

- Panie - mówił, ściskając mu rękę - nie mam słów, żeby wam się odwdzięczyć! Ja nawet nie chcę myśleć, co te łotry mogły zrobić z dzieckiem, gdyby nie wasza pomoc! Przecież ona ma tylko dwanaście lat! Zadzwonię jutro do komendanta, podziękuję... Panie doktorze, czy to głębokie cięcia?

- - Do wesela się zgoi - uśmiechnął się lekarz, nakładając opatrunek.

- No, może będzie mały ślad. Takiej ładnej panience to i tak nie zaszkodzi. Za trzy dni niech pan ją zaprowadzi do chirurga, żeby obejrzał. Szwy trzeba potem wyjąć. Co, Basiu, jeszcze boli? - pochylił się nad dzieckiem. Zajrzał jej w oczy, pokręcił głową. - Zapiszę krople i dostanie zastrzyk.

Odprowadził ojca na bok i szepnął, aby nie zostawiał małej samej w domu. Przeszła duży wstrząs, może to odchorować.

Przez całą noc Czertwan siedział przy córce, która rzucała się niespokojnie i mruzczała przez sen. Twarz miała rozpaloną, odpychała jego ręce, kiedy poprawiał poduszkę, to znów przytulała je do głowy. W pewnej chwili usłyszał, że szepce słowa, których treść sprawiła, iż zbladł. Nasłuchiwał uważnie, próbując lepiej zorientować się, kogo dziewczynka się boi i dlaczego. Jeszcze nie chciał wierzyć, sądził, że się przesłyszał.

O świcie zgrzytnął klucz w drzwiach wejściowych. Dopiero teraz Czertwan przypomniał sobie, że kiedy wrócili z Pogotowia, pokój Andrzeja był pusty.

Przez kilka minut siedział bez ruchu i próbował opanować się na tyle, aby nie popełnić czynu, którego potem mógłby żałować. Czuł jednak, że wzbiera w nim fala tak mocnego gniewu i żalu, iż graniczyło to prawie z nienawiścią. Zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w ciało. Ból otrzeźwił go trochę, nie przeszedł jednak gniew. Wstał i na palcach wyszedł z pokoju.

Andrzej siedział na tapczanie, leniwymi ruchami rozpinał koszulę. Na widok ojca drgnął, spróbował się uśmiechnąć. Czertwan zatrzymał się na progu, oparł o drzwi. Ręce włożył w kieszenie, postanowił, że ich nie wyjmie, chyba że...

- Gdzie byłś? - spytał, z trudem opanowując skurcz szczęki.

- U kolegi - odparł chłopak. W twarzy ojca musiało być coś strasznego, bo zerwał się i odsunął pod okno.

- Gdzie u kolegi? - badał Czertwan nieustępliwie.

- Na... ten, na Pradze.

- Cały czas tam byłeś?

- Tak. Nie, byliśmy jeszcze w parku..A co chodzi?

- Byłeś tylko na Pradze czy jeszcze w innej dzielnicy?

- No - zawahał się, wzruszył ramionami. - Czy ja pamiętam? Ale o co ci chodzi, tato?

- Gdzie masz zegarek? I tę nową wiatrówkę?

Andrzej poczerwieniał, cofnął się jeszcze dalej, w sam kąt pokoju. Wyglądał jak zagnany w pułapkę szarak. Milczał, opuściwszy nisko głowę.

- Pokaż ręce! - zażądał Czertwan, podchodząc do niego. A kiedy chłopiec schował je za siebie, szarpnął go za ramiona, schwycił przeguby obu rąk i obejrzał. Na lewym nadgarstku widniał jaśniejszy ślad po szerokim pasku od zegarka.

- Gdzie go schowałeś? - krzyknął ojciec. - Już się domyśliłeś, że cię poznała! Ty... ty łajdaku! - Złapał go za koszulę pod szyją i uderzył parokrotnie w twarz. Potem odepchnął, aż Andrzej zatoczył się pod ścianę i upadł. - Na własną siostrę! Ty zbrodniarzu!... Z domu wyrzucę!

Chłopak zerwał się z podłogi, dyszał ciężko, oczy mu błyszczały podnieceniem.

- Sam pójdę - warknął. - Ale pamiętaj, że nie masz racji! Nie jestem zbrodniarzem i nic złego nie zrobiłem.

- To chodź, zobacz! - Czertwan chwycił go za rękę, pociągnął do

drugiego pokoju. - Zobacz, jaką ma pokaleczoną twarz! To twoi koledzy zrobili, a ty byłeś z nimi. - Mówił teraz szeptem, aby nie zbudzić śpiącej.

Andrzej patrzył przez chwilę na dziewczynkę, na jej policzek z nałożonym opatrunkiem, i odparł również szeptem:

- Ja nie wiem... nic nie rozumiem! Co jej się stało?

- Kłamiesz! - dorzucił ojciec, wyprowadzając go na korytarz. - Po wiatrówce cię poznała i po zegarku. A ty go potem zdjąłeś, bo zorientowałaś się. Teraz kłamiesz, bo strach cię ogarnął.

- Tato, ja przysięgam, że...

- Milcz!

- Nie będę milczał. Nie byłem z nikim, kto napadł na Baškę, nie mam z tym nic wspólnego, słyszysz!?

Czertwan wyszedł do kuchni, nalał sobie szklanek wody i pił wolnymi łykami. Andrzej stanął w progu, zagrządzając przejście i powtarzał uparcie:

- Nie byłem tam, słyszysz? To nie ja! Nie masz prawa mnie oskarżać...

- Dobrze - Czertwan odwrócił się w jego stronę, odstawił szklanek. - Przypuśćmy, że ci uwierzę. W takim razie komu podarowałaś czy sprzedałaś wiatrówkę i zegarek? Zresztą, mniejsza o kurtkę. Takich na pewno jest więcej w Warszawie, chociaż była zagraniczna. Ale zegarek miał bardzo nietypową, czerwoną tarczę z zielonymi cyframi. Dobrze wiesz, bo jak ci go przywiozłem, cieszyłeś się, że masz coś, czego nie ma nikt z twoich kolegów. Gdzie jest ten zegarek?

- Sprze... pożyczyłem. I wiatrówkę.

- Komu?

Chłopak nie odpowiedział.

- Po co sprzedałeś? Bo nie wierzę, że pożyczyleś. Ile ci za niego zapłacili?

- Pożyczyłem - powtórzył z uporem. - Gdzie Basię napadli?

- Na Sandomierskiej. Jak wracała od Anki.

- I... i co?

- I na szczęście nadjechała w porę milicja. Ale dziecko ma twarz przeciętą żyletką. Musieli jej zszywać w Pogotowiu. Słuchaj, ja z ciebie wydobędę, komu ty dałeś ten zegarek!

- Przyniosę go. Oni... milicja ich złapała?

- Nie wiem - odparł Czertwan sucho. Przyglądał się synowi spode łba, wazył coś w myślach. Raptem wszedł do jego pokoju, zdjął z krzesła marynarkę i zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Co ty, tato?! - krzyknął chłopiec. - Przecież ja go nie mam przy sobie. Jutro...

Ale nie dokończył. Na dłoni ojca leżał szwajcarski zegarek z czerwoną tarczą i zielonymi cyferkami - wyjęty z kieszeni marynarki. Tej, w której przed pół godziną wrócił do domu.

Czertwan stał chwilę bez ruchu, w głowie miał pustkę. Poczuł naraz tak ogromne zmęczenie, że siadł na krzeselku i zwiesił głowę. „Za wiele - pomyślał, ściskając w dłoni cichutko tykający zegarek. - Naprawdę już za wiele.”

Po jakimś czasie ocknął się i podniósł. Przeszedł obok syna, który stał wciąż w korytarzu, patrząc na niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Przeszedł tak, jakby go nie widział, minął jak pustą przestrzeń, nie powiedział ani jednego słowa. Zgasił światło w kuchni i w korytarzu,



wsunął się cicho do pokoju Basi i zamknął drzwi za sobą. Dziewczynka spała.

## Rozdział 5

Major Daniłowicz milczał przez parę minut, rozważając w myśli to, co usłyszał. W końcu przeniósł wzrok na Szczęsnego i rzekł:

- No, dobrze. W zasadzie sprawa wydaje się jasna. Szczerze mówiąc, nie widzę tu nawet roboty dla ciebie. Napad na tę małą był na Mokotowie i tym się już zajmuje tamtejsza służba kryminalna. Melina w Marysinie Wawerskim u Jemioły jest w gestii komendy na Pradze-Południe. Pomogą jej informacje Kotowicza. A ty? Nawiasem mówiąc, wierzysz, że młody Czertwan brał udział w napadzie na siostrę?

- Pewne fakty na to wskazują - odparł kapitan. Siedział okrakiem na krześle i popijał wystygłą kawę. - Wiesz, ten zegarek i wiatrówka. Basia nie chciała oskarżać brata. Dopiero kiedy ojciec powiedział jej, że i tak zdradziła się z tym przez sen, miała wtedy gorączkę... Tam teraz sądny dzień, w ich domu. Ojciec z synem w ogóle nie rozmawia. Mała jest jeszcze chora, przeszła głęboki wstrząs nerwowy.

- A chłopak?

- Chodzi jak struty, wilkiem patrzy. Nie chciał ze mną gadać, w ogóle się nie odezwał. Zobowiązałem się wobec Czertwana, że nie powiem kolegom z Mokotowa o tym zegarku i kurtce. Ale sam nie wiem, co robić. Może dziewczynka pomyliła się? Pakować chłopca w taką paskudną aferę, jeżeli jest niewinny, to znaczy pograć go do końca. Już mu wisi sprawa za tamtą bójkę, teraz znowu... A z drugiej strony, jeżeli on tam był z nimi,

powinien odpowiadać.

- Nic nie mówi na swoją obronę?

- Podobno na drugi dzień, w kuchni, złapał ojca za rękę i zmusił do wysłuchania. Było tego nie więcej niż parę zdań. Że on był w tym czasie na Pradze, a zegarek musiał mu ktoś włożyć do kieszeni marynarki, bo on nic o tym nie wie. Przyznał się, że go sprzedał jakiemuś facetowi, podobno go nie znał, gdzieś na Targowej, dwa - trzy dni temu.

- Więc jak to: sprzedał komuś, a potem ten nieznajomy raptem wkłada mu do kieszeni... nie, na to nie daj się nabrać! Bzdura kosmiczna. I głupi wykręt, mógł wymyślić coś lepszego.

- No właśnie. Ale wiesz, Stefan, on mi nie pasuje do tego napadu.

- Co to znaczy: nie pasuje? Charakterem czy jak?

- Nie śmieję się. Charakterem. To jest, wydaje mi się, z gruntu porządny chłopak, raczej bierny, bardzo wpływowy, ale porządny. Czertwan opowiadał mi o nim dużo. Jakieś dwa miesiące temu gówniarz dostał się w ręce hippiesów i ci go nieco przerobili, ale przecież tak od razu chłopak się nie zdemoralizował, w to nie wierzę. Narkotyki, owszem. Gotów byłbym myśleć, że oddał któremuś z nich zegarek za „prochy”, bo własnych pieniędzy nie miał albo mu już nie starczyło. Ale oczywiście wtedy zegarek nie znalazłby się w jego marynarce.

- Może go wykupił?

- Kiedy? Przed czy po napadzie? Bo wtedy należałoby chłopaka zamknąć. Czy możemy to zrobić wyłącznie na podstawie zeznań dwunastoletniego dzieciaka?

- Niech Andrzej przedstawi jakieś wiarogodne alibi na tę noc. Choćby na tę godzinę. Nie powiedział ojcu, gdzie był? I z kim?

- Za Boga nie chce tego wyjaśnić. Milczy, jakby się bał swoich koleżków.

- A może ktoś mu podrzucił, zegarek? Jeżeli na Sandomierskiej byli jego znajomi, nic prostszego, jak zwalić winę na Andrzeja i niepostrzeżenie wsunąć mu zegarek do kieszeni.

- Musiałby się z nimi widzieć po napadzie. Musieliby zorientować się, że to była jego siostra i że go poznała... Nie, to wszystko się kupy nie trzyma. Nonsens. Zresztą im pewnie zależy na Andrzeju, bo węższą przy nim forszę bogatego taty. Trzeba ostrzec Czertwana, żeby dobrze zabezpieczył mieszkanie przed włamaniem.

- A swoją drogą - rzekł major w zamyśleniu - jak to się na tego człowieka wszystko wali! I to w ciągu tak krótkiego czasu... Co się stało?

Patrzył zdziwiony na Szczęsnego, który raptem zerwał się z krzesła, a jego wąskie, czarne oczy zapłonęły.

- Zaraz! - zawołał. - Poczekaj, jak ty powiedziałeś? - Co cię ugryzło?

- Powtórz! - zażądał kapitan. - To, co mówiłeś, - teraz. To ostatnie zdanie.

- Co ja mówiłem? - major był coraz bardziej zdumiony. - Chyba nic ważnego. Że na tego Czertwana ciągle coś się wali w tak krótkim czasie. To naprawdę nie jest odkrywczyste, zapewniam cię.

- A jeżeli jest? - powiedział Szczęsny, siadając na brzegu biurka. Jasne, prawie białe włosy, silnie kontrastujące ze śniadą twarzą, wzburzyły mu się nad opalonym czołem. Patrzył na Danilewicza z natężeniem, aż zniecierpliwiony major zaproponował:

- Zajmij się czymś innym, a nie moim nosem.

- Twój nos jest dostatecznie długi, abym mógł, wpatrując się w

niego, należycie skupić uwagę.

- Odpieprz się. Czy mam ci przypomnieć zaległą robotę? Stary już dwa razy pytał o to zabójstwo przy Brackiej. Sprawcy chodzą na wolności. Nic ci to nie mówi?

Ale Szczęsny nie odpowiedział. Z biurka przeniósł się na parapet okienny, wzrok utkwił na odmianę w klosz od lampy i milczał. Major westchnął, w końcu zajął się swoją robotą. Tak minął kwadrans, Daniłowicz zapomniał o koledze i prawie nie zauważył, jak Szczęsny cicho wysunął się z gabinetu.

\*

„Mogę się mylić - myślał kapitan, okazując strażnikowi «Poksydu» służbowy znaczek. - Mogę się mylić - absolutnie i idiotycznie, ale spróbować trzeba.” I szedł do budynku administracyjnego.

Czertwan kończył odprawę z mistrzami. Szczęsnemu było to nawet na rękę. Przysiadł w sekretariacie, a kiedy pani Wanda posłała po coś maszynistkę i w pokoju prócz nich dwojga nie było nikogo, powiedział do niej:

- Chciałbym panią o coś zapytać, jeśli można.

Uniosła wzrok znad papierów. Zobaczył, że ma zmęczoną, niemłodą twarz kobiety po czterdziestce, która nie poświęca wiele uwagi kosmetykom, bo albo nie ma na to czasu, albo jest zbyt znużona. Dostrzegł jednak przy tym, że oczy ma dziwnie młode, żywe i bystre.

- Proszę, niech pan pyta.

- Czy dyrektor Czertwan ma jakieś kłopoty w fabryce?

Zmieszła się, zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Niech pan zapyta dyrektora - odparła sucho. - To jest

świetny fachowiec, bardzo ceniony przez wszystkich. A kłopoty ma każdy dyrektor w każdej fabryce. Jestem tu od samego początku, od założenia „Poksydu”, i przeżyłam już sześciu naczelnych, a technicznych chyba... czterech. Tak, dyrektor Czertwan jest czwartym. Żaden z nich nie miał rajskiego życia, proszę pana. Fabryka ogromna, siedem tysięcy ludzi i tyleż kłopotów.

Uśmiechnął się do niej, broniła Czertwana z zapalem wiernej sekretarki.

- Spytałem tylko dlatego, żeby mu pomóc.

- Pan? - zdziwiła się. - Jak? Co milicja ma do tego? Nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi gabinetu otworzyły się i zaczęli stamtąd wychodzić mistrzowie i kierownicy wydziałów. Szczęsny zaczekał, aż dyrektor ukazał się w progu, potem ruchem głowy pokazał na gabinet. Czertwan zrozumiał, zaprosił go do środka.

- Chwileczkę - mruknął, uruchamiając selektor. - Muszę załatwić dwie sprawy.

Kiedy rozmawiał, kapitan obserwował jego twarz. Czertwan zmienił się przez ostatnie dni. Miał ciemne sińce pod oczami, koło ust utworzyły się dwie bruzdy, a w szpakowatych, gęstych włosach było chyba więcej siwizny. „Wzięło chłopca - pomyślał. - Nic dziwnego.”

- Słucham, kapitanie - rzekł dyrektor, siadając naprzeciw niego za długim stołem konferencyjnym. Na zielonym suknie stały popielniczki, pełne niedopałków, a w powietrzu mimo otwartych okien unosił się szary dym.

- Chciałbym, żeby odpowiedział mi pan na takie pytanie: czy, abstrahując od tego wszystkiego, co wydarzyło się z pana synem, a potem

i córką, zaszło w ostatnim czasie coś, dotyczącego pana osobiście? Mam na myśli osobiste przykrości, zmartwienia, może, bo ja wiem, groźby? jakieś listy, telefony?

- Nie - odparł Czertwan. - Żadnych grózb, nic takiego. Natomiast... no, jak by to panu powiedzieć? Źle się czuję. Właśnie ostatnio spostrzegłem, że popełniam omyłki w pracy, gubię notatki, co mi się nigdy nie zdarzało. I nawet - urwał, potrząsnął głową. Nie chciał mówić o podejrzeniach wobec syna.

- Co: nawet?

- Nic, nic. Byłem... nawet byłem u lekarza.

- Co powiedział?

- E, to jakiś nienormalny facet. Pod koniec wizyty wyprosił mnie z mieszkania.

- U którego lekarza pan był?

- U Adama Sechny. Szczęsny spojrzał na niego bystro.

- To neurolog - rzekł. - Czy nie powinien pan być iść raczej do internisty?

- Może. Zresztą, to w ogóle była nieudana wizyta. Dziwny człowiek, ten Sechno.

- Nie znam go osobiście. Wiem, że był kiedyś oskarżony o ułatwianie ludziom recept na narkotyki. Ale został uniewinniony. - Zamyślił się na chwilę. - Dawno pan go zna?

- Bardzo niedawno. On sam wygląda na narkomana..I nagle Szczęsnemu przypomniała się rozmowa z Andrzejem, w mieszkaniu Czertwanów, kiedy to chłopak powiedział z ironicznym uśmiechem: „A skąd pan wie, czy to nie lekarz?”

Trzeba sprawdzić - mruknął do siebie. Wstał i żegnając się, rzekł: - Gdyby zdarzył się panu choć jeden wypadek jakiegokolwiek groźby, próby szantażu, anonimowy list czy telefon z pogróżkami, coś z tych rzeczy, proszę natychmiast do mnie zadzwonić. Gdyby pan nie mógł mnie znaleźć, proszę zawiadomić oficera dyżurnego Komendy Stołecznej.

- Dlaczego pan przypuszcza, że może mi się to w ogóle zdarzyć? Z czym pań to kojarzy?

- Nie wiem jeszcze. Czy ma pan wrogów, dyrektorze? Czertwan wzruszył ramionami.

- Niegroźnych - odparł. - Jeżeli jacyś są, to do tej pory nigdy się nie ujawnili. Zresztą, o co mogłoby im chodzić? O moje stanowisko? Mieszkanie spółdzielcze? Służbową „Warszawę”? Nikomu nie stoję na drodze. To nonsens, kapitanie.

W korytarzu Szczęsny minął dyrektorskiego pieska, zawrócił i zatrzymał go słowami:

- Dzień dobry, poznaliśmy się u dyrektora Czertwana. Jestem z Komendy Stołecznej Milicji. Przypomina pan sobie?

Wygodzki przytaknął, uprzejmie wyciągnął rękę na powitanie. Drugą ręką poprawił przekrzywione okulary i odparł swym cichym, miłym głosem:

- Oczywiście, pamiętam. Czy pan sobie czegoś życzy ode mnie?

- Parę słów tylko.

- To może siądziemy tam, przy stoliku - pokazał na mały hol przy końcu korytarza.

- Dobrze zgodził się Szczęsny, a kiedy siedli, powiedział: - Prowadzimy tu u was sprawę kradzieży polistyrenu, ale nie o to mi chodzi.

Odwiedziłem przy tej okazji parokrotnie dyrektora Czertwana i zauważyłem, że ostatnio bardzo się zmienił, fatalnie wygląda. Czy on po prostu nie jest chory? Radziłem mu już, żeby się leczył, wie pan, znamy się od dawna, ale jakoś nie mogę trafić mu do przekonania. Pan jest, jak słyszę, jego prawą ręką, dlatego, mam do pana prośbę: namówcie go jakoś, żeby się leczył. Przecież on wam się tu wykończy!

Wygodzki słuchał z uwagą, a potem rzekł:

- Ja też to zauważyłem. Dyrektor czymś się martwi, narzeka na serce. Zdaje się, że był nawet u lekarza. Ale ludzie, którzy prawie nigdy nie chorowali, nie chcą się leczyć, uważają, że na to zawsze będzie czas. A potem jest za późno.

- To on zawsze był taki zdrowy? - spytał kapitan, zapominając, że zna Czertwana „od bardzo dawna”, ale dyrektorski piesek nic nie spostrzegł, bo odparł żywo:

- Panie, to był okaz zdrowia! Ale cóż, lata idą... Jesteśmy równolatki  
- uśmiechnął się, znów poprawiając okulary.

- Długo pan go zna?

- Parę lat. - Podniósł się i powiedział: - Muszę iść, mam dużo roboty. Dobrze, obiecuję panu, że będę namawiał dyrektora, aby się leczył. Mamy tu u nas dobrych internistów, spróbuję z nimi się skontaktować i napuścić na dyrektora. Do widzenia, panie kapitanie.

\*

W aptece był tłok. Ciepły wrzesień nie sprzyjał wprawdzie różnego rodzaju grypom, katarom i innym anginom, za to na glebie brudnych owoców bujnie kwitły zatrucia pokarmowe. Toteż kolejki w aptekach były tak samo długie, jak zimą, zmieniła się tylko treść recept. Zamiast



asprocoli, madroxinów i tussipeptów przyszedł czas na enteroseptole i lekosepty.

Czarnowłosa pani magister pracowała jak automat: wyciągnięcie ręki, rzut oka na receptę, kilka ruchów długopisem, podsumowanie, zliczenie, potem paragon - kwit z kasy, podawanie flaszeczki czy fiolki - znowu recepta, znowu liczenie. Czasem przelotne spojrzenie na twarz za szybą okienka, obrót w stronę szuflad i szaf, czasem przeczący ruch głową: nie ma.

Ręka, która podała którąś tam z kolei receptę, nie różniła się od innych. Tłum w kolejce napierał, słychać było nawet ciche sarkanie, że długo, że kto to widział tyle czasu stać w aptece. A jednak pani magister zmęczonymi oczami dojrzała coś, co podziało jak iskra elektryczna, chociaż twarz nie drgnęła. Spokojnym ruchem wzięła długopis, spojrzała na koleżankę przy sąsiednim okienku, powiedziała jej oczami to czego nie chciały powiedzieć usta. Tamta zrozumiała, natychmiast odeszła w głąb apteki i nakręciła numer telefonu, a kiedy z drugiej strony odezwał się męski głos, szeptem wyjaśniła sytuację. Potem wróciła do okienka i znów spojrzeniem dała znać koleżance, że załatwione, co trzeba.

Teraz do czarnowłosej pani magister należało możliwie jak najwolniej obliczyć i wypisać kwit do kasy. Dostrzegła, że kolejka przed kasą jest bardzo długa. To dobrze. Może zdążą przyjechać.

Zdążyli. Kiedy młody człowiek w różowej koszuli z koronkowym żabotem wrócił od kasy do okienka i, przepchnąwszy się przez klientów, podawał kwit, ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Pan pozwoli z nami - usłyszał nad samym uchem, było to powiedziane tak cicho, że nawet inni czekający nie zorientowali się, o co

chodzi.

Odwrócił się gwałtownie. Za nim stał mężczyzna wysoki, opalony, w szarym ubraniu. Patrzył wyraźnie na niego, nie mogło być omyłki, nie zdejmował zresztą ręki z jego ramienia.

- O co chodzi? - rzucił szorstko chłopak w różowym. Dojrzał, że we drzwiach stoi drugi, odróżnił ich momentalnie w tłumie klientów aptecznych, oni z pewnością nie czekali na lekarstwa.

- Milicja - powiedział wysoki. - Proszę iść ze mną. - I lekko popychając, poprowadził go na zaplecze apteki. Ten drugi poszedł za nimi.

- O co chodzi? - powtórzył chłopak, rozglądając się niespokojnie dokoła.

Wysoki położył na stoliku receptę i spytał, zwracając się do czarnowłosej pani magister:

- Czy tę receptę podał pani ten młody człowiek?

Farmaceutka dla pewności spojrzała raz jeszcze na papier i potwierdziła. Inspektor służby kryminalnej Komendy Stołecznej, porucznik Łoś, wziął receptę i z kolei zwrócił się do młodego człowieka:

- Skąd pan to ma?

- Od lekarza - odparł bez wahania. - Mam bóle, bardzo silne bóle i zapisano mi morfinę.

- Jak się nazywa ten lekarz?

- Przecież tam jest podpis! - chłopak wzruszył ramionami.

- Ale ja się pana pytam - Łoś odrobinę podniósł głos.

- Doktor Waliński.

- Pani magister, tu jest napisane: Morph. hydrochloriciin amp. 0,001, Nr XXX... To znaczy trzy opakowania, prawda?

- Tak. Właśnie dlatego mnie to zastanowiło. Normalnie lekarz zapisuje jedno. Poza tym, brak słownie wypisanej ilości leku, wbrew zarządzeniu.

- Jak pan się nazywa? - Łoś patrzył na chłopaka, drugi pracownik komendy zagradzał drzwi. Nie było rady.

- Derkacz Antoni - burknął. Ociągając się, podał brudny, obszarpany dowód osobisty.

- Zapisz!

Łoś rzucił dokument koledze, a sam sięgnął po książkę telefoniczną i, wyszukawszy numer doktora Walińskiego, nakręcił. Rozmowa z lekarzem była krótka. Nie znał w ogóle Antoniego Derkacza, rzekomo swego pacjenta, i oczywiście nie wypisywał mu recepty. Zdziwił się natomiast, a nawet przestraszył, kiedy usłyszał, że ów pacjent posłużył się receptą z jego podpisem i pieczętką. Zaklął brzydko, pomyślał chwilę i powiedział, że widocznie ktoś rąbnął mu recepty in blanco z gabinetu w przychodni. Obiecał dołożyć wszelkich starań, aby to się nie powtórzyło.

Łoś odłożył słuchawkę. Zabrali Derkacza do radiowozu i zawieźli do Komendy Dzielnicowej. Tam, przy współudziale kolegi ze służby kryminalnej, porucznik zaczął wypytywać chłopaka, skąd ma fałszywą receptę. Derkacz długo dawał kłamliwe odpowiedzi. Było więc wprawdzie o jakimś nieznanym facecie, który dał mu parę złotych na wykupienie lekarstwa; potem o ciotce, która jest chora i sama nie może pójść do apteki. Oficerowie zażądali jednak nazwiska i adresu, aby razem z nim do chorej pojechać. Wtedy chłopak wycofał się, zaciął i przestał w ogóle odpowiadać.

- Jak chcesz - rzekł Łoś w trzeciej godzinie przesłuchania i długich

paуз. - Pójdiesz do kicia za fałszerstwo dokumentów. Nie opłaca się, mój drogi. Lepiej powiedz prawdę. Recepta jest wypisana na twoje nazwisko, więc na co te głupie wykręty.

Po czterech godzinach Derkacz załamał się i zaczął mówić. Fałszywą receptę dostał od jednego z handlarzy, dla którego pracował od pewnego czasu. Handlarz miał paru koników do tego celu, koniki często zmieniały apteki, aby nie podpaść. Płacił im od zrealizowanej recepty, kiedy przynosili pudełka z morfiną czy innym narkotykiem. Nigdy nie dostali od niego pieniędzy z góry, bo handlarz bał się, że go oszukają.

Derkacz nie znał jego nazwiska; znał tylko pseudonim: Pudel. Spotykali się w kawiarniach śródmiejskich albo w podziemiach ronda przy Marszałkowskiej, obok sklepu z upominkami. Podał przybliżony rysopis Pudla - kręcone, ciemne włosy do ramion, twarz krostowata, wzrost średni, na palcach kilka pierścieni. Z przodu brak jednego zęba.

- Kiedy masz się z nim spotkać? - spytał Łoś.
- Jutro w południe. Tak koło pierwszej, po pierwszej parę minut.
- Gdzie?
- W tym przejściu pod rondem.
- Dobrze.

Derkacz został umieszczony w areszcie komendy. Na drugi dzień o dwunastej pięćdziesiąt stał w podziemiach ronda obok sklepu z upominkami i, jak nigdy w swoim życiu, modlił się w duchu, aby Pudel nie przyszedł. Wiedział bowiem, że za zdradę może ciężko odpokutować. Z daleka obserwowali chłopaka wywiadowcy.

I Pudel rzeczywiście nie przyszedł, mimo iż Derkacz czekał prawie dwie godziny. Nie przyszło mu na myśl, że poprzedniego wieczoru Pudel,

który zawsze bał się, że taki mięczak łatwo może pęknąć, jak go przyskrzynią - wałęsał się w pobliżu apteki. Od razu też spostrzegł nadjeżdżający radiowóz, a potem Derkacza, prowadzonego przez dwóch mężczyzn do samochodu. Wtedy powiedział sobie: „wpadka” i już na nic nie czekał, tylko pognał taksówką do meliny, gdzie trzymał druczki recept, fałszywe pieczątki, listę nazwisk i adresów warszawskich lekarzy i inne rzeczy, nazywane przez niego” pomocami naukowymi.

Zgarnął to wszystko do torby, pokój zamknął i przeprowadził się do znajomej, zwanej Racuch, na Targową. Tam przywarował na jakiś czas i ostrożnie badał sytuację.

Mimo iż pułapka się nie udała, w milicji znajdował się już rysopis Pudła oraz kilka istotnych szczegółów z jego kontaktów i znajomości. Toteż porucznik Łoś sądził, że lada dzień na niego natrafi, a na wszelki wypadek wypytywał kolegów z komend dzielnicowych, czy nie znają człowieka o takim pseudonimie i rysopisie.

Któregoś dnia otrzymał odpowiedź. Owszem, w komendzie na Ochocie mieli niedawno osobnika o podobnym wyglądzie, podejrzanego o fałszerstwo książeczek PKO. Oficer, rozmawiający z Łosiem, dodał też, że ma gdzieś w teczkach jego zdjęcie, nie pamiętał już, z jakiej przyczyny. Dał je teraz porucznikowi, a ten odwiedził Antoniego Derkacza, siedzącego smętnie w areszcie śledczym i pokazał mu fotografię.

- Poznajesz swego Pudła? - strzelił trochę na oślep. - Siedzi.

Derkacz spojrział i zaklął brzydtko.

- Mordę mu skuję, jak wyjdę - obiecał. - Przez niego ja siedzę. Sk...n zapowietrzony!

Nie bał się już zemsty; zapudłowany Pudła przestawał być groźny.

Łoś nie wyprowadzał go z błędu; miał teraz imię, nazwisko i adres handlarza, odnalezienie go było już tylko kwestią czasu. Skontaktował się znowu z komendami dzielnicowymi, odbitki zdjęcia rozesłał do jednostek. Po czterech dniach Pudel - normalnie: Karol Borek - siedział w gabinecie majora Daniłowicza, który zresztą był nieobecny i zastępował go kapitan Szczęsny. We dwóch z Łosiem wzięli Pudła w obroty.

Ale handlarz był twardy. Zatrzymano go w barze Inwalidów na Targowej, nie miał przy sobie nic, co by go mogło kompromitować, więc czuł się pewnie. Zwłaszcza że dotarcie do jego torby, przemyślnie ukrytej w piwnicy u Racucha - nazywano ją tak, bo była niska, pękata i rozlazła - wydawało się niemożliwe. Bał się tylko konfrontacji z Derkaczem. Postanowił wszystkiego się wyprzeć i na niego zwalić winę.

Tymczasem jednak Szczęsny z miejsca zaatakował go frontalnie, i to w najczulsze dla Pudła miejsce.

- Jemiola cię oskarża, że się z nim nie rozliczyłeś za ostatnie dziesięć pudełek - powiedział obojętnym głosem, W gruncie rzeczy był mocno zdenerwowany. Czuł, że trafia się okazja, aby wreszcie dobrać się paru hippiesom i narkomanom do skóry, nie miał jednak żadnych dowodów na kontakt pomiędzy tymi dwoma. Mimo to postanowił spróbować.

Pudel podniósł na niego zdziwione oczy.

- Kto? - spytał, czochrając się delikatnie o poręcz krzesła. Miał całe plecy w krostach, nie tyle z choroby, ile z brudu.

- Jemiola. No, Saszewski. Ten z Marysina Wawerskiego. Zatrzymaliśmy go w innej sprawie, a on żali się, że mu jesteś winien... ile to? - kapitan spojrzał na Łosia, a ten odparł, nie mrugnawszy okiem:

- Sześćset dwadzieścia trzy złote i osiemdziesiąt groszy.

- Jak pragnę lekko skonać! - Pudel był szczerze zdumiony. - Ja jemu jestem winien? Szczeka, wszawy kundel! Za jakie pudełka? Żadnych pudełek mi nie dawał.

- Jemioła pękł - wyjaśnił Szczęsny uprzejmie. - I sypie aż miło. Gdzie schowałeś pieczątki i blankiety?

-: Nic nie chowałem, bo nic takiego nie mam - odparł szybko. - To jakieś nieporozumienie.

- Saszewski twierdzi inaczej. Ty masz czterech koników, są u ciebie na stajni... Wymienić ci nazwiska? Nie zgrywaj się, Pudel.

Po raz pierwszy Szczęsny użył jego pseudonimu i handlarz zaniepokoił się nie na żarty. A jeżeli rzeczywiście Jemioła chłapie ozorem?

- Derkacza już mamy - dodał Łoś. - Pozostałych trzech zatrzymamy w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Derkacz to gnojek - mruknął Pudel. - Sam robił recepty i...

- A więc chodziło o recepty - podchwycił kapitan. - Bo myśleliśmy, że o coś innego. Puściłeś farbę, chłopie i leżysz jak długi. Dlaczego Andrzej przestał dla ciebie pracować? Okradł cię czy ty jego?

- Jaki Andrzej?

- No, ten siedemnastolatek. Czertwan czy jak mu tam.

- On dla mnie nie robił. Bogaty z domu, to płacił za prochy. Ale nie mnie! - zastrzegł się. - Jemioła mu dawał. I Wrak.

- Kto to jest Wrak?

- Nie wiem.

Pudel uparcie odmawiał odpowiedzi na pytanie, gdzie schował blankiet recept i pieczątki. Całkowitą odpowiedzialność za zdobywanie środków psychotropowych przerzucił na Jemiołę i trzymał się tej wersji

przez długi czas. Ponieważ Derkacz z kolei absolutną winą obarczał jego, zamknęto Pudła, aby przeciąć przestępczy proceder choćby w tej jednej grupie.

Szczęśny nie zajmował się dalszym przesłuchiowaniem Karola Borka. Zdobył jeden, choć słaby dowód, że Czertwan dostawał narkotyki od Jemioły i że mu za nie płacił. Należało więc teraz dowiedzieć się, czy ten ostatni kupował je od Pudła, czy też miał inne źródło. Kapitan sądził, że Saszewskiemu nie opłacałoby się uzależniać od Borkowych koników, poza tym leki - przy tylu pośrednikach - byłyby za drogie.

- Wydaje mi się - mówił do Danilewicza - że Pudel na swoją rękę handlował narkotykami, a Jemioła na swoją. Oczywiście, były między nimi kontakty, może pewna współpraca. Ten klan zna się między sobą i solidaryzuje.

- Nie - odparł major. - Solidarni mogą być, w pewnym sensie, narkomani. Rozumiesz, wspólne zażywanie i przeżywanie, konieczność ukrywania tego, zdobywanie prochów. Ale ci dwaj to przecież handlarze. Oni nie zażywają, oni zarabiają. Na tamtych. Dlatego myślę, że Jemioła i Pudel to na pewno znajomi, ale i konkurenci. I tak musimy na nich patrzeć. Tobie zresztą chodzi o kontakt między Jemiołą a Czertwanem.

Szczęśny przytaknął. Postanowił założyć systematyczną obserwację Andrzeja, aby upewnić się, skąd dostaje leki, a potem odciąć go od tego zbrodniczego źródła. Sądził zresztą, że być może obserwacja zaprowadzi go nie tylko do Jemioły.

Myślał o doktorze Adamie Sechno. Tymczasem jednak zaszły sprawy, które zwróciły jego uwagę w innym kierunku.

\*



Czertwan wrócił wieczorem do domu i z westchnieniem ulgi zobaczył, że Basia razem z ciotką pogadują sobie w kuchni, przy czym musiało to być coś wesołego, bo dziewczynka śmiała się. Pani Helena, jego siostra, przeprowadziła się do nich w parę dni po napadzie na Basię i przyrzekła bratu, że pozostanie tak długo, póki mała zupełnie nie przyjdzie do siebie.

Wymówiła też mu, pół żartem pół serio, że powinien się ożenić. Znajdzie się niejedna mądra i dobra kobieta, która chętnie na to przystanie.

- Później - odparł Czertwan obojętnie, jakby chodziło o pójście do kina. - Nie mam czasu. Ani ochoty - dodał ciszej.

Oddał siostrze duży pokój, w którym usadowiła się wraz z Basią, sam zajął najmniejszy, rad, że dom jest pod dobrą opieką.

Helena miała wiele taktu i serca, nie udało jej się jednak do tej pory nawiązać bliższego kontaktu z Andrzejem, który odnosił się do niej grzecznie, lecz unikał rozmów. Co prawda, od tamtej strasznej nocy nie uciekał już z domu wieczorami. Siedział w swoim pokoju, cichy i milczący, wychodził tylko na wspólne posiłki, w czasie których prawie się nie odzywał i nie podnosił oczu. Wyglądał tak źle, że Helena próbowała na wszelkie sposoby namówić go do pójścia do lekarza. Jednakże na dźwięk słowa: lekarz chłopak wzdrygał się i uciekał z pokoju, Kiedy Basia z ciotką poszły po kolacji oglądać telewizję, Czertwan przeniósł do siebie telefon i zasiadł, aby popracować nad sprawozdaniem dla zjednoczenia. Potem słyszał, że wyłączono telewizor, jeszcze była zwykła krzątanina domowa, szum wody w łazience, Helena parzyła sobie w kuchni Normosan, później wszystko ucichło i mieszkanie pogrążyło się w ciszy.

Wtedy właśnie na jego biurku odezwał się telefon. Pomyślał, że

Nieświeski. Miał zwyczaj dzwonić o tej porze, wiedział, że Czertwan nie kładzie się przed - północą.

- Słucham - mruknął, biorąc słuchawkę.

- Płacisz, dyrektorze... - usłyszał obcy głos. Sądził, że nie zrozumiał i spytał trochę głośniejsze:

- Słucham, kto mówi? -

- Ja. Przecież znasz mnie dobrze. Powiedziałem ci, że płacisz.

Kiedyś powiem ci, za co.

- Nie wiem, o co chodzi - zniecierpliwiał się. - Kto to mówi?

- Twój dawny, dobry znajomy.

Wśluchiwał się uważnie, nie mógł jednak rozpoznać tego głosu.

Pewnie pomyłka.

- Z kim pan chciał mówić?

- Z tobą, dyrektorze Czertwan.

- Ale kim pan jest? Cóż to za głupie żarty!

- To nie są żarty. Powtarzam ci raz jeszcze: płacisz, Zbigniewie Czertwan. Niech ci na razie wystarczy ta krótka informacja. Bo jeszcze będziesz płacił bardzo długo.

Cicho stuknęła słuchawka, odłożona z tamtej strony. Ostrożnie położył swoją na widełki, powtarzając sobie w myślach tę dziwną rozmowę. Im dłużej jednak zastanawiał się, tym bardziej był pewien, że człowiek, który do niego zadzwonił - nie żartował.

Ale kim był? I za co on, Czertwan, płaci?

Nagle poczuł zimno, twarz mu zbladła. Przede wszystkim trzeba odpowiedzieć na pytanie: czym płaci. I odpowiedział sam sobie, że, być może, tym, co stało się z Basią. Potem przypomniała mu się - rozmowa ze

Szczęsnym i jego słowa: „czy zdarzyły się jakieś telefony, listy, próby szantażu?” Oto był pierwszy telefon.

Zapominając, że dochodziła północ, wykręcił nerwowo domowy numer kapitana, który dostał od niego po ostatniej wizycie w „Poksydzie”. Szczęśny odezwał się niemal natychmiast, bo dopiero co wrócił z miasta. Czertwan powtórzył mu dokładnie całą rozmowę, przeprasząc, że dzwoni o tak późnej godzinie.

- Nie szkodzi - odparł kapitan. Pomyślał chwilę, a potem spytał: - Czy ma pan w domu magnetofon?

- Dobrze - dyrektor odpowiedział od razu na następne pytanie, którego się spodziewał.:- Mam i nagram drugą rozmowę, jeżeli taka będzie.

- Na pewno będzie. To było do przewidzenia. Dlatego pytałem pana, wtedy w fabryce, czy już się zaczęły listy lub telefony.

- Ale czemu pan się ich spodziewał?

- No... później panu powiem. I nie przez telefon. Nigdy nie wiadomo, z tymi połączeniami, czy ktoś nas nie słucha.

Długo nie mógł zasnąć. Żałował, że od razu nie uruchomił magnetofonu, który stał w pobliżu, skąd mógł jednak przypuszczać, że to będzie «taka rozmowa. Próbował przywołać w pamięci obcy głos, sposób wymawiania słów, akcent, ton. Chwilami wydawało mu się, że było w tym coś znajomego. Przykładał więc ten ton i akcent do najróżniejszych osób, rozważał w myślach, męczył się, bo nie pasowało. Zresztą, któż z jego znajomych zdobyłby się na tak idiotyczne, niewybredne kawały! Nawet w pijanym widzie żaden z nich nie zadzwoniłby do niego nocą, aby coś takiego powiedzieć.

Przez dwa następne wieczory telefon milczał. Trzeciego dnia w „Poksyzdzie” odbywała się narada produkcyjna samorządu robotniczego. Czertwan był jego członkiem, parokrotnie zabierał głos, popierany przez większość i delikatnie atakowany przez naczelnego za „zbyt rewolucyjne propozycje”, jak ów się wyraził. Czertwan nie przejął się, racja była po jego stronie. „Rewolucja” mogła przynieść fabryce kilkaset tysięcy złotych oszczędności w wydziale mechanicznym, a Litwiński jak zwykle bał się.

Skończyli kilka minut po dwudziestej pierwszej. Zmęczeni, wstawali rozprostowując kości, pokaszliwali od dymu, bo choć na początku narady postanowili nie palić, to przecież gdzieś po godzinie Czertwan sam sięgnął po papierosa, a za nim inni.

Dyrektor Litwiński odjechał „Wołgą”, zabierając szefa produkcji, przed którym chciał się wyżalić na swego zastępcę. Szef nie znosił Czertwana i rad słuchał skarg pod jego adresem. Było to zresztą uczucie wzajemne.

Czertwan przeszedł do gabinetu przez pusty i ciemny sekretariat. Chował notatki do biurka, kiedy zadzwonił telefon. Trochę zdziwiony sięgnął po słuchawkę.

- Wiem, że tu jesteś, dyrektorze - usłyszał po raz drugi tamten głos. - Nie ma cię w domu, więc musisz być w fabryce. Pracowity człowiek.

Chciał rzucić słuchawkę, w gabinecie nie było magnetofonu. Pomyślał jednak, że może dowie się czegoś więcej. Może rozpozna właściciela głosu. Odparł więc, siląc się na spokojny ton.

- O co panu chodzi?

- Przemyślałem twój problem... bo jesteś dla mnie problemem, dyrektorze... powinno ci to w jakimś sensie pochlebiać.

- Ale nie pochlebia. Wystarczy to panu?

- Na pewno nie. Przemyślałem pański problem i doszedłem do przekonania, że zapłaciłeś ogromnie mało.

- Czy pan chce ode mnie pieniędzy? Ciekawym, za co.

- Zaraz zapytasz, ile. Bo za co, to ja ci powiém dopiero kiedyś, później.

- Dobrze. Więc ile?

- Nic. Pieniądze nie są formą, w której mógłbyś mi zapłacić. Zresztą, formę ja sam wybieram. I już wybrałem.

- To znaczy?

- Jak to, nie wiesz? Czyżby córeczka była już zupełnie zdrowa?

- Ty łajdaku! - syknął Czertwan. - Podłe bydło! Co ci zawiniło dziecko?

- Jest twoje. To mi wystarczy.

- Czego chcesz ode mnie? O. co ci chodzi?!

- Powiedziałem: płacisz, dyrektorze! I jeszcze długo będziesz płacił.

Znów delikatne szcęknięcie słuchawki i cisza. Czertwan siedział parę minut przy telefonie, próbując opanować rozdygotane nerwy. „Muszę tutaj też...” - pomyślał, nakręcił numer domowy Wygodzkiego. Kiedy dyrektorski piesek odezwał się, Czertwan kazał mu z samego rana kupić magnetofon i przywieźć do fabryki. Kosztami ma obciążyć dyrektorską kieszeń.

Wygodzki, jak zwykle taktownie i życzliwie, wtrącił, że magnetofon przyda się z pewnością na różnych konferencjach, a więc należałoby go zakupić ze służbowego konta, na użytek głównego inżyniera fabryki. Dodał jakby nawiasem, że dyrektor Litwiński ma już takowy i bynajmniej

nie za prywatne pieniądze.

- Wszystko jedno - odparł Czertwan, zmęczony i otępiały. - Kup, Kaziu, za co chcesz, bylebym miał na jutro.

- Postaram się, panie dyrektorze.

W domu połączył się ze Szczęsnym i zrelacjonował mu rozmowę z nieznanym głosem. Kapitan wysłuchał go uważnie, a potem powiedział, że przynajmniej jedno jest jasne: napad na Basię nie był zwykłym wyczynem chuligańskim, lecz zaplanowaną napaścią, dokonaną umyślnie na tę dziewczynkę. To w pewnym sensie ukierunkowuje linię śledztwa i pozwala na wnioski, których jednak Szczęsny nie wyjaśnił bliżej.

Odłożywszy słuchawkę, rzekł do Łosia, siedzącego u niego w mieszkaniu:

- Wychodzi na to, że miałem rację...

## **Rozdział 6**

We wtorek o osiemnastej w piwiarni „Jantar” przy Świętokrzyskiej był komplet i jeszcze trochę, co oznaczało pozajmowane wszystkie kąty, wnęki, przejścia, a także niektóre stoły pod spodem. Na tym najniższym szczeblu hierarchii gastronomicznej lokowali się goście, gotowi do Izby Wytrzeźwień.

Jemioła wysiadł z autobusu, przystanął na rogu i kilka minut przyglądał się przez zapocone szyby temu, co się działo w piwiarni. Po raz któryś tam z rzędu myślał, że nie jest to najlepsze miejsce do spotkań. „Jantara” często odwiedzała milicja, zwłaszcza ta najchytrzejsza, po cywilnemu.

Postań, popatrzyl, potem obszedł oszklony budynek z drugiej strony, zaszył się w ciemne podwórko, znów trochę poczekał. Wreszcie wszedł od tyłu, mimo sprzeciwów kogoś z personelu, wmieszał się w pijący rozgadany tłum mężczyzn z kuflami w rękach - kobiety bywały tu rzadko - i stanął na końcu kolejki do bufetu.

Nie miał dziś na sobie żółtej koszuli i zwisającego na niej medalu. Tutaj za zbyt widoczną przynależność do klanu hippiesów można było zdrowo oberwać. Tutaj takich nie lubiono. Jemioła ubrał się więc w przyzwoitą, niemodną koszulę w paseczki i długi ciemny sweter, jako że wieczór wrześnieowy był chłodny.

Ktoś stanął za nim. Jemioła nie obejrzał się, ale wiedział, kto to jest. Umówili się w tym miejscu i o tej godzinie.

- W podwórzu. Za parę minut - usłyszał nad uchem. Lekko skinął głową i przesuwał się krok za” krokiem w stronę kasjerki.

Wypił swój kufel, zapalił „Giewonta”. Potem wyszedł. Po jasno oświetlonej piwiarni na podwórzu uderzyła go ciemność, zatrzymał się, aby przyzwyczaić oczy i dojrzeć człowieka, który czekał tu na niego. Z trudem rozróżnił parę metrów dalej przy murze przyklejoną szczupłą sylwetkę.

- Co nowego? - mruknął tamten, kiedy Jemioła przysunął się bliżej.

- Niedobrze - westchnął. - Pudel w kiciu. Wpadł przez tego wszarza, Derkacza.

- Skąd wiesz?

Jemioła splunął z dystynkcją.

- Wrak, po co to pytanie? Ma się środki tajnego przekazu. Na własny użytek, oczywiście.

Człowiek zwany Wrakiem uśmiechnął się mimo woli.

- Jak to było? - spytał, omiatając wzrokiem podwórko.

- Derkacz trafił na cwana magisterkę. Musiała być oblatana w lewych receptach, bo się zmiarkowała, i gliny przyjechały, zanim chłopak zdążył zwać. No, a za parę dni dostali Pudła. Pewnie Derkacz pękł, jak go nacisnęli. Zawszsze mówiłem, żeby nie brać do roboty gnojków.

- Pudel miał coś w chacie?

- Nie.

- Co z tym zrobił? - zaciekał się Wrak.

- Nie wiem jeszcze - przyznał Jemioła. - Musiał gdzieś zamelinować. Może u Racucha. Ale na nią nie mam sposobu. Za mało mnie zna. I... słuchaj... Wrak, ja bym wolał tam się nie kręcić. Bo jak gliny dojdą do niej, to ona mnie przyślipi. Tak, na wsiaki słuczaj. A koło mnie już i tak... - umilkł, obejrzał się ostrożnie..

- Musisz bardzo uważać. Ile chcesz dzisiaj?

- Sześć pudełek. I przydałoby się trochę locyny. Na to najwięcej chętnych.

- Mogę dać dziesięć fiolek, na razie. To będzie, razem z pudełkami, osiemset. Masz pieniądze?

- Mam.

Jemioła wyjął zwitek banknotów, przesunął się bliżej okien piwiarni, poślinił i starannie odliczył osiem setek. Potem wręczył je człowiekowi, którego nazywał Wrakiem, i otrzymał w zamian sporą paczuszkę oraz plastikowy woreczek; podzwaniały w nim szklane fiołki.

- Ostrożnie! - upomniał Wrak, widząc, jak tamten wkłada to wszystko do dużej, turystycznej torby. - Na co masz teraz



zapotrzebowanie?

Rozmawiali rzeczowo, widać było, że tych ludzi łączy przede wszystkim wspólny interes. Liczył się obrót, gotówka, zysk - obojętnie, na jakich transakcjach zdobyty.

Kiedy się żegnali, Wrak powtórzył:

- Musisz bardzo uważać. Chata czysta?

- Absolutnie! Schodzimy się teraz trochę dalej, w lasu. Tam jest taki stary bunkier, nikt nie zagląda. Pierwszorzędna meta. I zawsze kogoś mam na świecy. Zresztą, oni sami uważają, strzegą się wpadki. Wiedzą, że wtedy przypadnie im dostawa. Najgorzej z nowymi, młodziakami. Ale takich do bunkra nie biorę.

- Dobrze. Zadzwoń gdzieś za tydzień, jak zwykle wieczorem.

Wrak znikł z podwórza, Jemioła odczekał chwilę, potem z powrotem zajął miejsce w kolejce. Miał jeszcze chęć na piwo. Kiedy jednak przy którymś stole wybuchła awantura, wycofał się spieszenie na ulicę. Z tym, co miał w torbie, nie mógł i nie chciał asystować przy pojawieniu się milicji, choćby zajście wcale go nie dotyczyło. Z milicją nigdy nie wiadomo, co zrobi. Zwłaszcza w stosunku do takich jak on.

Dojechał do Marysina, przed domem trochę kołował, węszył powietrze, rozglądał się bystrymi oczami, wreszcie uznał, że panuje spokój. Przemknął się do mieszkania, sprawdził, czy wszystko w porządku, i zaraz wyszedł do ogródka na tyłach budynku. Ogródek należał do rodziny Saszewskich, a chociaż starzy siedzieli w więzieniu, nikt z pozostałych lokatorów nie odważyłby się zakwestionować tego przydziału. Jemioła nie musiał więc bronić własności przed kimkolwiek. Wiedziano zresztą, że potrafiłby to zrobić wcale dobrze.

Na dworze było już zupełnie ciemno. Kilka starych jabłonek i gęste krzaki porzeczek, jeszcze pełne liści, odgradzały małą część ogródka od domu i od ciekawych oczu. Mimo to Jemioła przez dobry kwadrans siedział na czarnej ze starości ławce i słuchał. Dopiero potem zdecydował, iż moment jest odpowiedni. Wstał, podszedł do jednego drzewka, nachylił się i wymacał duży kawał darni, przemyślnie ułożony pomiędzy zielskiem i rosnącą trawą. Dźwignął ją ostrożnie, odsunął. Pod spodem widniał czarny otwór piwniczki.

Stary Saszewski, zanim poszedł odsiadywać piętnaście lat za zabójstwo, trudnił się handlem skórkami. Jeździł do siebie tylko wiadomych dostawców w małych miasteczkach i osiedlach, kupował tam” krótkie błamy, kołnierze, lisy na czapki, czasem nawet popielate krety, najczęściej jednak zwykłe króliki, przerabiane na cokolwiek,” zależnie od koloru i wiedzy fachowej odbiorcy.

Te skórki ojciec Jemioły przywoził do Marysina i chował w ogrodowej piwniczce, zbudowanej rzetelnie, gospodarskim sposobem i dobrze ukrytej przed niepowołanymi oczami. Wyciągał stamtąd błamy czy lisy w miarę potrzeby, sprzedawał na bazarach praskich, część pieniędzy z miejsca przepijał, część przynosił do domu. Jemioła nie pamiętał głodu ani braku butów czy ubrania. Ojciec nie był skąpy dla rodziny, chociaż bywał dla niej brutalny, kiedy wypił za mało i czuł niedosyt. W przeciwnym razie zwał się od razu na łóżko i przesypiał alkohol.

Teraz więc syn tak przezornego ojca korzystał z piwniczki ukrywając w niej narkotyki. Był to towar o wiele niebezpieczniejszy niż królicze skórki, ale opłacał się parokrotnie więcej. Nie trzeba było przy tym jeździć po kraju i dźwigać. Jemioła był leniwy i kochał wygodę.

Z początku, kiedy widział skutki zażywania środków psychotropowych, na dnie jego sumienia budziło się czasem coś niewyraźnego, co niepokoiło. Zwierzył się raz z tych niepokojów Wrakowi, a ten roześmiał się i odparł, że nikt narkotyków kupować i zażywać nie musi, bo jeżeli jest chory, to mu dadzą w szpitalu, a jeżeli jest zdrow, to sam wie, co robi. Jemioła pomyślał wprawdzie, że nie zawsze - zwłaszcza w wieku szesnastu czy siedemnastu lat - nic jednak nie powiedział.

Sam był zbyt mądry życiowo, aby spróbować chociaż raz. Pochodził ze starej złodziejsko-paserskiej rodziny i miał we krwi nawyk szybkiego, łatwego dorobku. Widząc, co się dzieje z tymi, którzy biorą prochy, pomyślał trzeźwo: „O, nie! Na to mnie nikt nie nabierze”. W gruncie rzeczy pogardzał narkomanami. Kiedy czepiali się jego rąk, błagając o prochy, miał ochotę ich bić, długo, mściwie, z upodobaniem, tak mu obrzydły ich mętne oczy i drżące dłonie. „Jak wszy” - myślał z odrazą, strząsał te ręce i uśmiechał się zjadliwie. Sumienie przestało się już odzywać.

\*

Na korytarzu kliniki kręciło się mnóstwo ludzi w białych kitlach i Szczęsny miał trochę kłopotu z odnalezieniem doktora Sechno. Wreszcie któraś z pielęgniarek wskazała mu wysokiego mężczyznę o jasnych, dość długich włosach i twarzy bladej, szczupłej, z zapadniętymi policzkami. Stał pod oknem i rozmawiał z dyrektorem kliniki, którego kapitan znał, ale nie miał teraz najmniejszej ochoty, aby tamten go zobaczył. Cofnął się więc za szafę i z tej pozycji strategicznej obserwował rozmawiających.

Doktor Sechno przytakiwał czemuś, co dyrektor opowiadał mu z

pewnym ożywieniem. Potem do tych dwóch przyłączyli się inni lekarze, Sechno spojrzął na zegarek i zawrócił w stronę schodów. Szczęśny poszedł za nim i tam zastąpił mu drogę.

- Pan doktor Sechno? - spytał, przyglądając się lekarzowi trochę bezceremonialnie.

- Tak.

Nie było dalszego ciągu, nie było pytania: o co chodzi. Sechno stał po prostu, jak gdyby nie zainteresowany, kim jest człowiek, który go zatrzymał, i czego chce. Spojrzenie jasnych oczu było bez wyrazu.

- Chciałbym z panem chwilę pomówić, doktorze. Lekarz odwrócił się bez słowa i zaczął iść korytarzem po drugiej stronie klatki schodowej. Szczęśny szedł za nim, trochę skonsternowany, przygotował się bowiem na serię pytań i miał w zapasie odpowiedzi. Nie wiedział też, dokąd idą i czy Sechno w ogóle idzie z nim razem. Może nie dosłyszał?

Okazało się jednak, że tak, weszli bowiem do małej salki, używanej przez lekarzy jako pokój wypoczynkowy, a także miejsce różnych konsultacji i konferencji. Było tu pusto. Sechno wskazał kapitanowi fotel, sam usiadł na drugim. Nie odezwał się. „To też metoda” - pomyślał Szczęśny, ściągając brwi. Nie podobał mu się ten człowiek.

- Dlaczego pan nie zapyta, kim jestem? - rzucił porywczo.

Spod sennych powiek strzeliło w jego stronę przytomne, złe spojrzenie. I cisza.

- No, dobrze. Jestem z Komendy Stołecznej Milicji. Znowu żadnej reakcji. Szczupła postać, na wpół leżąca w fotelu, nie poruszyła się.

- Chciałem z panem pomówić, nie pomilczęc - rzekł Szczęśny. Nie zdarzyło mu się jeszcze natrafić na taki bierny opór, zanim wyjaśnił, po co

przyszedł. Zwłaszcza że spodziewał się mimo wszystko znaleźć w lekarzu sprzymierzeńca, a nie przeciwnika.

- Ja słucham - odparł Sechno. I przymknął oczy.

- Pan przyjmuje prywatnie, doktorze?

- Nie.

- Nigdy?

- Milicja ma swój szpital na Wołoskiej.

- Pomyłka - Szczęsny pokazał zęby w uśmiechu. - Nie przyszedłem jako chory. - Odczekał chwilę i ciągnął dalej: - Czy nie zginęło panu coś z mieszkania? Tym razem jakby błysk zdziwienia w oczach.

- Nie.

- Żadna recepta?... Wystawiona na środki psychotropowe?

Sechno wstał tak nagle, że kapitan bezwiednie odchylił się w tył z fotelem. Podniósł się również, a że zagrażał sobą drzwi, lekarz nie mógł opuścić pokoju. Szczęsny był uparty, w końcu nie przyszedł tu dla przyjemności, tamten powinien to zrozumieć, do licha.

- Dlaczego pan nie odpowiada? - spytał. - Przecież to jest proste pytanie i ja mam obowiązek je zadać. Niechże pan mi nie utrudnia sytuacji, panie doktorze. Prowadzę śledztwo w pewnej sprawie. A może woli pan rozmawiać w komendzie?

Sechno odwrócił się, podszedł do okna i przez chwilę wyglądał na dziedziniec kliniki, na którym stała karetka Pogotowia. Potem rzekł, nie patrząc na oficera:

- Nie zginęła mi żadna recepta. Ani nic innego. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Jedno.

- Więc słucham.

- Czy zapisywał pan Czertwanowi narkotyki? Sechno odwrócił się gwałtownie. Kapitan zobaczył tuż przed sobą jego twarz, ściągniętą jakimś grymasem - gniewu? bólu? i szeroko rozwarte, jasne oczy.

- To jest wyłącznie sprawa między mną a Czertwanem, słyszy pan? - powiedział cicho. - Lekarza obowiązuje etyka zawodowa. W tym wypadku, tajemnica choroby, i przepisywanych lekarstw.

- Ależ on nie jest chory! - wykrzyknął Szczęsny ze zdumieniem. - Natomiast będzie chory, i to ciężko, jeżeli nie przestanie się narkotyzować. Czy weźmie pan to na swoje sumienie, doktorze?

- Jako lekarz, jestem wobec Czertwana absolutnie w porządku.

- A... poza tym? - spytał Szczęsny ostrożnie, wpijając w neurologa swoje wąskie, czarne oczy, które błyszczały teraz ostro.

- Co pan mi zarzuca?

Kapitan zawahał się. Nie mógł, nie miał żadnych podstaw, aby rzucić temu człowiekowi w twarz poważne oskarżenie. Powtórzył więc tylko:

- A nie jako lekarz, też jest pan wobec niego w porządku?

Doktor milczał. Oddychał z trudem, policzki miał zaróżowione, a na delikatnym czole drobne kropelki potu. Ktoś uchylił drzwi, zajrzał do pokoju i Sechno, korzystając z tego, przesunął się szybko obok oficera i wyszedł na korytarz. Szczęsny zapalił papierosa, usiadł i pomyślał: co teraz?... Ze swego długoletniego - doświadczenia pracownika milicji dobrze wiedział, ile kłopotu mogą sprawić w trakcie przesłuchania tacy ludzie, jak Sechno. Inteligentni, wyrobieni, odcytani - a przy tym drażliwi, ambitni, pełni kompleksów, często symulanci, odgrywający przed oficerem śledczym całe teatrum, które niejednego wprawić mogło w

osłupienie. Miał już do czynienia z takimi, którzy każdego dnia zmieniali repertuar: od wyniosłej obrazy poprzez mur milczenia aż do lawiny słów, krzyków, nawet łez. I dopiero z tego całego przedstawienia trzeba było cierpliwie wyłuskać ich prawdziwe oblicze, a potem nie dopuścić do kolejnej metamorfozy.

Jaki był Sechno? Kiedy - i czy w ogóle - powiedział prawdę? Czy to on jest lekarzem, o którym wspomniał Andrzej?

Schodząc ze schodów, Szczęsny próbował sobie wszystko jakoś uporządkować i wyciągnąć wnioski, ale nie dało się. Wrócił do komendy, siadł za biurkiem i tak, jak pamiętał, zapisał całą rozmowę. Potem powiedział do porucznika Kręglewskiego:

- Słuchaj, Kazik. Byłem u tego Sechny, w klinice.

- No i?

- Niewypał. Zresztą, przeczytaj. Zanotowałem prawie dosłownie.

Porucznik wziął kartkę, zaczął czytać z uwagą. Nagle oderwał wzrok od papieru, i spojrzał na Szczęsnego:

- Ty go pytałeś, oczywiście, o Andrzeja Czertwana?

- Rany boskie! - rzekł Szczęsny. Zerwał się i usiadł z powrotem.

- Co się stało?

- Głupio się stało. Zdaje się, że rozmawialiśmy jak gęś z prosięciem.

On mówił o dyrektorze Czertwanie, a ja o jego synu. Jasna cholera! Czekał

- wyrwał mu kartkę z ręki, przebiegł oczami parę wierszy. - No, tak.

Przecież dyrektor chodził do niego po poradę, opowiadał mi o tej nieudanej wizycie. I dlatego Sechno...

- Zrobił cię w konia - dokończył Kręglewski. - Możliwe - przyznał Szczęsny ponuro. - Ale nie! Niekoniecznie. Bo jeżeli on w ogóle nie zna

Andrzeja i nie ma z nim żadnego kontaktu, to po prostu powiedział mi to, co powinien był powiedzieć jako lekarz w stosunku do swego pacjenta, Zbigniewa Czertwana. No, dobrze. To jest zrozumiałe.

- Dlaczego jednak Sechno tak zaakcentował, że „jako lekarz” jest w porządku? Co miał na myśli? Że poza tym, to ma wobec niego nieczyste sumienie? Alboś ty tu źle zanotował.

- Dobrze zanotowałem. Nie odpowiedział mi na to pytanie. Zresztą, ktoś wszedł do pokoju i facet ulotnił się, a przecież nie będę go gonił po klinice. Czeka! - Zamyślił się. - Dyrektor Czertwan mówił mi, że na końcu wizyty u Sechny pokłócili się i lekarz podobno pokazał mu drzwi. Może nie dosłownie, ale prawie.

- O co im poszło?

- Czertwan nie wie. Albo nie chciał powiedzieć.

- Dziwna historia. Lekarz wyrzuca pacjenta? Przecież dyrektor to poważny, kulturalny człowiek. Może honorarium wydawało mu się za duże?

- E, nie. Jak się idzie prywatnie do specjalisty, to trzeba być przygotowanym na parę setek.

- Złapałeś już jakiś kontakt między Andrzejem a tym lekarzem?

- Nie. Może chłopak wystrzega się teraz wszelkich kontaktów. Ale mam go oczywiście pod obserwacją.

- No, a jak jest u niego w szkole?

Popatrzyli na siebie z troską. Wiedzieli, że narkotyczna zaraza dotarła już i do szkół, choć tam może najtrudniej jej było się ulokować. Zdarzały się wypadki omdleń na lekcjach, lekarze szkolni wykrywali czasem ślady zażywania trujących leków. Nauczyciele walczyli z tym, jak



potrafili, rodzice rozpaczali albo bezradnie rozkładali ręce: „Skąd mogliśmy wiedzieć, że to tak się może stać?...”

- Nie wiem, co w szkole - przyznał Szczęsny niechętnie. -: Przecież nie możemy być wszędzie. Tam są nauczyciele, komitety rodzicielskie. Są harcerze i ZMS.

- Akurat! - prychnął Kresiewski. - Już ja widzę harcerzy w walce z narkotykami. Zawracanie Wisły patykiem. Tu potrzeba mocnych na taki problem. I zgrania wszystkich czynników naraz. Więc co z tymi Czertwanami? Myślisz, że on rzeczywiście mówił o ojcu?

- Tak. Na pewno. Ale to wcale nie znaczy, że nie ma kontaktów z synem.

\*

Tego dnia Zbigniew Czertwan odebrał trzeci telefon od człowieka, który mówił mu: „płacisz, dyrektorze”. Stało się to nie w domu i nie w gabinecie dyrektorskim, lecz w oszklonym boksie kierownika wydziału polistyrenu, inżyniera Bączkowskiego.

Czertwan wstąpił tam, aby przypomnieć kierownikowi o terminie remontu drugiego reaktora i uzgodnić kilka szczegółów. W trakcie rozmowy zabrzączał telefon na biurku. Bączkowski podniósł słuchawkę, powiedział; - Proszę bardzo - i podał ją Czertwanowi ze słowami: - To do pana.

- Słucham - rzucił szorstko, nierad, że przerywają mu pracę. Nagle poblądł. Poznał tamten głos.

- Słuchaj, dyrektorze, bo zbliża się czas, kiedy zapłacisz więcej. Cieszę się, że stracisz spokojny sen. I będziesz czekał.

- Co panu jest? - przestraszył się inżynier widząc, że Czertwan błady

osuwają się na krzesła. - Jakaś niedobra wiadomość?

- Nie - odparł z wysiłkiem, odkładając słuchawkę. - Po prostu zrobiło mi się słabo.

- Tu jest duszno, w tym boksie - powiedział Bączkowski. I pomyślał z satysfakcją, że może teraz dyrekcja przekona się na własnej skórze, w jakich warunkach ludzie pracują. - Jeszcze w zeszłym roku mieli zrobić wentylację.

- No i co? - rzekł Czertwan cierpko. - Dlaczego pan nie dopilnował, żeby zrobili?

- Bo pan dyrektor skreślił tę inwestycję.

- Ja?!

- Pan.

Spojrzeni sobie w oczy i Czertwan odwrócił wzrok. Pomilczał chwilę, wyjął notes, zapisał: „wentylacja we wszystkich boksach”, podkreślił to dwa razy i postawił obok wykrzyknik. Podniósł się, przetarł spocone czoło. Wychodząc, mruknął:

- Przepraszam pana.

Można to było interpretować rozmaicie, na przykład jako przeproszenie, iż nie kontynuują rozmowy. Ale Bączkowskiemu było wygodniej zrozumieć to inaczej, i rzekł do mistrza, który wszedł z hali:

- Stary zasłabł tu z gorąca i przeprosił mnie za skreślenie wentylatorów.

- A widziałem, jak wychodził. Błady był, aż myślałem, żeście się ze sobą pożarli.

- Nie, skądże.

- Jak on był kierownikiem, to tych boksów jeszcze nie było.

- Wiem. To żadne usprawiedliwienie. Boksy stoją rok.

\*

Szczęśny poruszył się niecierpliwie.

- Dyrektorze, tak nie dojdziemy do niczego! Musi pan sobie przypomnieć. Cofnijmy się o kilka lat, nawet jeszcze dalej. Od chwili objęcia przez pana stanowiska dyrektora w „Poksydzie”. Kiedy to było?

- Niecałe trzy lata temu.

- A przedtem, gdzie pań był?

- Także w „Poksydzie”. Pracowałem w wydziale polistyrenu jako zastępca kierownika. Później jako kierownik.

- A jeszcze przedtem?

Czertwan wymienił dwie poprzednie fabryki. Siedzieli w mieszkaniu kapitana, bo wszelkie inne lokale wydały się nagle Szczęśnemu podejrzane. Za dużo było tych telefonów, w coraz to innym miejscu, jak gdyby ktoś obserwował dyrektora przez niewidzialną lornetę.

- Kto mógł pana widzieć w boksie? - spytał, wracając do początku rozmowy.

- Oh, całe mnóstwo ludzi! Siedziałem tam ze dwie godziny. -

- Czy ten ktoś, nazwijmy go Iks, dzwonił najpierw na górę, do pańskiego gabinetu? Sprawdził pan?

- Sprawdziłem. Wanda łączyła na boks tylko dwie rozmowy: z naczelnym Litwińskim, wewnętrzną, i z działem handlowym naszego zjednoczenia, to była rozmowa z miasta. Inne telefony notowała.

- Ale czy była na przykład taka rozmowa: że dyrektor Czertwan jest w hali przy drugim reaktorze, więc proszę zadzwonić później. Było coś takiego?

- A wie pan, że tak - Czertwan zmarszczył brwi. - Teraz sobie przypominam. Jakiś mężczyzna pytał o mnie, mówiąc, że jest z ministerstwa. Wanda powiedziała mu, gdzie jestem, i spytała, czy to pilne. Odpowiedział, że zadzwoni za godzinę. Ale już się nie odezwał. Nie podał nazwiska.

Milczeli parę minut, w końcu kapitan rzekł:

- No i co ja mam z panem zrobić? Nie sposób założyć podsłuchu na wszystkie fabryczne telefony. Dlatego musi pan sobie przypomnieć, kto w przeszłości, bliższej lub dalszej, stał się tak zaciekłym pańskim wrogiem, że szuka zemsty w wyjątkowo perfidny sposób, mam na myśli napad na Basię. A także - zawahał się - chyba także - poprawił - próbuje rzucić podejrzenie na Andrzeja.

Czertwan spojrział na niego ze smutkiem w oczach.

- Pan nie jest przekonany o niewinności mego syna.

- A pan, dyrektorze? Nie łudźmy się. Zresztą, panu wolno, zawsze to syn. Ale ja muszę go podejrzewać. Chłopak zbyt wiele ukrywa, nie jest szczery ani ze mną, ani z panem. Wracając do mego pytania: nikomu pan nigdy nie zrobił żadnego świństwa, dyrektorze? Niech pan się nie obraża, wszyscy robimy kiedyś komuś jakieś małe świństwko, może się potem tego wstydzimy, w końcu zapominamy, ale ten ktoś może pamiętać.

- Z pewnością ma pan rację. - Ton, jakim Czertwan mówił, był teraz odrobinę chłodniejszy. - Jesteśmy ludźmi, robimy wiele błędów. Rzecz w tym, że nie zrobiłem nikomu takiej krzywdy, która by go upoważniła do aktów zemsty. Na pewno nie stało się tak w ostatnim dziesięcioleciu... no, a dawniejsze sprawy nie mogą chyba wchodzić w grę.

- Owszem, mogą! - zaproponował Szczęsny. - Pan nie ma pojęcia, do

jakiej zawziętej pamiętliwości zdolni są niektórzy faceci.

- W takim razie dlaczego Iks zwlekał tak długo?

- Nie mam pojęcia. Może wcześniej nie miał okazji.

Może go nie było... zaraz, czy miał pan znajomych za granicą? Czy któryś z nich wrócił ostatnio?

- Wrócił - przyznał Czertwan niechętnie. - Ale za tego człowieka dałbym sobie głowę uciąć. To mój dawny kolega z wojska.

- Kto to jest?

- On nie wchodzi w rachubę.

- Ale kto?

- Niech pan go zostawi w spokoju.

- Chce pan mnie zmusić, żebym dochodził własnymi drogami? Zajmie mi to czas, a mam go zawsze za mało. Niechże pan będzie rozsądny, dyrektorze.

- Więc przyrzekam panu jedno: jeżeli wszystkie inne możliwości odpadną, jeżeli ci, o których myślę, będą mieli stuprocentowe alibi, wówczas powiem panu, o kogo chodzi.

Szczesny pomyślał, że wtedy już dawno będzie wiedział, o kogo chodzi, ale pominął to milczeniem. Czertwan z dużymi oporami, wahając się i wycofując, wymienił wreszcie trzy nazwiska. Byli to według jego opinii ludzie, którym kiedyś tam „przysłużył się” i z tej przyczyny mogą czuć do niego zawiść.

- Czy któryś z nich pracuje obecnie w „Poksydzie”?

- Nie, żaden.

- Pytam, bo tu przede wszystkim trzeba szukać. Ten Iks zna dobrze numery telefonów, fabryczny i domowy...

- To nic trudnego - przerwał Czertwan. - Domowy jest w książce telefonicznej, fabryczny również.

- Ja nie skończyłem. Zna numery telefonów i wie, gdzie pan się znajduje w danej chwili.

- Niekoniecznie. Mógł mnie szukać i w końcu znaleźć. Kapitanie, wiem, że ten i ów w fabryce nie nosi mnie w sercu, ale nie są to wrogowie sensu stricto. Nie wyrzuciłem nikogo z pracy, choć czasem powinienem był to zrobić.

- A ten Wygodzki? Pańska prawa ręka. Kim on jest właściwie?

- Kaziu? - Czertwan uśmiechnął się mimo woli. - Poczciwa dusza. Nie. Wygodzkim nie zawracajmy sobie głowy.

- Dobrze. Ale czy pan sam, człowiek przecież rozumny, doświadczony, wykształcony, nie podejrzewa kogoś? Czy te pomyłki, gubienie notatek, o czym wspominał pan w naszej ostatniej rozmowie, czy to wszystko nie może być czyjąś perfidną robotą?

Czertwan milczał chwilę, a w końcu rzekł:

- Przyznam się panu, że w gruncie rzeczy nie posądzam sam siebie o jakąś... no, sklerozę czy coś w tym rodzaju. W końcu, pracuję normalnie, myślę logicznie, nie miewam omamów czy halucynacji. Jestem w pełni sił umysłowych. Dziś jeszcze. Co będzie dalej, nie wiem. Nie znam kresu wytrzymałości swego organizmu. Bo żeby dobrze pracować na tak odpowiedzialnej funkcji, trzeba mieć zdrowe nerwy i dużo wewnętrznego spokoju. A tego ostatniego mi teraz brak.

- Wynikałoby z tego wszystkiego, co pan powiedział, że jednak jest ktoś, kto zabiera panu spokój i chce wmówić otoczeniu, że nie nadaje pan się na stanowisko dyrektora. Proszę mi teraz opowiedzieć, w jaki sposób

zadarł pan z ludźmi, których nazwiska pan mi podał.

Czertwan mówił, a kapitan notował niektóre szczegóły. Myślał, że trzeba będzie to posprawdzać, poznajdywać „mścicieli”...

- Mogą tu mieć miejsce dwie sprawy, zupełnie oddzielne ==- mówił na drugi dzień do Daniłowicza. - Napad na dziewczynkę i tajemnicze telefony. Pierwsze było faktem. Drugie może być czymś, co wykluło się w chorym mózgu dyrektora.

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz - zaprzeczył major.

- Nie wierzę. Ale muszę się z tym liczyć. Nikt prócz niego tych telefonów nie słyszał. Nieznany facet z ministerstwa mógł po prostu nie zadzwonić drugi raz, bo już sprawę załatwił z kim innym, bo zapomniał, bo mu się nie chciało. Wiesz, co ja bym zrobił najchętniej?

- No?

- Posłał Czertwana na badania psychiatryczne. Oczywiście, nie mogę tego zrobić. A szkoda.

\*

O jedenastej u ministra rozpoczynała się konferencja w ścisłym gronie: przedstawiciel „Poksydu”. paru handlowców i dwaj Anglicy z firmy „I. W. Dickson Ltd”, zainteresowani kupnem polskich tworzyw sztucznych. Zbigniew Czertwan miał być tym, który im przedstawi wszelkie zalety wyrobów „Poksydu”, objaśniając skład chemiczny, wytrzymałość mechaniczną, odporność na temperaturę, elastyczność i co tam jeszcze.

O dziewiątej rano Czertwan zażądał od Wygodzkiego kilkunastu próbek, zwłaszcza polistyrenu wysokoudarowego typu „śnieżny”, który był jego cichym triumfem. Polistyren rzeczywiście wyglądał jak czysty,

lekko połyskujący śnieg, uformowany w kostki lub w małe granulki.

- W czym pan to zabierze? - spytał dyrektorski piesek, rozglądając się po oszklonych gablotach gabinetu.

- Zwyczajnie, wrzucę do teczki. Albo, wie pan co? U Bączkowskiego są w pakowni ładne, kolorowe pudełka. Niech mi pan dobierze takie, w którym zmieści się kilkanaście próbek.

Po kwadransie Wygodzki położył na biurku mleczno-seledynowe pudełko i próbki. Czertwan z przyjemnością brał do ręki lekkie, jak piana, śnieżnobiałe kostki polistyrenu, sześciiany złocistych żywic epoksydowych i fenoplastów. Ułożyli to wszystko w pudełku, Kaziu pomógł mu zawinąć w biały papier i Czertwan spojrzął na zegarek.

- Za kwadrans jadę - powiedział. - Niech Stasiak czeka w samochodzie. Muszę sobie przypomniać angielskie zwroty techniczne i zapisać.

Wygodzki podał mu z szafy słownik i wyszedł. Po piętnastu minutach Czertwan z teczką w ręku opuścił gabinet i zbiegł na podwórze, gdzie siedział kierowca Stasiak w czarnym „Mercedesie” naczelnego dyrektora. Litwiński uważał, że na konferencję do ministra należy jechać najlepszym wozem i z kierowcą, bo tak jest reprezentacyjnie j. Czertwan wyjaśnił mu dokładnie, gdzie ma reprezentację, ale Litwiński był stanowczy.

- Minister musi odczuć, że ma do czynienia z poważnym przedsiębiorstwem - mówił, pocierając swój duży, zawsze jakby spuchnięty nochał.

- A pan myśli, że minister siedzi w oknie i patrzy, czym kto przyjechał? - warknął Czertwan, ale już się nie spierał, bo nie było o co.



Stasiak usłużnie otworzył tylne drzwiczki. Czertwan wrzucił teczkę na siedzenie, sam wołał miejsce obok kierowcy. Kiedy już mieli ruszać, z okna pierwszego piętra wychyliła się pani Wanda, krzycząc coś i machając ręką. Okazało się, że Litwiński ma jeszcze jakąś sprawę do załatwienia przed wyjazdem.

- Stara pierdoła, znowu będzie głądził - mruknął Czertwan wyłażąc z samochodu.

Ruszył na górę, Stasiak zerknął za nim, uznał, że zdąży napić się oranżady w bufecie i wyskoczył z „Mercedesa”. Przepchnął się bez kolejki, wołając, że zaraz jedzie z dyrektorem. Rozstąpili się niechętnie, każdemu się śpieszyło. Stasiak wychłęptał butelkę, aż mu się odbiło, rzucił pieniądze i usiadł za kierownicą, zanim Czertwan ukazał się w drzwiach budynku. „Dobre tempo!” - pochwalił sam siebie.

Sekretarz ministra upewnił się, czy można i otworzył przed Czertwanem drzwi gabinetu. Byli tam już pracownicy departamentu handlu z zagranicą, zaraz też nadeszło dwóch Anglików. Wniesiono kawę i herbatę, przy czym Anglicy wbrew mniemaniom poprosili o kawę. Winiak był polski, żadne tam Martele czy Martineau, minister miał swoje zwyczaje.

Wszyscy obecni znali na tyle język angielski, żeby posługiwać się nim bez tłumacza, co ułatwiało i przyśpieszało rozmowę. Czertwan wiedział, że resortowi bardzo zależy na zawarciu kontraktu - tak bardzo, że minister nie chciał powierzyć transakcji swoim zastępcom. Sam zresztą był chemikiem, znał się dobrze na tworzywach, na nich wyrosła jego kariera.

Mówiono najpierw ogólnie, padały nazwy wielkich zakładów w

Oświęcimiu, Blachowni, Tarnowie i Pustkowiu. Wreszcie minister dojechał do Warszawy, wspomniał o fabryce na Żeraniu i zakończył zwracając się wprost do Czertwana:

- A teraz kolej na pański „Poksyd”. - Przy czym, w formie objaśnienia, do Anglików: - To nasza najnowsza fabryka, na Służewcu Przemysłowym. Jej wyroby mogą panów najbardziej zainteresować.

Czertwan skupił myśli, odchrząknął i zaczął mówić. Szło mu gładko, angielski znał bardzo dobrze, miał też skalę porównawczą z tym, co widział na Zachodzie i w Stanach. Przy omawianiu „śnieżnego” polistyrenu dostrzegł w oczach Anglików błysk zaciekawienia. Sięgnął po teczkę, wyjął pudełko. Pewien był efektu, „śnieżny” prezentował się ślicznie.

- To są właśnie nasze najnowsze osiągnięcia - rzekł z uśmiechem, zdejmując pokrywkę. A wtedy uśmiech zamarł mu na ustach.

Wszyscy obecni, nie wyłączając ministra, patrzyli to na niego, to na otwarte, mlecznoseledynowe pudełko, w którym na dnie leżała kupka popiołu, niedopałków i kilka wypalonych zapalek. Jeden z handlowców głośno przełknął ślinę, ktoś nie wytrzymał, parsknął śmiechem i poczerwieniał.

Czertwan nie mógł wydobyć z siebie głosu. Pobladł tak bardzo, że minister, który był młody i miał poczucie humoru, postanowił go ratować.

- Miejmy nadzieję - rzekł pogodnie - że to właśnie nie są nasze najnowsze osiągnięcia w dziedzinie tworzyw sztucznych.

Wszyscy roześmieli się, któryś z Anglików przytoczył dowcip o starym parasolu, dyrektor departamentu dolewał winiaku. Tylko Czertwan, z otwartym pudełkiem w drżących palcach, siedział nieruchomo i

milcząco.

- Po prostu wziął pan inne pudełko - minister chciał mu dodać otuchy. - A tego używał pan jako popielniczki. Nic się nie stało, dyrektorze. Niech pan pošle kogoś do „Poksydu” po próbki.

Czertwan podniósł się z krzesła.

- Pan minister pozwoli - rzekł cicho po polsku - że sam pojedę. I... wyjaśnię. Będę za pół godziny.

- Dobrze, jeżeli pan woli.

Stasiak ocknął się z drzemki, spojrzał na dyrektora, chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na wargach. Czertwan, blady, z zaciśniętymi ustami, odsunął go ruchem ręki od kierownicy i kazał przejść na prawą stronę. Potem sam ruszył przed gmach ministerstwa, wyjechał na ulicę i tak docisnął gaz, że Stasiak skulił ramiona i przywarł do oparcia siedzenia, jakby to w czymkolwiek mogło pomóc w tej wariackiej jeździe. „Ale zasuwa! - myślał, śledząc spod oka zaciętą twarz Czertwana. - Musiał mu minister wleźć za skórę... Na tym zakręcie, to chyba wezmę mu kierownicę, bo... Cholera, mały włos, a o ten autobus... Niech go szlag trafi, wcale mi się jeszcze na tamten świat nie śpieszy!”

„Mercedes” zarył nosem przed budynkiem administracyjnym, Czertwan wyskoczył i rzucił Stasiakowi: - Zaraz jedziemy z powrotem!

- Jeszcze czego! - mruknął kierowca. - Chyba że ja poprowadzę.

Pani Wanda na widok wbiegającego dyrektora podniosła się z krzesła, przestraszona i zdumiona.

- Co się stało? - zawołała. - Jakiś wypadek?

Czertwan minął ją bez słowa, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Spojrzał na biurko. Od razu zauważył, że duża cepeliowska

popielniczka, godzinę temu wypełniona popiołem i niedopałkami, teraz była pusta. „Może sprzątaczką” - pomyślał szukając oczami tamtego pudełka, musiało przecież być, sam je napełniał próbkami, a potem... Nagle wzrok jego padł na boczny stolik z telefonami i zdrętwiał. Obok jednego z aparatów, na jasnym fornirze stolika stał domek z klocków. Żłociste sześciany i białe kostki „śnieżnego” ślicznie harmonizowały ze sobą, tworząc coś w rodzaju pałacyku z bajki.

Czertwan patrzył w osłupieniu na próbki, którymi ktoś tak się zabawił. Ktoś. Albo... Osunął się na krzesło. Na podłodze leżał biały papier, którym razem z Wygodzkim zawijali pudełko. Tamto. Czy były dwa?

Wściekłym ruchem zmiotł kostki do tego, które wyjął z teczki, ale zapomniał je przedtem opróżnić z popiołu. Wyrzucił więc wszystko razem na biurko, oczyścił dno pudełka, poukładał próbki, zamknął i owinął papierem. Włożył do teczki, wcisnął pod pachę, otworzył drzwi do sekretariatu. Pani Wanda i Wygodzki stali na środku pokoju, szepcząc coś do siebie. Mieli twarze zatroskane i przestraszone.

- Kto wchodził do gabinetu po moim wyjeździe? - spytał Czertwan cicho.

- Nikt, panie dyrektorze - odparła Wanda. - Byłam tu przez cały czas.

- Pani też nie wchodziła?

- Nie.

- I nie opuszczała pani sekretariatu ani na chwilę? - pytał nieustępliwie, zapominając, że ma jak najszybciej jechać do ministerstwa.

- Czy coś zginęło, panie dyrektorze? - zapytał Wygodzki.

- Wychodziłam... może na pięć minut, do bufetu. Poza tym, nigdzie.

- Sprzątaczkę nie było w tym czasie?

- Na pewno nie. One przychodzą o czternastej.

- Nic nie zginęło - odpowiedział Wygodzkiemu. - Ile pudełek pan mi przynosił od Bączkowskiego?

- Jedno, panie dyrektorze. Czy przynieść więcej?

- Nie, dziękuję. Wracam do ministerstwa.

Nie protestował, kiedy Stasiak na jego widok nie ruszył się od kierownicy. Poczł się nagle słaby, zmęczony i stary. Zanim wszedł do gabinetu ministra, wyjął pakunek z teczki, otworzył i sprawdził zawartość. Potem, prezentując Anglikom próbki, przeprosił z bladym uśmiechem za poprzedni lapsus, wyjaśnił, że rzeczywiście zabrał przez pomyłkę pudełko, używane jako popielniczka. Nikt nie miał pretensji, minister pochwalił wyroby, zwłaszcza „śnieżny” polistyren. Anglicy wyrazili chęć podpisania kontraktu.

I tylko Czertwan, wróciwszy wieczorem do domu, zamknął się w małym pokoiku, rzucił na tapczan i długo leżał, rozważając to, co zaszło. A im dłużej myślał, tym bardziej upewniał się, że zaczyna chorować psychicznie i jeżeli natychmiast nie zabierze się do leczenia, skończy w zakładzie.

## **Rozdział 7**

Nie było trudno dowiedzieć się, co zaszło z trzema osobnikami, których nazwiska Czertwan podał Szczęsnemu. Pierwszy z nich, technik, zmarł dwa lata temu. Drugi „mściciel”, obiecujący chemik, wyjechał w maju do Libii, wysłany tam służbowo przez swoje przedsiębiorstwo i miał

wrócić dopiero pod koniec roku. Trzeci wreszcie mieszkał stale w Szczecinie i trudno było przypuścić, iż stamtąd dokonuje aktów zemsty na swoim przeciwniku. Mimo to Szczęsny posłał dalekopis do Komendy Wojewódzkiej, prosząc szczecińskich kolegów, aby sprawdzili, kiedy ten człowiek wyjeżdżał do Warszawy w ostatnich miesiącach i jaką cieszy się opinią. Był to jednak słaby ślad.

Kapitan nie dowiedział się od Czertwana, co zaszło w gabinecie ministra. Dyrektor był tak zgnębiony stanem swoich nerwów, że opowieść o domku z klocków i pudełku z popiołem nie przeszłaby mu przez gardło. Postanowił natomiast odwiedzić swego znajomego lekarza i zrobił to następnego dnia po niefortunnej konferencji. A kiedy usiadł w gabinecie i spojrzał w dobrze mu znane, poczciwe niebieskie oczy doktora Stankiewicza, odetchnął głęboko, jak pływak przed rzuceniem się do wody, i zaczął mówić. Od początku, nie pomijając nic z tego, co go gnębiło. Także i wydarzenia u ministra.

Lekarz słuchał w milczeniu, nie przerywając długiego monologu. Pozwolił Czertwanowi oskarżyć się o chorobę psychiczną, o podejrzliwość wobec własnego syna, czasem kiwał głową ze zrozumieniem, czasem unosił brwi w górę, jakby nie dowierzając.

Wreszcie dyrektor umilkł, opuścił głowę. Sięgnął po papierosy, rozsypał je z pudełka i złamał kilka zapalek, zanim udało mu się zapalić.

- No, tak - odezwał się Stankiewicz. - Pozwól, moj drogi, że najpierw zbadam cię dokładnie, a potem odpowiem na niektóre twoje wątpliwości.

Znowu były opukiwania, stetoskop, ciśnienie, naciskanie tu i tam, pytania: czy boli?, wszystko to, co u Sechny, ale z jakże innym podejściem do pacjenta, z przyjaznym pomrukiwaniem i pogodną, życzliwą twarzą.

- No, tak - powtórzył lekarz. A potem spytał: - Napijesz się?

- Owszem - odparł Czertwan myśląc, że chodzi o kawę. Ale Stankiewicz wyciągnął z biura butelkę koniaku.

- Twoje zdrowie! - powiedział, unosząc w górę kieliszek. - Chciałbym je mieć - dodał, jakby mimochodem. - Bo moje ostatnio nie bardzo:

- Uważasz, że jestem zdrowy? - rzekł Czertwan z powątpiewaniem.

Doktor odstawił kieliszek i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

- Tak - odparł stanowczym tonem. - Jesteś trochę przepracowany, masz lekką nerwicę serca, mój Boże, któż jej nie ma, ale poza tym jesteś zdrowy, Zbyszku. A teraz postaram się odpowiedzieć ci na to, co mówiłeś. Otóż... - Zamyślił się na chwilę. - Dla mnie to, co usłyszałem, układa się w dość logiczną całość. Oczywiście, mogę się mylić. Po pierwsze, istnieje człowiek, który postanowił wykończyć cię nerwowo idiotycznymi telefonami. Bo to są idiotyzmy, z tym jakimś płaceniem, nie wiadomo za co. I ja bym na twoim miejscu wcale się tym nie przejmował. Możesz chyba tak urządzić, żeby telefony w fabryce odbierała sekretarka i przełączała na ciebie tylko wtedy, kiedy wiadomo, kto mówi i o co chodzi. A w domu po prostu przez jakiś czas nie odbieraj, jeżeli ktoś zadzwoni w nocy. Facet będzie próbował, potem przestanie.

- Tak, to mogę zrobić.

- Po drugie. Ja bym absolutnie wykluczył podejrzenie, że twój syn dosypywał ci do herbaty czy do jedzenia narkotyki. Zastanów się: po cóż by to robił? Poza tym, gdyby nawet tak było, to działanie tych środków przejawiałoby się u ciebie zupełnie inaczej. Byłbyś senny, spałbyś przez wiele godzin, miałbyś ewentualnie halucynacje wzrokowe, słuchowe,

może torsje, bóle głowy i tak dalej. Ale takie sporadyczne, przypadkowe zażywanie środków psychotropowych w żadnym wypadku nie może powodować utraty pamięci, lub, co gorsza, początków choroby psychicznej. To sobie wybij z głowy!

- Tym gorzej - mruknął Czertwan, sięgając po swój kieliszek. - Bo to oznacza, że jakaś inna, nie znana mi przyczyna, dla której gubię notatki, mylę fakty, a wreszcie... - urwał, wzdrygnął się na samo wspomnienie - wreszcie, układam w gabinecie domki z klocków. A ministrowi pokazuję niedopałki, zamiast próbek.

- Daruj, ale nie wierzę, że ty sam to zrobiłeś.

- Więc kto i kiedy? Byłem sam w gabinecie przez kwadrans. Przeglądałem słownik polsko-angielski, żeby sobie przypomnieć różne zwroty techniczne. Wtedy musiałem... to zrobić. Nikt w fabryce nie ośmieliłby się urządzić mi takiego kawału. Nie posądzam o to nikogo z sekretariatu, wykluczone. Tyle lat ze mną pracują, i Wanda, i Kaziu Wygodzki, i reszta... Zresztą, w jakim celu któreś z nich miałyby to zrobić? Poza tym musieliby być w zмовie. To niemożliwe.

- Załóżmy więc, że twój stan nerwowy wskutek przepracowania wymaga pewnej korekty. To jeszcze nie jest żadne nieszczęście. Zapiszę ci trochę łagodnych leków. Tylko chowaj je przed Andrzejem, rozumiesz?

- Oczywiście.

- Ogranicz palenie i alkohol, a także kawę. Staraj się codziennie chociaż przez pół godziny pospacerować po parku czy nad Wisłą. To uspokaja nerwy, poza tym jesteś nie dotleniony. Musisz spać minimum sześć godzin, wolałbym siedem. Przy otwartym oknie. Teraz, co do tamtych spraw... Wydaje mi się, że nie powinieneś ich łączyć. Telefony do



ciebie i twój stan nerwowy to inna sprawa. A napad na Basię i, w co zresztą nie wierzę, ewentualny udział w tym Andrzeja, to inna. Pomyśl: jedyny argument, wskazujący na współzależność tych wydarzeń, to ten, że facet z telefonu wiedział o napadzie. Ale przecież taka rzecz rozchodzi się, ludzie o niej mówią. Była milicja, trwa dochodzenie. Zakładając, że ten człowiek znajduje się gdzieś w twoim - bliższym czy dalszym - otoczeniu, bez trudu mógł się o tym dowiedzieć. No i użyć argumentu, bo mu pasował. Czy nie mam racji?

- Chyba tak.

- Czy milicja znalazła już sprawców napadu?

- Nie. Przynajmniej nie powiadomiła mnie o tym. A chyba byłaby jakaś konfrontacja z Basią.

- I w dalszym ciągu nie wiesz, od kogo Andrzej dostawał narkotyki?

- Nie wiem. Jakiś czas było już dobrze, ale ostatnio znowu zaczął wychodzić z domu wieczorami. Gdybyś zaszedł do nas, może byś spróbował jednak z nim pogadać?

- Dobrze. Ale pamiętaj, że wtedy nie chciał ze mną nawet się zobaczyć, wyszedł z domu.

- Może teraz będzie inaczej. Słuchaj, czy ty znasz takiego lekarza, Adama Sechnę?

- Znam - odparł Stankiewicz powściągliwie.

- Co to za człowiek?

- A gdzieś ty go poznał?

- U Nieświeskich na brydżu. Dziwny jakiś.

- Po co ci ta znajomość - mruknął doktor, nie patrząc na Czertwana. - W dodatku fatalnie gra.

- To prawda.

Kiedy Czertwan miał już wychodzić, lekarz spytał na pozór obojętnie, ale w jego głosie była odrobina niepokoju:

- Czy jest może jakiś kontakt pomiędzy Sechną a twoim Andrzejem?

- Nie - odparł Czertwan, trochę zdziwiony. - Nic o tym nie wiem. Czemu tak myślisz?

- Bo gdyby był - Stankiewicz ważył słowa - to postaraj się go zerwać.

- Nie rozumiem - zniecierpliwiał się dyrektor. - Co jest z tym Sechną? Zapowietrzony jakiś czy co?

- Wolałbym o tym nie mówić. Spytaj syna, czy go zna, zaobserwuj reakcję i w razie potrzeby zlikwiduj znajomość. Radzę ci. No, do zobaczenia! Lecz się i uwierz w swoje siły, jak dawniej. Byłeś przecież zawsze zwycięzcą, od najmłodszych lat.

- Byłem. Kiedyś - westchnął Czertwan. - Ale dziękuję, żeś mi o tym przypomniał.

Wyszedł od przyjaciela znacznie spokojniejszy. Wykupił w aptece lekarstwa i na ulicy zetknął się z kapitanem Szczęsnym. Przywitali się, kapitan zaproponował pogawędkę w pobliskiej kawiarni. Usiedli. Czertwan wspomniał o wizycie u doktora Stankiewicza, nie wdając się jednak w szczegóły.

- Dobrze, że pan trochę podreperuje zdrowie - rzekł Szczęsny. - Chciałbym przypomnieć panu dane słowo. Sprawdziłem, co się dzieje z osobami, których nazwiska pan mi podał. I po sprawdzeniu proszę o nazwisko dawnego kolegi z wojska. Tego, który wrócił niedawno z zagranicy.

- Owszem, dałem słowo - odparł Czertwan. - Trochę lekkomyślnie. Myślę w tej chwili, że te idiotyczne telefony to głupi dowcip, którym nie należy się przejmować. Dlatego pozwoli pan, kapitanie, że nie wymienię tego nazwiska. Przepraszam pana. Ale w końcu chodzi tu o moją osobę, więc ja chyba decyduję, prawda?

Uśmiechnął się przyjaźnie, chcąc tym złagodzić ostatnie słowa.

- Oczywiście, pan decyduje - powiedział Szczęśny z wolna. - Rzecz w tym, że ja chyba znam to nazwisko. Major Tadeusz Witwicki, długoletni pracownik jednej z naszych placówek za granicą. Obecnie zatrudniony w resorcie, departament kadr.

Czertwan siedział chwilę ze ściągniętymi brwiami. Nie patrzył na kapitana. Nagle Szczęśny roześmiał się.

- No, niechże pan sobie ulży - poprosił, w czarnych oczach miał wesołe błyski. - Niech pan mi nawymyśla. Strawię to. Rozmawiamy prywatnie.

- Rzeczywiście, mam na to ochotę - przyznał tamten. - Trudno, jak pan już wie... Czy pan z nim rozmawiał?

- Nie. I mogę pana zapewnić, że nie podejrzewam go o żadne brzydkie sprawy. Choć, co prawda, ludzie się zmieniają. Byliście dobrymi kolegami?

- Tak. Nawet bardzo dobrymi. Chciałbym prosić, aby pan z nim jednak nie rozmawiał. Dobrze?

Ale Szczęśny wykręcił się od odpowiedzi.

\*

O pierwszej w nocy, zwłaszcza jeżeli ktoś zasnął na krótko przedtem, sen jest mocny i podobno najbardziej wartościowy. Dlatego telefon w

mieszkanii Szcześniego, mimo iż stał na stoliku obok tapczanu, dzwonił i dzwonił, zanim rozespany, na wpół przytomny kapitan namacał słuchawkę i przyłożył do ucha.

- Mhm... tak, słucham? - zamruczał, jeszcze trochę śniąc o czymś.

- Szcześniey? - Poznał głos majora Daniłowicza. - Przysyłam ci radiowóz. Pośpiesz się!

- Co? - usiadł, zapalił światło. - Co się stało?

- Czertwan nie żyje.

- Co takiego?! - wykrzyknął, ale tamten rzucił już słuchawkę.

Wyskoczył do łazienki, minutę trzeźwił się pod chłodnym prysznicem, cztery minuty wystarczyły na wytarcie muskularnego ciała, ubranie i zapalenie papierosa. Zegarek na rękę, latarka (zawsze może się przydać), notes. Dwa łyki zimnej kawy, pozostawionej z wieczora na kuchence. Szalik, kurtka... diabli wiedzą, gdzie to się stało, noc jest zimna, koniec września. No, już.

Zbiegł ze schodów. Radiowóz czekał przed budynkiem. Była to przypadkowo skierowana załoga z Batalionu Pogotowia, która patrolowała w pobliżu mieszkania kapitana. Nie wiedzieli więc nic o wydarzeniu, mieli tylko podwieźć Szcześniego na Bielany.

- Na jaką ulicę? - spytał kierowcę.

- Na Ogólną dwadzieścia trzy, kapitanie.

- W domu go zabili? - zdziwił się. I pomyślał, że przecież major nie powiedział: „zabity”, ale „nie żyje”. Może więc Czertwan umarł na atak serca. Czertwan... Zaraz, ale który? - Cholera! - mruknął do siebie. - Nie wiecie, co się stało?

- Nie wiemy - odparł kierowca cierpliwie, bo już raz na to

odpowiedział.

- Chyba jednak dyrektor - odpowiedział Szczęsny sam sobie.

Skręcili w Słoneczną, przecięli rondo przy Potockiej.

- Major tam jest?

- Pewnie jest. Był, jak nas powiadomili ze stanowiska dowodzenia. I doktor Stern, bo słyszałem, że po niego mieli jechać.

Przed wieżowcem na Ogólnej stał ambulans techniczny i karetka Pogotowia Ratunkowego.

- Więc chyba żyje - stwierdził Szczęsny, widząc karetkę.

Wbiegł do budynku, zawahał się przy windzie, nie pamiętał numeru mieszkania. Tymczasem jedna z wind zjechała w dół, wysiadł z niej technik dochodzeniowy.

- Szóste, kapitanie - powiedział na widok Szczęsnego przy spisie lokatorów.

- Żyje? To ojciec czy syn?

- Ojciec. Żyje, ale stan prawie agonalny. Ja zaraz wracam, tylko wezmę coś z wozu.

Szczęsny nie czekał jednak, wszedł do windy, nacisnął guzik szóstego piętra. Drzwi od mieszkania Czertwanów były uchylone, na podeście leżały nosze. Dwaj pracownicy służby kryminalnej, schyleni nad schodami, przyglądali się czemuś z uwagą. Kapitan minął ich, wszedł na korytarz. Daniłowicz był w pokoju, wyjrzał i przywołał go ruchem głowy.

Zbigniew Czertwan leżał na tapczanie, bez kropli krwi w twarzy, z zamkniętymi oczami. Krwi za to było dużo na pościeli, a także na podłodze i w korytarzu. Doktor Stern z Komendy Stołecznej i lekarz Pogotowia Ratunkowego naradzali się nad czymś cicho. Sanitariusz zwijał

starannie bandaż, spoglądając co chwila na bladą, woskową twarz leżącego.

- Nożem w plecy, pod łopatkę - powiedział major, zniżając głos do szeptu. - Ogromny upływ krwi. Nie wiedzą, czy da się go przewieźć w tym stanie do szpitala. A potrzebna jest natychmiastowa operacja.

- Gdzie to się stało? - spytał Szczęsny, nie odrywając oczu od Czertwana.

- Tu. Na klatce schodowej. Przed drzwiami mieszkania.

- Wracał do domu?

- Nie. Był w domu, chyba spał. Jego siostra, jest obok w pokoju z dziewczynką, powiedziała, że w środku nocy usłyszała dzwonek. Chciała wstać, ale otworzyły się drzwi od tego pokoju, brat wyszedł na korytarz, zapalił światło i spytał: kto tam. Usłyszała jeszcze, jak zniecierpliwionym tonem powiedział: znowu łazisz po nocach? I otwieranie drzwi. Pomyślała, że Andrzej musiał zapomnieć kluczy.

- Nie było go w domu, jak szli spać?

- Nie. Więc to otwieranie, szcęk zamka, chwila ciszy. I nagle krzyk. A potem stuk czegoś o podłogę. Przeraziła się, wyskoczyła z łóżka i wybiegła na korytarz. Drzwi były szeroko otwarte, Czertwan leżał na podłodze. Zobaczyła, że na piżamie, na plecach, tworzy się coraz większa plama krwi.

- Noża wtedy nie widziała?

- Nóż, jak Czertwan upadł, musiał wysliznąć się z rany. Znaleźliśmy go obok, na podłodze. Oczywiście żadnych odcisków. No, więc jakoś tam dźwignęła brata na tapczan, próbowała zatamować krew. Mała też się zbudziła. Zaczęła krzyczeć. Ktoś z sąsiadów dosłyszał, wyszedł na schody

i zatelefonował do nas. Helena Czertwan zadzwoniła potem do Pogotowia na Hożą, ale pierwszy meldunek do nas - byłem akurat w komendzie - był taki, że Czertwan nie żyje. Ten sąsiad tak myślał. Zobaczył nóż, skombinował, że coś nie w porządku, i zaalarmował milicję.

Winda zatrzymała się na szóstym piętrze, wysiadł technik i doktor Stankiewicz, zawiadomiony przez panią Helenę. Miał ubranie narzucone na piżamę i zmierzwione włosy, a w twarzy wyraz ogromnej troski. Nie patrząc na obecnych, podszedł do tapczanu, usiadł, wziął za puls bezwładną rękę przyjaciela. Zbliżył się Stern i lekarz z Pogotowia. Obaj znali doktora Stankiewicza, mieli wiele szacunku dla jego wiedzy i doświadczenia zawodowego. Z ulgą zrzucili też na niego odpowiedzialność za decyzję-

- Bardzo ostrożnie - powiedział Stankiewicz. Odwrócił się do sanitariusza. - Niezwykle ostrożnie, moi kochani! Nasze wejda do windy?

- Wejda - odparł sanitariusz. - Kto ze mną poniesie, bo kierowca został na dole?

- Ja - zdecydował Stankiewicz. - Kolega mi pomoże - spojrzał na lekarza z Pogotowia. Przesunął wzrokiem po oficerach, rzekł: - Wszystko inne potem. - I mruknął, już tylko do siebie: - Jeżeli w ogóle będzie jakieś: potem.

Karetką odjechała. Doktor Stern, który z fachu troszczył się o nieboszczyków, a nie o żywych, zabrał się radiowozem. Na miejscu pozostał Daniłowicz i Szczęsny oraz ekipa dochodzeniowo-śledcza. Helena Czertwan utuliła, jak mogła, płaczącą Basię, dała jej kropli walerianowych, a kiedy dziewczynka wreszcie usnęła, można było dokładniej omówić przebieg tragicznej nocy. Oficerowie usiedli w kuchni,

bo pani Helena zaparzyła dla wszystkich mocnej kawy, i Szczęsny zapytał, czy nie przypomniały jej się jakieś dodatkowe szczegóły zajścia.

- Cóż... - zaczęła z wahaniem, starając się opanować żal i gniew, który narastał w niej w miarę, jak rozważała to, co się stało. Pod wpływem niedobrych myśli wyrwało jej się bezwiednie: - Boże drogi, to chyba niemożliwe!

- Czy pani dosłyszała, co powiedział ten ktoś, kto stał za drzwiami, kiedy dyrektor spytał: kto tam? - Szczęsny patrzył na nią z napięciem.

- Nie. Ale... - umilkła, potrząsnęła głową, jakby przecząc swoim myślom.

- W każdym razie potem pan Czertwan powiedział: „znowu łazisz po nocach”, tak?

- No, tak.

- Mogło to oznaczać tylko jedno. Że...

- Ależ to niemożliwe! - krzyknęła. - Nie uwierzę w to. Żeby syn na ojca podniósł rękę! Nie! nie wierzę.

- Rozumiemy pani uczucia - rzekł łagodnie Daniłowicz. - Jednakże musimy wziąć pod uwagę taką możliwość. Sądzę, że osobnik, stojący za drzwiami, powiedział: „Tu Andrzej”, albo: „To ja, tato” czy coś w tym rodzaju. Oczywiście, napastnik mógł zmienić głos i podszyć się pod Andrzeja. Dyrektor, wyrwany z głębokiego snu, poza tym w pewnym sensie przygotowany na taką właśnie odpowiedź... bo chłopiec podobno w ostatnim czasie znowu wychodził nocami... więc dyrektor nie nadśluchiwał, nie zastanawiał się specjalnie, czy głos brzmi tak samo, jak głos jego syna. Przyjął to za pewnik i otworzył drzwi. Tak przypuszczam.

- Czy w przedpokoju paliło się światło? - spytał kapitan.



Helena zastanowiła się, wyteżyła pamięć.

- Jak wbiegłam, słysząc krzyk i stuk, to światło padało tylko z pokoju, w którym brat sypiał. Smuga światła.

- A na klatce schodowej?

- Ciemno. Na pewno, bo mam jeszcze w oczach ten obraz... brat zakrwawiony na podłodze, otwarte drzwi na schody, ciemność za tymi drzwiami.

- Musiał je otworzyć, a nie widząc nikogo tuż przed sobą, dał kilka kroków naprzód, rozglądał się, a wtedy dostał cios w plecy. Napastnik stał w ciemności, tuż przy ścianie.

- Albo też - wtrącił major - dyrektor w ogóle nie wyszedł na schody, tylko otworzył drzwi, cofnął się, aby czekający mógł wejść, i odwrócił się plecami do niego, a twarzą do swego pokoju.

- Tak - Helena kiwnęła głową. - Jak Andrzej wracał w nocy, to Zbyszek w ogóle do niego się nie odzywał. Zresztą, w dzień też prawie ze sobą nie rozmawiali.

- Czy brat, kiedy pani nachyliła się nad nim, podnosiła go i kładła na tapczanie, był przez cały czas nieprzytomny? Nie powiedział ani słowa?

- Nie. Oczy miał zamknięte. Musiał od razu zemdleć. Daniłowicz wstał, spojrzął na zegarek. Było pięć po czwartej.

- Swoją drogą, żeby taki młody chłopak włóczył się po nocy - mruknął z dezaprobatą.

Obaj oficerowie wyszli do przedpokoju, gdzie ekipa kończyła swoje czynności.

- Słuchaj, czy Andrzej nie jest już pod obserwacją? - spytał major szeptem.

Szczęśny zaprzeczył ruchem głowy. Przed tygodniem doszedł do wniosku, że jest to strata czasu i zbyteczna robota dla kilku wywiadowców. Chłopiec przykładowo siedział w domu, poza szkołą nigdzie nie wychodził. Teraz kapitan pożałował swej decyzji, widać zbyt pochopnej.

Usłyszeli szum windy. Stuknęła na szóstym piętrze, ktoś z niej wysiadł.

- Może to on - mruknął Szczęśny, podchodząc do drzwi.

Andrzej Czertwan zatrzymał się na progu i rozglądał zdumionymi oczami. Usta miał rozchylone, na policzkach rumieńce. Dostrzegł Szczęśnego, poznał.

- Co się stało? - wyjąkał, przenosząc wzrok z kapitana na innych, obcych ludzi, krzątających się po mieszkaniu.

- Wejdz - rzekł Szczęśny. I zamknął drzwi za jego plecami.

\*

Tym razem powiedział. Próba zabójstwa ojca wstrząsnęła nim, tak przynajmniej można było sądzić po zachowaniu się chłopca. Błady, przygarbiony siedział na krześle i, nerwowo przełykając ślinę, odpowiadał na każde zadawane mu pytanie. Szczęśny i Daniłowicz przesłuchiwali go wspólnie, w Komendzie Stołecznej, dokąd zabrali chłopca prosto z mieszkania.

- Więc gdzie byłeś w nocy?

- U dziewczyny. Na Brzeskiej szesnaście, mieszkania pięć.

- Jak ona się nazywa?

- Jolanta Nowak.

- Ma pseudonim?

Zawahał się, przetarł dłonią spocone czoło, ale odparł:

- Ma. Słowianka.

- Należy do hippiesów?

- Tak.

- Jak dawno ją znasz?

- Jakieś... parę miesięcy.

- A od kiedy ze sobą żyjecie? Ona przecież była z Jemiołą - zauważył Szczęsny.

- Tak, ale... Już nie są. Zresztą - urwał, opuścił głowę.

- Zresztą, u was to nie ma znaczenia, prawda? Żyje się to z tym, to z tamtym, albo ze wszystkimi po kolei. Andrzej milczał. Miał dreszcze, głowa go bolała.

- O której wczoraj do niej poszedłeś?

- Około dziewiątej wieczorem.

- I byłeś do której?

- Chyba do trzeciej. Zanim tu przyjechałem, musiałem długo czekać na tramwaj. Ten nocny.

Szczęsny wyszedł z pokoju, przywołał jednego z pracowników służby kryminalnej i polecił mu natychmiast odszukać i sprowadzić do komendy Jolantę Nowak z ulicy Brzeskiej. O szóstej rano powinna być w domu, hippiesy nie należały do wstających wcześniej.

Wrócił do pokoju. Daniłowicz, kreśląc coś na kartce, spytał, kto może poświadczyć, że Czertwan był tam przez całą noc, i Andrzej odparł, że wszyscy w domu. Szczęsny wiedział jednak, że Słowianka mieszka wprawdzie z rodzicami, ale w pijackiej melinie, w której przyjmuje się gości, nie pytając, kto i po co przyszedł, a tym bardziej, jeżeli przyszedł do

dziewczyny. Nikt z tej rodziny nie mógł służyć jako świadectwo prawdy i nikomu nie zdarzyło się od lat zaświadczyć w słusznej sprawie. Przeciwnie. Można więc było z góry przewidzieć, że cała familia jak jeden mąż poprze zeznanie Słowianki albo jej chłopaka.

Dlatego Szczęśny po namyśle zrezygnował z dalszego uczestnictwa w przesłuchiowaniu zarówno Andrzeja, jak i Słowianki. Napisał na kartce, że wyjeżdża do „Poksydu” i zdaje na majora oboje delikwentów, po czym podsunął kartkę Daniłowiczowi. Ten rzucił okiem i skinął przyzwalająco głową.

Personel administracyjny rozpoczął pracę o siódmej rano i kiedy kapitan zajechał przed fabrykę, zastał już wszystkich przy biurkach. Odszukał przede wszystkim Wygodzkiego, poprosił o parę minut rozmowy w ważnej sprawie. Prośba była wyrażona takim tonem, że kierownik sekretariatu uniósł brwi w górę, a potem poprowadził oficera do pustej sali konferencyjnej.

- Słucham pana - rzekł uprzejmie. - Czy coś się stało?

- Pozwoli pan, że najpierw ja zadam kilka pytań. Gdzie pan był tej nocy?

Wygodzki spojrzał na kapitana z ogromnym zdumieniem, a potem odparł:

- Gdybym nie rozmawiał z oficerem milicji...

- Ale pan rozmawia - przerwał mu Szczęśny ostro. - Więc?

- Czy to jest przesłuchanie?

- Wszystko jedno, co to jest. Niech pan odpowie, żebym nie musiał pytać po raz trzeci;

Dyrektorski piesek chrząknął, wzruszył lekko ramionami, ale

odrzekł:

- W domu.

- Pan mieszka sam?

- Sam.

- O której pan wrócił do domu wczoraj wieczorem?

- Sądzę, że gdzieś koło siódmej. To znaczy, dziewiętnastej.

- I już pan nie wychodził?

- Nie.

- A o której wyszedł pan dzisiaj z domu?

- Jak zwykle, o szóstej pięć. Czy mogę jednak...

- Zaraz. Czy ktokolwiek może poświadczyć, że pan przez całą noc był w domu?

Wygodzki rozłożył ręce.

- Nie. Byłem sam. Ale co się stało?

- Dyrektor Czertwan nie żyje. Kierownik zerwał się z krzesła, poczerwieniał.

- Ja sobie wypraszam takie ordynarne żarty! - syknął z gniewem.

- A ja nie żartuję - odparł Szczęsny, nie spuszczać z niego wzroku.

- Panie, ależ to... jakże, czy to... może wypadek? Samochodowy? - jękał Wygodzki, łamiąc ręce ze zdenerwowania.

- Nie wypadek. Zabójstwo.

Kierownik sekretariatu spojrział na oficera, jakby go dostrzegł dopiero teraz. Chwilę patrzył, a potem krzyknął na całą salę:

- To pan... pan mnie posądza... że ja! To podłość! Pan mnie posądza, że jego... Ja panu... ja pana do sądu! Świństwo! Podłość!

- Uspokój się - powiedział Szczęsny zimno” nie ruszając się z

miejsca. - Ale już!

Ostry ton podział jak wiadro wody na głowę. Wygodzki osunął się na krzesło. Nagle ramiona zaczęły mu drgać spazmatycznie, całym ciałem wstrząsał szloch. Wyciągnął z kieszeni chustkę i ukradkiem ocierał oczy, pełne łez. Szczęsny przypatrywał mu się z zadumą. Milczał.

Wreszcie tamten uspokoił się na tyle, że mógł odpowiadać na pytania. Nie, nikogo w fabryce nie posądza. Przeciwnie, pewien jest, że nikt z „Poksydu” tego nie zrobił. Owszem, dyrektor Czertwan czasami kogoś rugnął, komuś nagadał, nawymyślał za złą robotę. Ale ludzie go lubili, bo był sprawiedliwy i uczynny. Nie odmawiał, jeżeli mógł coś załatwić, w czymś pomóc.

- Panie Wygodzki - odezwał się kapitan, wciąż przyglądając się z uwagą bladej twarzy kierownika i jego zaczerwienionym oczom. - Niech mi pan powie, kto według pana miałby powód, aby dyrektorowi Czertwanowi źle życzyć! I za co?

- Nie wiem. Może to był napad rabunkowy?

- Pan dobrze zna jego syna? - odparł Szczęsny pytaniem.

- Andrzeja? O tyle, o ile. Mało z nim rozmawiałem. Wiem tylko, że dyrektor miał z nim wiele zmartwień, zwłaszcza ostatnio. Skarżył się kiedyś, że chłopak włóczy się po nocach, że wdał się w złe towarzystwo. Wie pan, jak to z tą młodzieżą teraz. Kiedy rozmawialiśmy o tym, wyraziłem pogląd, że Andrzej to zdolny chłopiec i ma przyszłość przed sobą. Na to dyrektor odparł, że...

- No, co? Dlaczego pan nie kończy?

- Nie chciałbym, aby to właśnie teraz miało jakiś specjalny wydźwięk.

- Przecież rozmawialiście wtedy, a nie teraz. Więc co powiedział Czertwan?

- No, że obawia się o syna. Że jest zdolny do wszystkiego.

- Tak powiedział?

- Ale niech pan nie zestawia tych słów z...

- Dobrze - przerwał Szczęsny, wstając z krzesła. - Dziękuję panu za rozmowę. Proszę na razie nie mówić w fabryce o tym, co zaszło.

- Jakże nie mówić, że dyrektor nie żyje? Przecież trzeba naczelnemu i w komitecie zakładowym, i w ogóle. Muszę powiedzieć, że nie żyje, jakże tak!

- Niech pan tego nie mówi - odparł Szczęsny z naciskiem. - My o wszystkim powiadomimy. I to bardzo szybko.

Wyszedł z sali, nie oglądając się. Wsiadł do służbowej „Warszawy” i pojechał do szpitala.

Czertwan leżał w separacie, pilnowany na korytarzu przez pracownika Komendy Stołecznej, a w pokoju przez dwóch lekarzy, prócz stałej asysty Stankiewicza, który nie odchodził od jego łóżka. Było już po operacji. Lekarze zastosowali wszystko, czym dysponował szpital. Życie kołatało w Czertwanie tak słabo, że chwilami wydawało się - koniec. I tylko Stankiewicz, który najlepiej znał organizm swego przyjaciela, nie tracił nadziei.

Szczęsny zajrzał ostrożnie do separatki i zaraz wycofał się, skarcony wzrokiem pielęgniarki. Na korytarzu poczekał, aż któryś z lekarzy wyjdzie, podszedł, przedstawił się i spytał o stan chorego.

- Powiem panu po prostu tak - odparł chirurg. - Jeżeli wytrzyma przez najbliższe dwa, trzy dni, to będzie żył. Dziś w nocy spodziewam się

kryzysu. On ma, na szczęście, mocny organizm. Ale rana była bardzo głęboka i stracił wiele krwi.

- Czy odzyskał przytomność? Lekarz spojrział na niego surowo.

- W każdym razie nie na tyle, aby z panem rozmawiać - powiedział nieuprzejmie. Potem zreflektował się i dodał: - Rozumiem, że milicji chodzi o to, czy rozpoznał napastnika. Niestety, na razie ma tylko prześliski przytomności i rozmowa jest wykluczona.

- Wie, gdzie jest i co się stało?

- Chyba tak. To znaczy wie, że jest w szpitalu. Ale nie sędzę, żeby orientował się, co zaszło. I nie trzeba. Jeżeli zapyta, powiem mu, że miał operowany wyrostek.

Szczęśny uśmiechnął się z sympatią do srogiego chirurga, który wpakował ręce w kieszenie białego kitla i patrzył na niego z wysokości swoich prawie dwu metrów.

- To dobrze - rzekł. - Niech pan go oszczędza, doktorze. Miał kupę zmartwień w ostatnich miesiącach. Cios nożem to ich zakończenie... mam nadzieję.

- Robimy, co jest w naszej mocy. I od was oczekujemy tego samego.

Było to niedwuznaczne upomnienie się o wykrycie zbrodniarza i Szczęśny zmieszał się lekko, gdyż czuł się winny. Wychodząc ze szpitala, myślał, iż zaniedbał niejednej rzeczy, która być może przeszkodziłaby w napaści. Zasepiony i zły, stał na przystanku autobusowym, kiedy ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się, poznał doktora Stankiewicza.

- Kolega powiedział mi, że rozmawialiście na korytarzu, i dlatego wybiegłem za panem - powiedział, trochę zadyszany. - Mam wrażenie, że powinienem panu o czymś... ale nie tu. Chodźmy do najbliższej kawiarni.



Usiedli przy stoliku, lekarz zamówił dwie kawy i po kieliszku koniaku. Potem zwrócił się do kapitana, pochylił głowę i spytał półgłosem:

- Czy Zbyszek wspominał panu o tym wydarzeniu u ministra?

- U ministra? Nie - odrzekł Szczęsny ze zdziwieniem. - A co tam zaszło?

Stankiewicz powtórzył dokładnie wszystko, czego dowiedział się od swego przyjaciela podczas ostatniej wizyty. Kapitan słuchał ze zmarszczonymi brwiami. W pewnym momencie wybuchnął:

- Jasna cholera! Dlaczego on mi tego nie powiedział? Przecież to niezwykle ważna wiadomość.

- Nie powiedział bo się wstydził. Wielu z nas tak samo by zrobiło na jego miejscu. Ostatecznie, ten domek z próbek i to pudełko z niedopałkami. To o czymś świadczy.

- Ależ... chyba Czertwan nie przypuszczał, że to on sam ustawił domek i zamienił pudełko?! - wykrzyknął Szczęsny.

- Owszem. Tak właśnie myślał. I przyznam się panu, że w pierwszej chwili ja też tak myślałem. Wie pan, dyrektorskie przepracowanie, rozkojarzony system nerwowy, luki w pamięci, et cetera... Zaraz, jak pan powiedział? Że ktoś zamienił pudełko?

- To przecież jasne! Ktoś musiał to zrobić. W stosownej chwili zamienił pudełko z próbkami na pełne popiołu i niedopałków. A potem ustawił ten idiotyczny domek.

- Zbyszek nie dopuszczał możliwości zamiany. Twierdził, że nie było żadnej okazji ku temu.

- To się jeszcze okaże - odparł Szczęsny stanowczo.

## Rozdział 8

Z dworca do miasta było półtora kilometra szeroką szosą, ocienioną starymi jesionami. Chyba jeździł tamtędy autobus, ale Szczęsny nie poszukał go, postanowił się przejść. Ranek był ciepły, z pól dolatywał zapach świeżo zoranej ziemi i uwiędłych ziemniaczanych łętów. Pomyślał, że bardzo dawno nie był na wsi. Zachciało mu się pojechać na urlop gdzieś na zapadłą, ukrytą przed ludźmi wioskę, łowić ryby w sennym strumieniu, leżeć na trawie z przymkniętymi oczami, absolutnie bezmyślnie i nieruchomo. Taki swoisty, wymarzony przez mieszczucha relaks, który rzadko kiedy sprawdza się w praktyce.

Łokiewice, jak przedtem się dowiedział, liczyły sobie ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Spalone w czasie frontu prawie doszczętnie, odbudowywały się powoli, ale zasobnie, nowocześnie. Co go uderzyło, kiedy zbliżał się do miasta, to białość domów, od czystej bieli poprzez kolor śmietanki aż do kremowych barw, wszystko przy tym gęsto przetykane zielenią drzew i krzewów.

„Ładne” - pomyślał, wchodząc między te domy i drzewa. Wiedział, że Komenda Powiatowa mieści się przy rynku. Postanowił nikogo nie pytać o drogę. Było zresztą wcześniej i komendanta mógł jeszcze nie zastać. Przy jednej z ulic napotkał otwartą kawiarenkę. Poczul, że jest głodny, wszedł i zajął miejsce przy stoliku pod oknem. Po chwili zza bufetu wyjrzał niski, gruby człowieczek w białym fartuchu.

- Pan sobie życzy? - spytał basem.

- Chciałbym zjeść śniadanie - odparł kapitan. - Co można dostać u pana?

- Wszystko.

- Naprawdę?

- Powiedzmy, prawie wszystko. Co podać?

- Kawę... prawdziwą, oczywiście. Bułki, masło, jajecznicę z dwóch, może być na boczku?

- Może być. Mleko do kawy?

- Prawdziwe? - rzucił, ciekaw, co tamten odpowie. Ale grubas nawet nie mrugnął okiem i odrzekł obojętnie:

- Prawdziwe. Podać? - Proszę.

Po dziesięciu minutach przyniósł na tacy dobrze zaparzoną kawę, mleko w kolorowym dzbanuszkach, jajecznicę z boczkiem, skwierczącą jeszcze na patelni, kilka bułek i masło. Ułożył to wszystko na stoliku, podłożywszy błyskawicznie białą serwetę. Ruchy miał zręczne, szybkie, twarz skupioną.

Szczesny spodziewał się normalnych w takich przypadkach pytań: a pan skąd, a czy na długo i tak dalej. Ale człowieczek mówiący basem o nic nie zapytał, podał i znikł za bufetem. Dopiero kiedy kapitan zjadł i skończył kawę, wyłonił się zza lady, oparł na niej łokcie i rzekł:

- Co jeszcze, to pan sam powie. Ale mam dobre piwo. Radeberger.

- Nie, dziękuję. Nie lubię piwa.

- Wolno panu nie lubić. Czternaście pięćdziesiąt.

Ponieważ powiedział to jednym tchem, Szczesny dopiero po chwili zorientował się, że chodzi o rachunek. Wyjął więc portfel, spojrzął na zegarek. Było wpół do ósmej. Jeszcze za wcześnie na pójście do komendy. Zapłacił i nagle odczuł chęć porozmawiania z oryginalnym człowieczkiem.

- To miejska kawiarnia? - spytał, chowając resztę.

- Moja.

- Długo pan ją ma?

- Od początku. Dwa razy byłem na wylocie. Wie pan, jak im politycznie nie pasowało, że prywatna. Przetrwałem i jestem.

Zabrzmiało to niemal historycznie i Szczęsny popatrzał na człowieczka z rozbawieniem. Mimo wszystko, było w nim jakieś odbicie burz dziejowych, choć w mikroskopijnych wymiarach.

- Jest pan oczywiście stałym mieszkańcem Łokiewic, prawda?

- Trzy pokolenia. Dziadek sprowadził tu się prosto z Mogiły.

- Z czego? - zaniepokoił się kapitan.

- Z wioski Mogiła, pod Krakowem. Mój ojciec miał sklep spożywczy, do wojny. A ja trzymam ten interes - pokazał ręką dokoła. Wyszedł zza lady, zbliżył się do stolika i spytał: - Można się przysiąc?

- Naturalnie - odparł Szczęsny, któremu właśnie o to chodziło.

- To pan pozwoli, że sobie wezmę piwo. Może jeszcze kawy?

- Chętnie.

Sącząc powoli złocistego Kadebergera, grubas zaczął mówić nie pytany:

- Urodziłem się w tym mieście, szkołę skończyłem, ożeniłem się i owdowiałem, wojnę w nim przeszedłem, na krok się stąd nie ruszyłem, chociaż nie było łatwo, bo Niemcy gnali na roboty. Teraz mam już pod sześćdziesiątkę i nie ma komu kawiarni zostawić, bo córka z mężem w Katowicach, a syn, lekarz, w szpitalu pracuje i fachu przecież nie zmieni. No, to jak umrę, miasto lokal zabierze i po krzyku.

- To pan tu chyba wszystkich zna.

- A znam, panie. Rano tutaj pusto, ale później ruch się zaczyna, a po południu pełno. Szafę mam grającą, to się schodzą.

- Z dawnych mieszkańców też pan wielu pamięta? Grubas spojrzął na niego bystro.

- Pan z tym przyjechał, prawda? - A kiedy Szczęśny nie odpowiedział, dodał: - Może tajemnica, ja nie ciekawy. Ale jak o ludzi chodzi, to nikt ich tutaj tak dobrze nie zna, jak stary Grzelak. To znaczy, ja. Więc niech pan pyta.

- Czertwana pan znał?

- Całą rodzinę. Tylko że dzisiaj to tylko dwoje z niej pozostało, Zbigniew i Helena, rodzeństwo. Ale tu ich nie ma. Zbyszek został inżynierem, podobno nawet dyrektorem, i mieszka w Warszawie. Wiem, że się ożenił i owdowiał, jak ja. Czy nie ma drugiej żony, tego już nie wiem. A Hela, śliczna była dziewczyna, też teraz w Warszawie. Miała narzeczonego, partyzanta z lasu. Niemcy go rozstrzelali. Leży na tym wzgórzu pod miastem, tam jest cała ich mogiła. Dwa lata temu pomnik postawili, ci ze ZBoWiD-u. No, a Helena już za mąż nie wyszła. Starsza była od Zbyszka o parę lat, to teraz będzie miała z pięćdziesiąt.

- A Wygodzkiego?

- Wygodzkiego? - Grubas zamyślił się, potarł łyją głowę. - Jak mu na imię?

- Kazimierz.

- Stary?

- Nie. Czterdzieści kilka.

- On chyba stąd nie pochodzi. Byli tu i są jeszcze Wygodzcy, mieszkają w rynku, ale jemu jest Feliks i skończył osiemdziesiąt sześć lat.

Dzieci nie mieli. Bratanków też nie. A on ma tu mieszkać, ten Kazimierz”

- Nie, Nie tutaj. Niech mi pan jeszcze opowie coś o Czertwanach. O tym rodzeństwie.

Grzelak pociągnął łyk piwa, otarł usta.

- Co pan chce o nich wiedzieć? Jak byli dziećmi czy potem?

- Wszystko, co pan pamięta. Zwłaszcza o Zbigniewie.

- Tc było dziecko szczęścia. Od samego początku, od kołyski. Matka jak w obraz patrzyła. A śliczny był dzieciak, jak malowanie. Potem też wyrósł z niego chłop, jak się patrzy, taki, co to do tańca i do roboty. Zdolny bystry, ciekawy świata. Przewodzić lubił. Od mafego. W szkole to Czertwan zawsze był nad innymi. Nie, żeby najlepiej się uczył, bo choć zdolny, to i pały obrywał, jak mu się nie chciało przyłożyć do książki. Ale w szkole to on musiał innych sobie podporządkować. A jak się który buntował - nic nie pomogło, za łby się brali, nosy pokrwawili, zawsze Zbyszek był górą. Taki już z niego był przywódca.

- Pamięta pan jego szkolnych kolegów?

- No, nie wszystkich. Sporo poginęło w wojnie. Kiedy wybuchła, Czertwan miał chyba piętnaście lat. Czekaj pan... w tej klasie to był z nim Staszek Górski, mieszka gdzieś pod Wrocławiem. Był Skopiński, straszny chuligan, źle skończył, podobno jeszcze odsiadyje jakiś wielki wyrok. Był Stefan... ale on nie żyje. No i był Miszak, nie wiem, gdzie teraz jest. Z tym Miszakiem to Czertwan zawsze robił zgrywę. Chłopak był mały, chudy, taki niedojda. Co prawda potem wyrósł i trochę okrzepl, ale w szkole to sobie na nim dzieciaki używały. Wie pan, jak to bywa z takimi. Zresztą później też... Umilkł, machnął ręką.

- Co później?

- A, za dużo by mówić. Przyjdź pan jutro rano, to opowiem. Jak będzie pusto. Nie każdy z tego miasta powinien słyszeć.

Ostatnie słowa zabrzmiały trochę dziwnie i w Szczęsnym obudziła się ciekawość zawodowa. Na salę weszło jednak parę osób. Grzelak sprzątnął naczynia, za drugą kawę nie przyjął pieniędzy traktując to jako poczęstunek. Kapitan podziękował, gdyż nie wypadało się spierać. Pożegnali się i Szczęsny wyszedł z kawiarni.

Łatwo już teraz odnalazł budynek komendy. Pokazał milicjantowi legitymację służbową i dowiedział się, że komendant prowadzi odprawę, ale pewnie zaraz skończy.

Kiedy znalazł się już w jego gabinecie - komendant był stosunkowo młody, w stopniu kapitana - powiedział otwarcie, że chodzi mu o ułatwienie kontaktów z osobami, które mieszkają w Łokiewicach od wielu lat, znają stare rodziny i mogą o nich - a także zechcą - to i owo powiedzieć.

- Ja jestem stąd - rzekł komendant. - Urodziłem się w Łokiewicach, rodzice jeszcze żyją. Mogę was zaprowadzić do domu, to będzie najwygodniej. Zwłaszcza ojciec mój pamięta mnóstwo ludzi. Poza tym Antoni Grzelak, właściciel kawiarni.

- Tego już poznałem, byłem u niego na śniadaniu.

- To chodźcie, pójdziemy do moich starych. Zostawię was tam, bo mam robotę w komendzie.

Franeccy, rodzice kapitana, mieszkali w małym, parterowym domu, widać niedawno odnowionym, bo świecił w słońcu jasnymi ścianami i świeżą farbą okien. Weszli do sieni, a stamtąd do dużego pokoju, który spełniał chyba rolę jadalni i gościnnego, bo stał w nim długi stół, sześć

krzesel, ciemnobrunatny brzuchaty kredens i komoda, a także mnóstwo roślin ozdobnych.

Stary Franecki, rumiany na twarzy okolonej siwymi włosami, usłyszawszy, z czym przyszli, uśmiechnął się z zadowoleniem. Jak wielu starszych mężczyzn lubił ploteczki, historyjki, anegdoty, w równym stopniu jak i skandale towarzyskie, których nie braknie nawet w małym miasteczku. Spytał przede wszystkim, o jakie rodziny Szczęsnemu chodzi.

- O Czertwanów - odparł kapitan. - A także o Kazimierza Wygodzkiego.

- Takiego nie ma - rzekł Franecki stanowczo. - Wygodzcy z rynku to jedyni Wygodzcy w Łokiewicach. On ma na imię Feliks. Bezdzielni i bez krewnych. Kim jest ten Kazimierz?

- On tu nie mieszka, ale podobno stąd pochodzi.

- Wykluczone. Ja tu wszystkich znam. A Czertwanowie, owszem. Była cała rodzina, mieszkali na Piłsudskiego, teraz to się nazywa Partyzantów. Jerzy Czertwan z żoną Anną. Mieli dwoje dzieci, syna Zbigniewa i córkę Helenę, trochę starszą. Jerzy zmarł w czasie okupacji. Anna krótko po nim. Młodzi... no, teraz już mają po czterdzieście, mieszkają w Warszawie. On jest chyba dyrektorem jakiejś fabryki. Jeżeli pan z Warszawy, to nic prostszego, jak tam się o nich dowiedzieć.

- Ojciec, ale kapitana Szczęsnego interesuje przeszłość - wtrącił komendant, Już we drzwiach, bo wychodził. - Co jest teraz, to on wie. A chce wiedzieć, co było przedtem. I nie pytaj go po co, bo ci nie powie.

Franecki zmarszczył nos:

- Widzi pan, jak komenderuje! Milicjanta mam w domu, to muszę słuchać. - A spostrzegłszy się, że jego gość z tej samej branży, dodał



spiesznie: - Dobry to fach, ale ciężki. Napracuje się chłopak, nerwy starga, a łobuzy jak były, tak są.

- Zdolnego ma pan syna. W Warszawie cieszy się dobrą opinią - rzekł Szczęsny, który dowiedział się o tym w Komendzie Głównej.

- Naprawdę? - Franecki poczerwieniał z zadowolenia i zaczął sapać, a potem mruknął: - Jak ja poszedłem do partyzantów, to ten szczeniak żarcie nam do lasu nosił, nocami. Nic się nie bał. A strzelać umiał jak snajper. Sam się gdzieś nauczył. No, dobra. Więc o tych Czertwanach... Chłopaka - to jeszcze dziś mam w oczach, jak mi dwie szyby na przestrzał wybił z procy. Wyleciałem do ogródka, chciałem złać pasem. Skórzany, ciężki pas. A ten gówniarz stoi, nie ucieka. Ładny był, włosy takie gęste, ciemne, śniady na twarzy, zgrabny, prosty jak świeca. Mówię panu, żeby uciekał, tobym go może dogonił i złał. Ale że tak stał, zatrzymałem się i ja. A on mówi, że niechący, bo to miało iść wyżej, w komin. I że zapłaci za szyby. Nie wziąłbym od dzieciaka pieniędzy, więc mówię, żeby mi tu bogacza nie odgrywał. I wróciłem do domu. Na drugi dzień stary Czertwan przyniósł szyby i wprawił, bo znał tę robotę.

- A w szkole?

- W szkole to tam nie wiem. Jak wybuchła wojna, Zbyszek miał chyba z piętnaście lat. Coś w rok później rodzice wywieźli go z Łokiewic, bo się bali, żeby na roboty nie pojechał. No, to go straciłem z oczu na parę lat. Wojna się skończyła, Czertwanowie starzy pomarli, córka gdzieś do szkół się przeniosła. Dopiero za rok czy dwa, nie pamiętam, młody Czertwan przyjechał do Łokiewic. W mundurze porucznika, z orderami. Panie, jak szedł przez miasto, to wszystkie dziewczyny tylko nogami przebierały! A przecie nie brakło u nas chłopaków do rzeczy, ale on był ten

najlepszy. Zabawę urządził parę razy, w lokalu u Grzelaka, to mówię panu, ściany i sufit chodziły, jak tam śpiewali i tańczyli!

- Po co przyjechał do Łokiewic?

- Nie wiem. Ale pewnie po rzeczy, jakie zostały w mieszkaniu rodziców. Wiele tam ludzie rozkradli, bo przewaliło się tu przez miasto niemało szabrowników, złodziei i łobuzów. Trochę jednak miejscowi pozabierali i przechowali, żeby potem oddać rodzinie. Więc Zbyszek siedział tu przez dwa tygodnie, bo tyle mu dali w wojsku urlopu. Miszakowi dziewczynę odbił... było z tego powodu wiele szumu, bo Miszak miał się żenić, wszystko przygotował, mieszkanie, mebli nasprawdzał, nawet wesele podobno było uszykowane. Ale dziewczyna odmówiła.

- Co to za dziewczyna? Franecki uśmiechnął się pod wąsem”.

- Może pan ją obejrzyć. Ruda, z niebieskimi oczami. Pewnie, że już nie to samo, bo lata przeszły i z ślicznej panny zrobiła się kobieta pod czterdziestkę, ale jeszcze niczego. Mają warsztat kaletniczy. Nawet dobrze im się powodzi, niedawno kupili samochód.

- To w rezultacie jednak wyszła za Miszaka?

- Nie. Za żadnego z nich. Mówiłem, że zakochała się na śmierć i życie w Czertwanie, chociaż Miszak dał już na zapowiedzi. Ale to u niej poszło piorunem! Wystarczyło, że go zobaczyła, dwa dni przeszły albo trzy, i już koniec z Miszakiem. Tylko że Czertwan w głowie zawrócił, pobawił się i pojechał. Nawet tu w mieście niektórzy myśleli, że on wcale nie wiedział o tych zapowiedziach i o narzeczeństwie. Na mój rozum, musiał wiedzieć. Miszak to był jego kolega szkolny, widywali się w czasie tych dwóch tygodni. Zresztą, chyba i dziewczyna powiedziała. Dość, że

jak Czertwan pojechał, a z Miszakiem już było zerwane, ona zakręciła się dokoła innego człowieka, zamożnego, z willą i ogrodem, kaletnika z fachu, Więckowskiego. No i gdzieś za trzy miesiące pobrali się.

- Gdzie jest ten warsztat?

- Na Kościuszki, niedaleko drogerii. Łatwo pan znajdzie, bo Więckowskiego wszyscy znają.

- I co Miszak wtedy zrobił, jak mu Czertwan odbił narzeczoną?

- Najpierw to on nic nie wiedział, bo zwykle tak jest, że mąż czy narzeczony dowiaduje się ostatni. Oni się spotykali w hotelu, Czertwan tam mieszkał. Nie wiem, opłacił służbę czy jakoś sprytnie to urządził, ale prawie do jego wyjazdu ludzie tego nie zauważyli. Dopiero w ostatnich dniach, jak już ona wcale się nie kryła. No, ale kto miał o tym Miszakowi powiedzieć? Po prawdzie, to go tu nie lubiano. I może niejeden skrycie się podśmiewał i był zadowolony. Więc dopiero jak Czertwan wyjechał i podobno dziewczynie w ostatniej chwili powiedział, że nic z tego, ślubu nie będzie - ona Miszakowi wszystko wygarnęła. Ktoś tam słyszał, jak do niego czule przemawiała: a ty taki, owaki, brzydki, nudny, oferma, wolałam być kochanką Czertwana przez tydzień niż twoją żoną przez całe życie. Wie pan, jak to baby.

- A Miszak co?

- Pojechał za Czertwanem. Niektórzy mówili, że go chyba zabije. Bo miał broń. Nie wiem, czy go znalazł. Do wojska mógł nie trafić, w tych latach jednostki tak na jednym miejscu nie siedziały, zwłaszcza że Czertwan walczył wtedy z bandami UPA. Dość, że Miszak wrócił po paru tygodniach, zlikwidował wszystko, co miał, i wyjechał. Więcej go tu nikt nie widział.

Pani Franecka, która od paru minut przysłuchiwała się rozmowie, wtrąciła:

- Jakby pan jeszcze chciał coś się o Czertwanie dowiedzieć, niech pan pogada z nauczycielem Lateckim. Mieszka w rynku tam, gdzie sklep spożywczy, na drugim piętrze. Po południu niech pan idzie, bo teraz to Latecki w szkole.

Szczęśny podziękował za rozmowę, musiał przyrzec, że przyjdzie na obiad i przenocuje, jeżeli będzie chciał zostać w Łokiewicach. Potem wyszedł i skierował się w stronę ulicy Kościuszki. Przed drzwiami warsztatu zawahał się. Na nic mu przecież była rozmowa z Więckowskim, a nie wiedział, czy jego żona w ogóle zajmuje się wyrobem rękawiczek. Postanowił więc, że w razie jej nieobecności obejrzy kilka par, jako zwykły klient.

Po wejściu zobaczył, że warsztat połączony jest ze sprzedażą. To mu było na rękę. Po lewej stronie dwóch pracowników, pochylonych nad kawałkami skóry, wykrawało i szyło według rozłożonych wzorów. Po prawej, za ladą, stała szczupła kobieta z grzywą płomiennorudych, gęstych włosów, rozrzuconych nad czołem. „Ona” - pomyślał. Zbliżył się do lady.

Obrzuciła go ciekawym spojrzeniem i spytała:

- Jakie rękawiczki pan sobie życzy?

- Czy pani Więckowska? - odparł pytaniem. Uśmiechnęła się.

- Pan nietutejszy - powiedziała. - Mnie w Łokiewicach wszyscy znają.

Odwzajemnił uśmiechem. Była rzeczywiście bardzo ładna. W pociągłej, trochę trójkątnej twarzy świeciły mocnym blaskiem ogromne, ciemnobłękitne oczy. Harmonijny układ ust, matowa cera, lekko opalona,

ładny prosty nos, białe zęby - tworzyły niecodzienną całość, która obok tej kobiety nie pozwalała przejść obojętnie.

- Jestem z Warszawy - odrzekł i dostrzegł żywszy błysk w oczach, więc dodał szybko: - Przyjechałem do pani.

- Do mnie? - zdumiała się. - Przecież ja pana nie znam.

- Ale ja panią znam. W każdym razie ze słyszenia. Czy mogłaby pani wyjść ze mną gdzieś do kawiarni, powiedzmy na godzinkę?

Przyglądała mu się przez chwilę, jakby rozważając w myślach propozycję. Widać było, że uroda Szczęsnego zrobiła na niej pewne wrażenie.

- Owszem - odparła z ociąganiem. - Gdyby pan mi się przedstawił.

- Zrobię to - zapewnił ją nie spieszony. - Jak tylko siądziemy przy stoliku. Wolałbym jednak, aby nie była to kawiarnia pana Grzelaka.

- O, to pan już trochę poznał nasze miasto - stwierdziła lekko. - Dobrze, ja też wolę nie u Grzelaka. Zresztą tam zwykle pełno. Pójdziemy wobec tego do „Błękitnej”.

- Jak pani oczy - szepnął, bo dostrzegł kątem oka, że dwaj kaletnicy przysłuchują się ich rozmowie z płonącymi uszami.

Przełknęła tani komplement bez słowa. Zamknęła na klucz szuflady, rozejrzała się bacznie dokoła, a potem rzuciła w stronę pracowników:

- Gdyby ktoś pytał, wróć za godzinę.

- Dobrze, proszę pani - odparł jeden z nich. I wymienił z kolegą porozumiewawcze spojrzenie, a tamten obejrzał sobie kapitana od góry do dołu, jakby chciał ten rysopis zapamiętać dla starego szefa, którego piękna żona idzie na randkę z obcym facetem.

Kawiarnia „Błękitna” była niedaleko. Usiedli w głębi sali, kelnerka

przyniosła dwie kawy i dwa kieliszki koniaku, strzygąc oczami w stronę Szczęsnego. Pewnie byłaby rada słyszeć rozmowę, ale nie miała żadnego pretekstu, aby znajdować się w pobliżu, więc poirytowana odeszła powoli do bufetowej. Obie pochyliły się ku sobie i coś szeptały, zerkając od czasu do czasu w stronę niecodziennych gości.

Szczęśny zastanawiał się od paru chwil, jak rozpocząć tę rozmowę, na którą w gruncie rzeczy nie był przygotowany. Ale Więckowska zaczęła pierwsza.

- Więc kim pan jest? - spytała, nabierając cukier z podsuniętej jej cukierniczki.

- Jestem przyjacielem Zbyszka Czertwana - odparł po prostu.

Zaróżowiła się, zmarszczyła brwi. Była wyraźnie zaskoczona. Tak zaskoczona, że nawet nie zauważyła, iż nie wymienił swego nazwiska.

- On pana przysłał? Po co?

- On jest umierający.

Ręka, którą trzymała łyżeczkę, zamarła w powietrzu. Dostrzegł, że twarz jej blednie, a oczy rozszerzają się - bólem? strachem?

- Co się stało? - wyszeptała. - Co mu jest?

- Pani go jeszcze kocha - stwierdził.

- Co mu się stało? - szarpnęła go za rękaw. - Niechże pan mówi!

- Powiem pani. Później. Ale musi mi pani pomóc.

- W czym? Mam do niego jechać?... On... chce?

- Nie. Może by i chciał, ale nie odzyskał jeszcze przytomności, więc nie o to chodzi.

- A o co? Jak mam mu pomóc? Może... - zawahała się - może mu trzeba pieniędzy?

- Nie. Ma wszystko, co mu potrzeba, jest w szpitalu. Mam nadzieję, że utrzymają go przy życiu.

- To był wypadek samochodowy?

- Chwileczkę. Najpierw proszę mi odpowiadać na moje pytania. Na tym będzie polegać pani pomoc. A zaznaczam, że może być ogromna.

- Słucham pana. - Sięgnęła po kieliszek, rozlała trochę koniaku na szkło stolika, wypła jednym haustem, jak wódkę..

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak to było z pani narzeczeństwem, przyjazdem Zbyszka do Łokiewic w czterdziestym siódmym czy ósmym i pani zerwaniem z Miszakiem.

Podniosła na niego oczy zdziwione, a nawet lekko urażone.

- Panie, to nie ma nic wspólnego...

- Właśnie chcę się o tym przekonać - przerwał jej. - Bo może ma. Więc proszę mówić.

Sugestywny ton i wpijające się w nią czarne oczy Szczęsnego podziały. Więckowska ścisnęła palcami skronie, jakby skupiając myśli. Po chwili zaczęła mówić.

- Znałam ich obu. Obaj są ode mnie starsi, więc przed wojną nie było mowy o żadnej bliższej znajomości, bo chłopcy w tym wieku traktowali z pogardą małe dziewczynki. Chodziliśmy do tej samej szkoły, oczywiście oni byli o wiele wyżej. Kiedy wybuchła wojna, oni mieli po piętnaście, ja zaledwie dziesięć. Zbyszka rodzice wysłali w czterdziestym pierwszym do gajówki, tam mieszkał jego stryj. Adam zos...

- Jaki Adam?

- No, Miszak. Więc Adam został w mieście. Jakoś udało mu się uchronić przed wywózką na roboty. Handlował, czym się dało. Jeździł na

wieś” przywoził rąbankę, masło, wie pan, jak to wtedy było. Nigdy go nie złapali, umiał sobie to jakoś zorganizować. Niektórzy ludzie mieli mu nawet za złe, że w tych czasach tak się dorobił, ale to było tylko z zazdrości. Co to komu szkodziło, że ma forszę? No, więc tak szło do końca wojny. Potem, Adam miał już wprawę w handlu, więc... - zawahała się, umilkła.

- Pewnie szabrował, co? - pomógł jej, uśmiechając się.

- No, trochę. Założył sklep, potem warsztat naprawczy, metalowy. Bardzo dobrze mu szło. Umiał się zakreślić w tamtych czasach, umiał podejść do władzy i do zwykłych ludzi. Adam jest życiowo mądry, potrafi zarobić. W tym czasie... no, starał się o mnie. Podobał mi się jego spryt, energia. Zgodziłam się. Byliśmy zaręczeni. Ale właściwie co to pana obchodzi? - zreflektowała się nagle.

- Obchodzi. Powtarzam, że ma to związek ze Zbyszkiem i jeżeli mu pani dobrze życzy, proszę mówić dalej.

- No i - podjęła niechętnie - miałam wyjść za niego. Wtedy nagle przyjechał Czertwan. Był w wojsku. Zobaczyłam go w mundurze. Zrozumiałam, że Adama nie kocham, że to wszystko omyłka... Krótko mówiąc, zerwałam z Miszakiem.

- Jeszcze w czasie bytności Zbyszka?

- Nie. Po jego wyjeździe. Przedtem bałam się. Adam jest porywczy, zresztą on go zawsze nie lubił.

- Nie lubił? Przecież to byli koledzy.

- To co z tego? On mu zawsze zazdrościł. Wszystkiego. Że Zbyszek jest od niego ładniejszy, zdolniejszy, że wszyscy go słuchają.

- Widywali się, kiedy Czertwan przyjechał?



- Dwa albo trzy razy. Jak powiedziałam Zbyszkowi, że jestem z Adamem zaręczona, to już go zaczął unikać. Nie, żeby się bał, ale mówił: „wiesz, jestem w wojsku i nie mogę się narażać na awantury”. No, i wyjechał. A ja zerwałam z Adamem.

- Jak to przyjął?

Wzdrygnęła się. Jeszcze teraz widać pamiętała tamte dni.

- Okropnie! On mnie naprawdę kochał. Krzyczał, że nienawidzi Zbyszka, że go zabije. Nawet gdzieś wyjechał. Bałam się, że zrobi to, co mówił. Potem wrócił, ale nie spotkaliśmy się już więcej. Wyjechał na dobre z Łokiewic..

- I gdzie jest?

- Nie wiem. Nie widziałam go od tej pory.

- A pani wyszła za Więckowskiego - powiedział z odrobiną wyrzutu, choć przecież nic go to nie obchodziło.

Westchnęła cicho, jakby z żalem.

- Bałam się - wyznała cicho. - Bałam się Miszaka. Że wróci kiedyś i zabije mnie.

Milczeli chwilę. Kelnerka spoglądała w ich stronę, zdziwiona tak cichą rozmową.

- W czym mogę pomóc Zbyszkowi? - spytała Więckowska, odgarniając z czoła pasma rudych, lśniących włosów.

- Już mu pani pomogła - mruknął. - Jak pani sądzi, kto w mieście wiedziałby, gdzie jest Miszak?

- Gdyby ktoś wiedział, toby mi doniósł. Na pewno. Choćby z ciekawości, co ja powiem, jak zareaguję. Wie pan, jacy są ludzie.

- I jeszcze jedno: czy ma pani może zdjęcie Miszaka?

- Nie. Żadnego.

Odprowadził ją przed warsztat, przy pożegnaniu bąknął jakieś nazwisko. W pamięci została mu szczupła, blada twarz i ogromne, błękitne oczy, smutne, pełne żalu.

W komendzie poprosił Franeckiego o skontaktowanie go z Warszawą. Kapitan połączył się specjalnym kablem z Pałacem Mostowskich, oddał Szczęsnemu słuchawkę i taktownie wyszedł z gabinetu. Przy telefonie był Daniłowicz. Wysłuchał zwięzłej relacji z pierwszego dnia pobytu Szczęsnego w Łokiewicach i obiecał uzyskać odpowiedź na takie pytania: po pierwsze - czy Kazimierz Wygodzki zmieniał po wojnie nazwisko, a jeżeli tak, to jak brzmiało poprzednie. Po drugie - czy w Warszawie znajduje się Adam Miszak, rodem z Łokiewic, w wieku czterdziestu paru lat, gdzie mieszka, czym się zajmuje. Zdjęcia na razie nie ma, ale być może będzie. Po trzecie - curriculum vitae doktora Adama Sechny, skąd pochodzi, od kiedy mieszka w stolicy, a także: czy nie zmieniał nazwiska.

- Aha - jeszcze przypomniał sobie Szczęsny. - Gdybyś jakimś cudem zdobył zdjęcia Wygodzkiego i Sechny, a także Miszaka, jeżeli go znajdą, przyślij mi przez któregoś z chłopaków.

- Ze zdjęciami będzie trochę trudniej - odparł major. - Nie tyle zresztą trudniej, ile dłużej to może potrwać. Czy potrzebne ci dane personalne Wygodzkiego prócz wiadomości o nazwisku?

- Tak, oczywiście. Stefan, a gdyby chłopcy natrafili na Miszaka, niech go nie spuszczają z oka. W razie czego niech go zatrzymają pod byle pretekstem, a wtedy daj mi znać.

- Myślisz, że Wygodzki to Miszak? Nie masz jego rysopisu?

- Mam. Tyle, co nic. Od dwudziestu paru lat nikt go tutaj nie widział. Średniego wzrostu, szczupły, oczy jasne, nie wiadomo: szare czy niebieskie. Wtedy nie miał żadnych cech charakterystycznych, które rzucają się w oczy. Włosy wówczas blond. Dziś mogą być na przykład siwe. Może też wcale ich nie być. Jak u ciebie.

- Zleż ze mnie. Długo masz zamiar tam siedzieć?

- Nie wiem. Dwa, trzy dni. A może dziś wyjadę. Franecki zawiadomi cię w razie czego.

- Kto to jest Franecki?

- Komendant tutejszy.

- No, dobrze. Trzymaj się, stary.

- Słuchaj, a czy są jakieś wiadomości?...

- Żadnych. Prócz tej, że ma się odrobinę lepiej.

- Byłeś tam?

- Tak. Ale jeszcze nic.

Pod wieczór Szczęsny zaszedł do nauczyciela Lateckiego. Sądził przede wszystkim, że być może znajdzie u niego jakieś zdjęcie Miszaka, choćby z dawnych lat.

Latecki przyjął gościa życzliwie, poczęstował kawą, a po kilku wstępnych, ostrożnych pytaniach, rozgadał się. Szczęsny przedstawił mu się, jako znajomy kapitana Franeckiego i przyjaciel Czertwana. Nie wspominając o tragicznym wydarzeniu, przekazał serdeczne pozdrowienia od Zbigniewa dla jego dawnego nauczyciela. Tak wzięty za serce, Latecki wzruszył się trochę, nawet pociągnął parę razy nosem, a widząc, że gość okazuje żywe zainteresowanie dla przeszłości, zaczął opowiadać.

Było w tym opowiadaniu, zwłaszcza na początku, to samo co

Szczęśny już słyszał od innych. W miarę jednak, jak nauczyciel mówił, niektóre z wydarzeń, a przede wszystkim sylwetki osób, zaczęły się zarysowywać nieco inaczej.

- Właściwie, to w szkole mało kto go lubił, tego Adama. Ja sam, przyznam się panu, choć starałem się, jak mogłem, żeby mu tego nie okazywać, nie potrafiłem znaleźć dla niego takiej samej serdeczności i życzliwości, jak dla innych. Miszak chyba to wyczuwał. Miał kompleks niższości, od dziecka. Uważał, że jest o wiele gorszy, brzydszy, - mniej zdolny. Może dlatego z ogromną zazdrością - patrzył na dzieci, które były ładne, miłe, wesołe i otoczone sympatią otoczenia. On czuł się zawsze jakby na bocznym torze.

- Lubili się z Czertwanem?

- Nie! Miszak go nie znosił. Zbyszek był przywódcą klasy, zresztą zarówno w zabawie, jak i w wagarach i psotach, ale tacy właśnie są przez kolegów najbardziej lubiani. Wszystko im się udaje, zawsze są górą. Miszak nigdy nie był górą, a im bardziej to odczuwał, tym bardziej odsuwał się od innych. Z kolei wszyscy przestali go lubić. A przecież nie był głupi. I nie był bez serca. Może my, nauczyciele, powinniśmy byli lepiej się nim zająć. Ale nas było mało, dzieci dużo. Brakło czasu na zajmowanie się jednostką.

- W czasie wojny Miszak podobno handlował? Latecki skrzywił się, zapalił papierosa.

- Tak. Zrobił się z niego sprytny, zawzięty handlarz, chociaż miał wtedy siedemnaście, osiemnaście lat. Umiał się targować zaciekle, nawet ze mną... Dziś sobie myślę, że być może odgrywał się wtedy za tamte lata. Bo to on był górą, kiedy do wygłodzonego miasteczka przywoził ze wsi

masło czy mięso. On dyktował ceny, on wybierał odbiorców, komu nie chciał, to nie sprzedał. Ludzie sarkali na niego, ale prawdę mówiąc, to trochę się go bali.

- Dlaczego?

- No, wie pan... Tak mu się wszystko dziwnie udawało z tym handlem, że niektórzy posądzali go o konszachty z Niemcami. To chyba była nieprawda. Ja bym coś wiedział, bo byłem w organizacji. Nie stwierdziliśmy tego.

- A co było po wojnie?

- Miszak dorobił się niezłego grosza na tym handlu. Założył sklep i warsztat. Znowu był koło niego jakiś taki „swąd”, że kombinuje. Bo ja wiem, chyba i to nie było prawdą. Potem zaręczył się z tą małą, jakże jej było... Ireną. Wszyscy się po cichu dziwili, że taka śliczna dziewczyna zakochała się w takim nie lubianym i niezbyt ładnym człowieku. Mówili, że to dla pieniędzy. Bo on rzeczywiście miał grubą forszę. Znałem Irenkę jeszcze ze szkoły.

Jak tak sobie przypominam jej rodziców i całe otoczenie, to myślę; że po prostu namówili ją do tego małżeństwa. Że zrobi dobrą partię, bo chłop bogaty. No, a potem przyjechał Czertwan i...

Latecki urwał, spojrzął na Szczęsnego.

- Ja znam tę sprawę, niech pan się nie krępuje. Niech pan mówi. Przecież to stare dzieje - uśmiechnął się kapitan.

- Bo widzi par?, Zbyszek postąpił bardzo brzydko. Nawet mu to powiedziałem, jak odjeżdżał. Ale on już wtedy był przyzwyczajony, że, jak to mówią, żadna mu się nie oprze. I teraz, niech pan tak pomyśli: z jednej strony - Zbyszek, w oficerskim mundurze, z orderami, wysoki, przystojny,

kobieciarz... a umiał on z babami, jak mało który. Otoczony nimbem partyzanckich i wojennych laurów, bohater. A z drugiej - ten niepozorny, brzydki Miszak, handlarz, szorstki w obejściu, liczący każdy grosz. Tutaj nawet bogactwo nie pomogło. Dziewczyna zakochała się na umór. A nasz bohater poromansował i pojechał. No i dramat. Resztę pan już zna.

- Tak. Nie wie pan, co się w rezultacie stało z Miszakiem?

- Nie. Dawniej mówił, że chciałby być lekarzem. Może i jest, chociaż wątpię.

- Czy ma pan jego zdjęcie?

- Miszaka? Nie. Chyba zbiorowe, ze szkolnych lat. Wstał, podreptał do szafy, wyciągnął z niej duże tekturowe pudło, przyniósł i postawił na stole.

- Tutaj są moje młode lata - roześmiał się. - Jak mi smutno, to grzebię w tych zdjęciach, przypominam sobie uczniów, kolegów. Z niektórymi mam jeszcze kontakt listowny.

Wyrzucił fotografie na stół, poszukał, znalazł jedno i podał Szczęsnemu.

- O, to jest czwarta B. Ma pan, tu stoi Zbyszek Czertwan, ten wysoki, z taką czupryną. A ten z boku, to Miszak. Wiele pan tu nie dojrzy.

Kapitan długo, uważnie przypatrywał się maleńkiej twarzy, zagubionej wśród kilkudziesięciu innych. Rzeczywiście, trudno było cokolwiek rozpoznać, zaledwie słaby zarys nosa, ust, jasne włosy.

- Nie ma pan innego? Trochę większego?

Latecki długo grzebał wśród fotografii, ale nie znalazł. Na prośbę Szczęsnego zgodził się odstąpić mu zdjęcie, zresztą kapitan obiecał, że w Warszawie zrobi negatyw „dla Zbyszka na pamiątkę” i odeśle.

- Jak pan myśli - spytał Szczęsny żegnając się - czy ktoś w Łokiewicach wiedziałby, gdzie jest Miszak?

Nauczyciel spojrział na niego podejrzliwie.

- A właściwie na co to panu?

- Chciałbym z nim się skontaktować - odparł wymijająco.

- Nie wiem. Może ktoś wie... ja nie. Z jego rodziny nie ma tu już nikogo. Chyba jacyś dalecy krewni. Ale ja ich nie znam.

Wieczorem Szczęsny, mimo szczerych zaprosin Franeckich, aby przenocował, wsiadł do pociągu i po paru godzinach znalazł się z powrotem w Warszawie.

W mieszkaniu, nie mogąc jakoś zasnąć, rozważał to wszystko, czego się dowiedział, i doszedł do wniosku, że podróż do Łokiewic była bardzo potrzebna. Znalazł tam człowieka - ściślej ślad po człowieku - który miał wiele powodów, aby mścić się na Czertwanie. Rzecz w tym, aby go znaleźć.

Szczęsny był niemal pewien, że Miszak znajduje się w Warszawie. Trzeba go tylko odszukać, zobaczyć, dowiedzieć się, kim jest i co robi. Wówczas... Ba! Wówczas, być może, odnajdzie się sprawca próby zabójstwa. A także, co jest zupełnie możliwe, człowiek, który dokonał napadu - albo też sprowokował go - na Basię. Człowiek ten, myślał dalej Szczęsny, najprawdopodobniej znajduje się w pobliżu Czertwana. A więc, na przykład w „Poksydzie”. Wskazuje na to zamiana pudełek z próbkami. Trzeba posłać do Zakładu Kryminalistyki zdjęcie Wygodzkiego i tę starą, zbiorową fotografię. Niech porównają. Może znajdą podobieństwo.

## **Rozdział 9**

Porucznik Kręglewski wyjął notes, otworzył i zaczął mówić:

- Coś niecoś już wiemy. Najpierw doktor Adam Sechno...

- Nie, najpierw Wygodzki! - sprzeciwił się Szczęsny.

- Nie płacz mi, ja mam tak zapisane.

- Poczekaj. Wpierw dwa zasadnicze pytania. Co z Czertwanem?

- Bez zmian.

- Znaleźliście Miszaka?

- I tak, i nie. Jesteś zadowolony?

- Nie. Co to znaczy? Masz go czy nie? Kręglewski westchnął cierpliwie.

- Jakbyś mi nie przerywał, tobym ci wszystko po kolei...

- Nie chcę po kolei. Mów o Miszaku.

- Więc oczywiście najpierw szukałem w „Poksydzie”. Owszem, był tam bardzo niedawno jakiś Adam Miszak... zwracam ci uwagę, że wbrew mniemaniom jest to dość popularne nazwisko...

- Czyim mniemaniom?

- Twoim, sugerowałaś to. Był w „Poksydzie” niejaki Miszak, nie przerywaj mi, do cholery, wiek mógłby się zgadzać, bo gdzieś tak po czterdziestce, bliższych danych personalnych brak.

- Jak to: brak? W fabryce?

- Nie ma jego teczki. Po prostu, nie ma. I co zrobisz? Oni tam szukają, w kadrach, twierdzą, że to był niewykwalifikowany pracownik, sprzątał w pakowni i takie tam. Dla fabryki chemicznej żadna siła. Więc nie zwrócili uwagi. Pytałem innych pracowników, zwłaszcza w pakowni. Określili go jako milczka, odsuwającego się od ludzi, skrytego,



nieużytego, nigdy wódki nie postawił ani z innymi nie wypił. Średniego wzrostu, łysawy, szczupły, właściwie chudy. Nijaki. Są tacy, czasem pracują parę lat, a nikt ich bliżej nie zapamięta. Miszak - ten Miszak - pracował parę miesięcy. Zwolnił się nagle, potem się okazało, że znikła również teczka personalna.

- Zameldowany w Warszawie?

Kręglewski spojrział na Szczęsnego z politowaniem.

- Masz mnie za idiotę?... Ani na stałe, ani na okresowo, ani na żadne. Ani teraz, ani przedtem. Wyparował jak śnieg na piecu. Może boś w tym być, ale nie musi. Dzielnice są powiadomione, szukają dyskretnie. Na razie bez rezultatów. Gdybyśmy go mieli, tobym od tego zaczął. Więc teraz Sechno. Chciałem najpierw o nim, bo właśnie on zmienił nazwisko. Urodził się w Bruges, Belgia. Jego ojciec nazywał się Charles Beaulieu i był Belgiem, natomiast matka, Jadwiga Sechno, Polką. Adam Beaulieu do Polski przyjechał dopiero w pięćdziesiątym siódmym, już jako młody lekarz. Nikt ponoć nie mógł prawidłowo wymówić jego nazwiska, co go zirytowało tak bardzo, że zmienił je na Sechno. Oczywiście, legalnie.

- Sprawdziłeś?

Porucznik wzruszył ramionami, nie odpowiedział.

- Dobra, nie obrażaj się, mogłeś zapomnieć. I co dalej?

- Dalej już nic. Pan doktor zamieszkał w Warszawie, zaczął pracować. Zwyczajnie. Potem była ta sprawa o narkotyki, wiesz. Nic mu nie udowodniono, pozostał na dotychczasowym stanowisku. Mówili, że to ktoś umyślnie chciał mu podłożyć świnie.

- Żadnych powiązań z Łokiewicami, Czertwanem?

- Nie wiem. Za dużo chcesz, jak na jeden dzień. Teraz Wygodzki.

Nazwiska nie zmieniał, przynajmniej nie ma śladu. Urodził się w Gdańsku, skończył chemię...

- Jest chemikiem? - zdziwił się Szczęsny.

- Tak wynika z dokumentów, nie sprawdziłem jeszcze. Rozmawiałem z kolegami z Gdańska, obiecali, że się postarają czegoś dowiedzieć, ale to nie będzie proste. Wygodzki ma czterdzieści siedem lat, czyli że miał szesnaście w chwili wybuchu wojny. Jak teraz sprawdzić stare, pogubione akta? Nietrudno było sfalszować metrykę albo zdobyć cudzą i podszyć się. Masz zdjęcie Miszaka?

- Zawiozłem do Zakładu Kryminalistyki, razem ze zdjęciem Wygodzkiego. Ale pewnie nic z tego nie będzie, bo dostałem starą, zbiorową fotografię szkolną i na upartego to każdy z tych chłopaczków może być Wygodzkim, Czertwanem, nawet tobą.

- Mną nie. Ja jestem Warszawiak od pokoleń - powiedział Kręglewski z dumą. - Słuchaj, Miszak może oczywiście mieszkać bez meldowania. Mamy takich sporo. No, a jeżeli okaże się, że on i Wygodzki to ten sam człowiek?

Patrzyli na siebie chwilę, wreszcie Szczęsny rzekł w zamyśleniu:

- Trzeba by mu udowodnić te wszystkie... Ach, gdybym ja miał pewność! Już bym się wtedy dobrał mu do skóry. Szkoda, że od razu nie zabrałem z Łokiewic tej babki. Albo Lateckiego.

- Jakiej babki? - ożywił się mały porucznik.

- Ireny Więckowskiej. Kazek, nie chce mi się wierzyć, żeby Czertwan, nawet po dwudziestu paru latach, nie poznał szkolnego kolegi.

- A skąd ty wiesz, że nie poznał? Może to jest z jego strony coś w rodzaju rewanżu za to, że mu odbił dziewczynę.

- W jakim sensie rewanzu?

- No, w aktach nie ma zmiany nazwiska, więc Wygodzki musiałby to zrobić nielegalnie. A teraz wyobraź sobie taką sytuację. Wygodzki-Miszak przychodzi pewnego dnia do Czertwana i mówi: słuchaj, ty łobuzie, zabrałeś mi dziewczynę, rozbiłeś małżeństwo, zламаłeś mi życie...

- Streszczaj się - mruknął kapitan.

- Ty byś się nie streszczał, jakby cię tak kto urządził. Ale ty jesteś z takich, jak Czertwan, ciebie baby kochają. No, więc mówi mu ten Wygodzki: daj dobrą posadę i nie próbuj pisnąć, że noszę teraz inne nazwisko. I Czertwan zgadza się. Czy my zresztą wiemy, jakich argumentów tamten jeszcze użył? Czy ty do końca wiesz, co wtedy między nimi zaszło, tam, w Łokiewicach, w czasie tych dwóch tygodni? Może Wygodzki ma go w ręku?

Szczęśny słuchał ze zmarszczonymi brwiami, obracając w palcach długopis.

- A wiesz, że ty możesz mieć rację - powiedział. - Co ja tak naprawdę wiem o Czertwanie? O jego przeszłości. Tylko to, co mi powiedzieli starzy ludzie, w dodatku ani jego krewni, ani bliscy znajomi. Z wyjątkiem dziewczyny. Ale przecież uwierzyłem im wszystkim na słowo, że tak właśnie było.

- Połącz się z Franckim i poproś, żeby Więckowska przyjechała do Warszawy. Albo wsadź Wygodzkiego do samochodu i zawieź go do niej.

- Tego nie mogę zrobić. Może mnie oskarżyć o użycie przemocy bez żadnego powodu. Już lepiej zadzwonię do Łokiewic. Czekaj! Wpierw pomówię z siostrą Czertwana, panią Heleną. Ona musiała znać Miszaka.

Jednakże pani Helena Czertwan, ku wielkiemu rozczarowaniu

Szczęsnego, nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytanie. Nie znała w tamtych czasach kolegów szkolnych brata, była o kilka lat starszą, poważną dziewczyną, związaną - od początku wojny z partyzantką i lewicowym ruchem wolnościowym. Pewnie, że widywała tych chłopaczków w domu rodziców, ale nie zwracała na nich uwagi. Zaraz po wojnie, kiedy została sama, straciwszy i rodziców, i narzeczonego, przeniosła się wprawdzie do Krakowa, a potem do odbudowującej się stolicy.

Szczęśny podziękował za rozmowę i wysłał do Łokiewic jednego z pracowników, sierżanta Bielaka, zaopatrzywszy go w fotografię Wygodzkiego i, na wszelki wypadek, Sechny, a także list do komendanta Franeckiego. Nie chciał bowiem, żeby po raz drugi w tak krótkim czasie ktoś obcy zbierał informacje o Miszaku. Wolał więc, że pracownik Komendy Stołecznej poczeka, aż miejscowi funkcjonariusze to i owo się dowiedzą. Nie miał przecież żadnej pewności, czy ktoś w miasteczku nie kontaktuje się z Miszakiem i nie uprzedzi go, że Warszawa nagle nim się zainteresowała.

Centralne Biuro Adresowe dostarczyło kapitanowi następujących wiadomości: Adam Miszak z Łokiewic mieszkał w latach pięćdziesiątych kolejno w Poznaniu, Łodzi, Rzeszowie, Białymstoku. Potem ślad się urywał. W sześćdziesiątym drugim przez pół roku był zameldowany w Krakowie, stamtąd wymeldował się znowu do Rzeszowa, i to był ostatni meldunek, gdyż w Rzeszowie w ogóle nie pojawił się.

Poszły więc notatki służbowe do milicji we wszystkich wymienionych miastach z prośbą o dostarczenie wszelkich danych o Miszaku, najlepiej z fotografią i odciskami palców, jeżeli takowe były pobierane.

- Idziesz jak na pewniaka - zwrócił Szczęsnemu uwagę Daniłowicz. - A może to wcale nie Miszak jest winowajcą? Żebyś w tej robocie nie stracił z oczu innych ewentualnych przestępców. Co daje obserwacja Saszewskiego-Jemioły?

- Niewiele. Drobne transakcje handlowe na bazarze, ale nie narkotyki. Mam wrażenie, że facet orientuje się, iż jest obserwowany. Spłoszyliśmy go wtedy razem - z Kotowiczem. Andrzej Czertwan, jak wiesz, jest w zamkniętym Zakładzie Wychowawczym do czasu rozprawy. Dziś rano mówił mi doktor Stankiewicz, że Zbigniew Czertwan odzyskał przytomność, ale jest bardzo słaby. Mimo to mam nadzieję, że za kilka dni będzie można z nim porozmawiać. Stefan, sądzisz, że on kryje Wygodzkiego?

- Możliwe - przyznał major, którego zaciekała koncepcja porucznika Kręglewskiego. - Co odpowiedział Zakład Kryminalistyki?

- Twierdzą, że to nie jest ten sam człowiek. Zastrzegli się jednak, iż dostali bardzo słaby materiał porównawczy, wobec czego nie gwarantują. No i na dwoje babka wróżyła. Poczekajmy na powrót Staszka Bielaka z Łokiewic.

Bielak wrócił na drugi dzień. Pracownikom miejscowej milicji udało się porozmawiać i pokazać fotografię aż dziewięciu osobom, które kiedyś znały Miszaka. Rezultat tej swoistej ankiety był zdumiewający. Oto wszyscy na zdjęciu rozpoznali w Wygodzkim Miszaka. Wszyscy - z wyjątkiem Ireny Więckowskiej. Ta bowiem zaprzeczyła kategorycznie. A właśnie ona, sądził Szczęsny, znała go najlepiej spośród całej dziewiątki i jej zdanie powinno być decydujące.

Tak, ale być może istnieje przyczyna, dla której Więckowska nie

chce powiedzieć prawdy. Z tym trzeba było się liczyć i kapitan znowu znalazł się w tym samym punkcie wyjścia, co przed powrotem Bielaka z Łokiewic. A ponieważ nie nadeszła jeszcze odpowiedź z Gdańska, postanowił cierpliwie czekać na polepszenie, stanu zdrowia Czertwana.

- Widzisz, to może być tak - mówił do Daniłowicza. - Ci, którzy oglądali fotografię, to niemal wszystko ludzie starzy. Taki Franecki, Grzelak czy ten nauczyciel Latecki znali Miszaka jako chłopaka kilkunastoletniego. Inni widzieli go po raz ostatni dwadzieścia trzy, cztery lata temu. Wygodzki i Miszak mogą mieć po prostu podobną sylwetkę, kolor włosów, pewne podobieństwo w rysach twarzy. Po ćwierć wieku trudno czasami poznać z fotografii nawet człowieka, - którego znało się dość dobrze i długo. Wygodzki ma na tym zdjęciu przyciemnione okulary, a oczy są bardzo charakterystyczne do rozpoznania. Łomnicki robił zdjęcia z ukrycia, nie są więc najlepsze. Powinienem był postarać się o normalne legitymacyjne. Tylko że on nie w Warszawie wyrabiał sobie dowód osobisty, a w Gdańsku. Więc znowu trzeba czekać na odpowiedź stamtąd, bo już im kablowałem, że potrzebne nie tylko informacje, ale i zdjęcie. Stefan, może ja sobie z nim pogadam, co? Jak myślisz?

- Z Wygodzkim?

- Aha.

- Spytasz go: kochany panie, czy pan się przypadkiem nie nazywa Miszak? A jeżeli to on, to będziesz musiał go natychmiast zamknąć, bo ucieknie. Przedstaw mi rozsądny powód zamknięcia. Bo ja takiego nie znam. Przedstaw mi powód zatrzymania go, gdyby chciał wyjechać. Nawet za granicę. Jakikolwiek dowód, że ina coś na sumieniu. No?... Widzisz. Więc po co chcesz z nim rozmawiać? Prywatnie nie możesz, bo

on cię zna i prywatnie z tobą gadać nie będzie. Zwłaszcza, że go wprowadziłeś w błąd, mówiąc o śmierci jego dyrektora, który tymczasem żyje już cały tydzień. A. służbowo... miał czas, żeby sobie dokładnie obmyślić obronę. Oczywiście, jeżeli w ogóle jest winien.

- Dobrze - mruknął Szczęsny niechętnie, bo nie lubił nie mieć racji. - Poczekam na Gdańsk. I będę szukał Miszaka oddzielnie, nie w postaci Wygodzkiego. Wleżę w to towarzystwo. Nie ma innego wyjścia. Tam, w każdym razie, kryje się handlarz narkotyków, kimkolwiek jest.

\*

W pokoju był półmrok. Tylko w jednym kącie, na małym stoliku, paliła się lampa pod krwistoczerwonym abażurem, ledwie oświetlając sprzęty i ludzi. Twarze były w tym świetle pełne ekspresji, trochę niesamowite, białka oczu połyskiwały czerwono. Ludzie siedzieli lub leżeli na grubym dywanie. Od czasu do czasu ktoś podnosił się leniwie i sięgał po alkohol, pity szklankami, bo nie miało sensu męczyć się z kieliszkiem.

Szczęsny usadowił się pod ścianą na dywanie, kolana przyciągnął do siebie i splótł na nich ręce. Był przez milicyjnego eksperta ucharakteryzowany tak, że nie poznałby go nawet major Daniłowicz, zwłaszcza w tym oświetleniu. Miał bladą, niemal zielonkawą cerę, głębokie cienie pod oczami, zupełnie jasne brwi i rzęsy. Na lewym policzku rysowała się różowa, szeroka blizna, typowy ślad po cięciu nożem. Pośrodku czoła widniał mały znak, tylko dla wtajemniczonych hippiesów. Otwierał on drogę do świata opium, morfiny, wizji i przejściowego nieistnienia.

Ubrany był w długi, błękitny sweter, nałożony na gołe ciało, szeroki

skórzany pas z dyskretnym napisem: „*Eating people is wrong*”, spodnie z fioletowej flaneli, zakończone u dołu frędzlami z czarnej skóry. Szczytem dumy eksperta była wspaniała blond peruka; włosy spadały płową grzywą na czoło i na ramiona, były przy tym odpowiednio zmierzwiłone. Na lewej ręce, tuż nad kciukiem, Szczęsny nosił kutą miedzianą bransoletę, a na szyi złoty łańcuszek z małym płaskim medalem. Kiedy odsunął rękawy swetra, widać było na rękach liczne zastarzałe ślady po zastrzykach.

Człowiek, który wprowadził go w towarzystwo hippiesów-narkomanów najwyższej klasy, przebywał w nim już pół roku. Nosił pseudonim Mor, mieszkał albo w Krakowie, albo w paru innych miastach Polski, a do stolicy zaglądał dwa, trzy razy w miesiącu. Znał tu prawie wszystkich, był doceniany z jakichś bliżej nie wytłumaczonych względów, i nowy, przez niego przyprowadzony, liczył się jako swój. Nikt z całego towarzystwa, jak sądzili - świetnie zakonspirowanego, nigdy by nie uwierzył, że Mor w rzeczywistości jest prawnikiem i doświadczonym oficerem milicji.

Prócz nich w pokoju było trzech mężczyzn i dwie kobiety. Szczęsny wiedział, że w tym gronie nie znajdzie ani Jemioły, ani nikogo z tamtych. Było mu to na rękę, choć chroniła go charakteryzacja. Tamci zresztą byli rozszyfrowani na tyle, że każdej chwili można było do nich trafić.

- Nie masz żadnych danych na to, że Miszak, jeżeli w ogóle jest w Warszawie, należy do narkomanów i hippiesów - mówił major Daniłowicz. - Są to tylko twoje przypuszczenia, właściwie na niczym nie oparte.

Szczęsny przyznał mu rację, mimo to postanowił swój plan wprowadzić w życie. Myślał przy tym, że w każdym razie rozezna się



bliżej w tym środowisku i, być może, natrafi na ślad człowieka, który handluje narkotykami. Jemioła wciąż wyślizgiwał się z rąk. Zatrzymywano go z dziesięć razy, przeprowadzano rewizję w mieszkaniu. Ale Saszewski ciągle był czysty jak łąza, bezczelnie uśmiechnięty i grzeczny wobec funkcjonariuszy, gdyż wiedział, że najmniejsza awantura pozbawi go na dłuższy czas intratnego handlu.

Ktoś podał Szczęsnemu szklanekę z wódką. Wziął, poszukał oczami Mora, ten dawał ledwo dostrzegalny znak: nie pić. Zrozumiał, że do wódki domieszano - jakieś środki psychotropowe. Udał, że pije. Płyn niewidoczną w mroku strużką pociekł mu za szyję, pod wysoki kołnierz swetra. Oddał pustą szklanekę dziewczynie, która leżała obok jego nóg. Szkło wysunęło się z jej ręki na dywan.

- Kibic, powiedz o bękartach - poprosiła sennym głosem.

- Nie o bękartach! - zaprotestował chłopak w białym golfie. -  
Powiedz początek „Skowytu”.

Kibic, chudy i brudny, o dziko płonących oczach, mruknął niechętnie:

- „Skowyt” to przeszłość. Cały Ginsberg to przeszłość. I Carl Solomon. Nie ma o czym mówić.

- To mów o bękartach - upierała się znów dziewczyna.

Kibic przymknął powieki, odchrząknął. Potem zaczął:

-...Bo jesteśmy swingujące bękarty i płoniemy, płoniemy, tworzymy, tworzymy nasz własny osobisty byt, a Płonący Dean odszedł, Grace Slick nie umrze nigdy...

- Opuściłeś cały środek! - wykrzyknął któryś.

- Zapomniałem - Kibic zwiesił głowę, wódka odbijała mu się

fermentem.

Z kąta uniósł się na kolana inny chłopak, miał twarz całą w krostach, nosił pseudonim Skaza. Wyciągnął ręce, rozłożył je szeroko i zaczął recytować niskim, matowym głosem:

- „Ruszmy w szarych burych brunatnych brązowych ziemistych matczyńskich opończach habitach sukniach płaszczach boso rozumiecie będzie granica czasów starego i nowego...”

- Pieprzysz! - zawołał Kibic, któremu wróciła pamięć. - Słuchajcie. To jest nowe: „Przywiążę cię do krzesła i każę słuchać tego tak Doorsów trzy doniczki wyciągnięta ręka Donalda *you must smoke very little* Zepuś potuptaj sobie tylko nie w stronę doniczki zwierzęta muszą być normalne a niech tam Zepuś będzie moim panem a jak nie ty to jakaś małpa...”

Urwał, zdyszany i spocony, wilgotne włosy przylepiły mu się do czoła.

- Genialne - szepnął ten w białym golfie. - Ale moją ideologią jest Ginsberg. W „Skowycie” mam...

- Cicho! - przerwał mu Skaza. I ostrzegawczo podniósł palec do góry. Usłyszeli jakiś szmer przy drzwiach wejściowych. Potem dzwonek: trzy razy krótko, raz długo, dwa razy krótko?

- Swój - odetchnęli z ulgą. Kibic zwłókł się z tapczanu, poszedł otworzyć, po chwili wrócił z chłopakiem w długim damskim brązowym płaszczu i w czerwonych kaloszach. Zaraz je zrzucił, w pokoju powiało brudnymi skarpetkami.

- Kto przyszedł? - spytała jedna z dziewczyn, nie otwierając oczu.

- Błady - odparł Skaza. I podał mu wódkę.

- Co na świecie? - mruknął Mor pytająco. Błady wypił, otarł usta

rękawem i odparł:

- Nic. Szukałem Wraka.

- Znalazłeś? - ożywili się wszyscy.

- Tak. Gdzieś wyjeżdżał.

- Przyniesie? Kiedy przyniesie? Co ma? - posypały się pytania.

Szczesny udawał, że drzemie, ale spod półprzymkniętych powiek przyglądał się przybyłemu. Poczuł, że trafia na ślad. Wrak - kimkolwiek był - miał przyjść i przynieść, a więc narkotyki. Wiedział, że od paru dni całe to grono daremnie ich poszukuje, czekając na dostawcę. Nie było dotąd okazji, aby spytać Mora, kim jest Wrak, jak wygląda, jak często przychodzi.

- Przyjdzie. Za godzinę, dwie. Ma... różne. Nie mówił dokładnie. Jak z forszą?

Sięgnęli do kieszeni, dziewczyny macały po dywanie w poszukiwaniu torebek. Kto co miał, składał na kupkę pod lampą. Blady liczył. Szczesny - miał tu pseudonim Beryl - wyjął dwie setki, dorzucił. Mor bąknął coś, że ma kłopoty, i wstydliwie położył pięćdziesiątkę.

- Starczy - powiedział Blady.

Przycisnął banknoty popielniczką z ciężkiego lanego szkła, położył się obok ciemnowłosej dziewczyny o pseudonimie Maja. Szeptali do siebie i czulili się, a Skaza patrzył na nich z zazdrością. Krościata twarz odstręczała od niego, brzydziła. Chodził do zakładu kosmetycznego i cierpliwie czekał, aż go wyleczą.

Kibic znów zaczął recytować. Był to poemat poświęcony Jimowi Morrisonowi:

-...siedzieliśmy w kucki w spopielonym lesie...

- Odwagi! - wołali, klepiąc się po ramionach - w burdelach rozdawali ostatnie i pierwsze wzloty.

Słuchali, milcząc w jakimś odrętwieniu, tylko tamtych dwoje zajętych było wyłącznie sobą, ale nikt poza Skazą nie zwracał na nich uwagi.

Wreszcie, gdzieś po dwóch godzinach, usłyszeli znowu umówiony sygnał, Szczęśny spojrzeniem porozumiał się z Morem, po czym utkwiał wzrok we drzwiach. Kibic posunął się do takiego szacunku wobec gościa, że przepuścił go przodem.

- Jest Wrak! - szepnęła z radością dziewczyna, leżąca u nóg Szczęśnego. Uniosła się na łokciach, westchnęła z utęsknieniem. - Nie mogliśmy cię znaleźć - poskarżyła się. - Byliśmy tyle czasu bez prochów!

Wrak był szczupły, dość wysoki. Włosy miał jasne, mocno już przerzedzone i przylegające gładko do głowy. W półmroku kapitan nie mógł dobrze rozróżnić jego rysów, dostrzegł tylko, że ma mocno zapadnięte policzki i usta wąskie jak pozioma kreska. Ubrany był w zwykłe, szare spodnie i marynarkę, jasną koszulę z krawatem. Widać nie stosował się do mody, panującej u hippiesów - żadnych bransoletek, łańcuszków, świecidełek, włosy normalnie ostrzyżone.

Rozglądał się uważnie po twarzach, dłużej zatrzymał wzrok na Szczęśnym.

- Kto to jest? - spytał. Głos miał szorstki, urywany.

- To Beryl - odparł Mor. - Przyszedł ze mną.

- Skąd?

- Niedawno jest w kraju. Anglia. Ale mówi po polsku.

Oczy Wraka błysnęły zainteresowaniem.

- *Are you from London?* - zwrócił się wprost do Szczęsnego.

- *No* - odrzekł kapitan lakonicznie. - *From Manchester.*

- *What have you done there?*

- *It's my business.*

Wrak podszedł do niego, przykucnął i przyglądał mu się uważnie. Wtedy Szczęsny zobaczył z bliska chłodne, jasne oczy o zaczerwienionych powiekach i sieć zmarszczek w tej twarzy, która jeszcze przed chwilą wydawała mu się twarzą dwudziestoletniego chłopaka. Zrozumiał, że Wrak ma co najmniej czterdzieści lat i poczuł dreszcz emocji, jak zwykle, kiedy jego nieomylny instynkt mówił mu, że jest na tropie.

- Przywiozłeś coś? - spytał go przybysz. Szczęsny leniwie zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie chciałeś ryzykować?

Zdawało mu się, że w głosie Wraka posłyszał jakby ulgę. Widocznie tamten bał się konkurencji handlowej.

- Mówiono mi, że tu dostanę - odparł oględnie.

- Dobrze ci mówiono.

Wrak podniósł się z lekkim stęknieniem, podszedł do stolika, na którym leżały pieniądze. Odsunął popielniczkę i przeliczył je starannie, śliniąc od czasu do czasu palec. Obserwowali go z napięciem, nie wiedzieli, co przyniósł. Schował banknoty do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyszedł do przedpokoju i przyniósł stamtąd grubą skórzaną teczkę. Zaczął z niej wyjmować pudełka w aptecznych opakowaniach. Niektóre były zagraniczne. Jedno odłożył z powrotem, inne rozdawał, kładąc na wyciągnięte ku niemu dłonie.

Szczęsny śledził jego ruchy, wyężając wzrok, aby dojrzeć napisy na

wieczkach pudełek. Mor robił to samo, zresztą wszyscy nie odrywali oczu od pochylonej postaci Wraka.

- Tobie dać? - zwrócił się do Szczęsnego dostawca.

- Możesz nie - mruknął obojętnym tonem. - Jeszcze mam u siebie kilka fiolek.

- On się dołożył - powiedział Skaza z aprobatą. - Dał dwa czerwonce.

Spojrzeni na Beryla, w ich oczach wyczytał uznanie dla takiego gestu. Wrak uśmiechnął się z zadowoleniem. Zarobił na nowym, lubił takie transakcje.

Kapitan przyglądał się otwieranym pudełkom i liczył w myślach. Wyszło mu, że Wrak - jeżeli brać pod uwagę ceny leków w aptece - utargował tego wieczoru siedemset sześćdziesiąt złotych. Ciekaw był, czy wyłącznie dla siebie, czy też będzie musiał jeszcze z kimś się podzielić.

Handlarz przysiadł obok niego i spytał szeptem:

- Wracasz tam...?

- Za miesiąc, dwa. Bo co?

- Moglibyśmy - zawahał się. Umilkł, rozważał coś w myślach.

Szczęśny wiedział już, o co tamtemu chodzi, ale nie odzywał się. Niech przypuszcza, że mu wcale nie zależy.

- Masz tam jakieś możliwości? - badał Wrak, krążąc ostrożnie dokoła tematu.

- Może - mruknął Szczęśny. Oparł głowę o ścianę, przymknął oczy. Bał się, że zdradzi go ich mocny blask, - wywołany podnieceniem.

- Przerzut się opłaca - rzekł handlarz już rzeczowym tonem. - Ja tu mam coraz większe trudności.

- Trzeba umieć organizować.

Wrak zastanawiał się parę minut, a potem rzekł:

- Mamy zorganizowane. Ale za dużo pośredników, to się nie kalkuluje - zniżył głos. - Potrzebny jest dobry kanał przez granicę. Rozumiesz?

- Nie - odparł Szczęśny obojętnie. -; Polityką się nie zajmuję.

- Idźże, ty! Co ma do tego polityka?

- Mówisz o jakichś kanałach. To trąci wywiadem.

- Głupi! - zniecierpliwił się Wrak. - Kanał przerzutowy narkotyków, nie żadne tam wywiady. No, jeden przywozi tu, do Polski, prochy. Można mu płacić na miejscu W złotych, można nawet w czym innym, znajdzie się. Ja sam... - urwał znowu, jakby czekając na zachętę ze strony Beryła.

- Masz takiego, co przywozi? - spytał kapitan.

- Właśnie, że nie mam. Myślałem, że ty...

- Tylko w dolarach - odparł stanowczym tonem.

- Rzecz jest do omówienia. Kiedy wyjeżdżasz?

- Jeżeli będzie interes, to mogę za tydzień.

- Jak jedziesz przez granicę? Masz paszport?

- Zagraniczny.

- Pokaż!

Szczęśny wolnym ruchem sięgnął do kieszeni spodni, wyjął portfel z pięknej, miękkiej skóry, otworzył. Wrak kątem oka dostrzegł plik zielonych banknotów.

- Obejrzyj sobie - rzekł kapitan, podając mu czarno-złotą książeczkę. Ucieszył się w duchu, że przewidział i to, omówili zresztą postać Beryła bardzo dokładnie, a koledzy z dewizówki zaopatrzyli go we wszystko, co

mogłoby się przydać.

- W końcu, co ty jesteś, Polak czy Anglik? - spytał Wrak, wyraźnie zaintrygowany, oddając mu paszport. Było w nim imię i nazwisko obywatela Johna Crawforda z Manchester wraz z fotografią Szczęsnego już w nowej postaci, oczywiście z nieco uporządkowanymi włosami i w zwyczajnym ubraniu.

- Nie wiem - odparł. - I nic ci do tego.

- Bo po polsku mówisz dobrze. Bez obcego akcentu.

- On jest nasz - przyszedł mu z pomocą Mor. - Daj mu spokój. Mieszka stale w Manchesterze. Jest tam...no, rozumiesz, takim, jak u nas Prorok. Przywódca.

- Ilu was jest? - zaintrygował się handlarz.

- Sześć tysięcy - powiedział Szczęsny z dumą. Miał wielką ochotę roześmiać się.

Wrak umilkł. Tamci zdążyli już sobie zastrzyknąć i leżeli, porzuceni na dywan, przeżywając wizję..

Skaza jak zwykle, dostał torsji i jak zwykle nie zdążył dobiec do łazienki. Kibic charczał, miał zniszczone płuca, które wypluwał po trochu w czasie każdego takiego seansu. Mor kiwał się sennie, miał zawsze przygotowaną fiolkę z witaminą, którą błyskawicznie i niewidocznie dla innych zamieniał i wstrzykiwał sobie z dużą wprawą. Umiał doskonale udawać przeżywanie, nieistnienie i euforię, nie tracąc przy tym nic z obserwacji wszystkiego, co się działo dokoła..

Wrak podniósł się, otrząsał spodnie.

- Idziesz? - spytał Mor i ziewnął.

- Tak. Będziesz tu jutro? - zwrócił się do Szczęsnego. Ten spojrzał na



niego przelotnie i jakby ze znużeniem.

- Mogę - zgodził się łaskawie. - Wieczorem. W dzień śpię.

- Zobaczymy się.

Wyszedł, zatrzaskując drzwi, miały automatyczny zamek. Mieszkanie należało do Skazy. Po śmierci matki został w nim sam, ojciec dawno porzucił rodzinę i wyprowadził się z Warszawy. Skaza żył z tego, co mu przysyłał wuj, zamożny właściciel podstołecznej szklarni. Zobowiązał się on wobec umierającej siostry utrzymywać siostrzeńca tak długo, aż ten otrzyma dobrą pracę. Była to obietnica wysoce lekkomyślna i wuj Skazy do dziś nie mógł jej odzłować, bo chłopak ani myślał robić cokolwiek, mając zapewnione mieszkanie i dwa tysiące miesięcznie.

Kiedy drzwi trzasnęły, Mor zerwał się, podszedł do okna i otworzył jedną połowę.

- Duszo - poskarżył się, chociaż nikt go nie słuchał. Stał przy oknie, wdychając chłodne powietrze październikowej nocy. Stał tak długo, aż bystrymi oczami dostrzegł, że z bramy naprzeciwko wysunął się jakiś cień, który podążył za Wrakiem. Jednocześnie sprzed sąsiedniego domu ruszył cicho szary „Wartburg” i pojechał w tym samym kierunku.

Wtedy Mor zamknął okno, odwrócił się i z powrotem usiadł na tapczanie. Nie patrzył na Szczęsnego, ten jednak wiedział już, że wszystko dzieje się tak, jak zaplanowali.

\*

Na kilka minut przed końcem pracy zadzwonił telefon. Kazimierz Wygodzki podniósł słuchawkę. Znajomy głos zawiadomił go w umówiony sposób, że pragnie spotkania. Wygodzki zastanowił się chwilę i odparł, że przyjdzie wieczorem.

- Nie - sprzeciwił się tamten. - Zaraz po pracy. To pilne.

- Dobrze, więc o osiemnastej - zdecydował i odłożył słuchawkę.

Kwadrans po umówionej godzinie znalazł się przed drzwiami mieszkania, którego główny lokator nosił popularne nazwisko Kowalski i był z zawodu elektrykiem. Miewał od czasu do czasu sublokatorów, z których umiejętnie wyciągał pieniądze, za co tylko się dało. Płacili bez oporu, wiedział o nich zawsze o wiele za dużo.

W judaszu pojawiło się ostrożne oko, potem z tamtej strony szcęknął łańcuch i klucz w zamku. Wygodzki wsunął się do ciemnego korytarza, mówiąc „dzień dobry”, na co usłyszał obojętne burknięcie. Uchylił drzwi do pokoju po prawej stronie i wszedł.

Wrak wyłonił się z szafy, miał tam ukryte przejście do kuchni i bocznymi schodami na ulicę. Za to udogodnienie dokładał gospodarzowi trzysta złotych do normalnej opłaty.

- Co tak późno? - mruknął, niespokojny i zły.

Wygodzki usiadł w fotelu, założył nogę na nogę. Czekala go generalna rozprawa, do której przygotowywał się od dziesięciu dni. Gniew trochę osłabł, wystarczyło jednak zacząć mówić, aby powrócił z dawną siłą.

- Właściwie powinienem tak ci nakłaść po mordzie, żebyś wszystkie zęby zgubił - powiedział cicho. Najostrzejsze dyskusje prowadzili zawsze szeptem, doprowadzając elektryka Kowalskiego do białej gorączki.

Wrak spojrział na niego zdziwiony.

- O co ci chodzi? i

- Zrobiłeś największe głupstwo, jakie tylko można było wymyślić.

Gdybym przypuszczał, że coś takiego załęgnie się w twoim kretyńskim

łbie, tobym ci to zawczasu wybił. Bodaj razem z łbem.

- Ale o co chodzi? - powtórzył handlarz niecierpliwie. Do wymysłów był przyzwyczajony, Wygodzki w tym pokoju nie wysiłał się na uprzejmość.

- O Czertwana.

- Załatwiłem go - odparł Wrak i twarz skurczyła mu się na to wspomnienie, a wargi rozchyliły lekko, ukazując zęby. - Załatwiłem na amen. Teraz mam spokój.

- Ty tępy debil! - Wygodzki bezwiednie podniósł głos, zaraz pohamował się i zniżył go do szeptu. - Czertwan żyje.

- Kłamiesz!

- To idź do fabryki, a przekonasz się. Przestałeś pracować i straciłeś kontakt. Cała załoga wie, że dyrektor żyje, chodzili do szpitala z kwiatami. Żyje i, co ważniejsze, będzie żył. Odzyskał przytomność.

Wrak osunął się na łóżko i wpatrywał się w mówiącego nieruchomym spojrzeniem bladych oczu. Jeszcze nie wierzył.

- Dostał nożem prosto w serce - wybełkotał. - Po takim uderzeniu nikt nie może żyć!

- Ale on żyje. Jak to było?

- Jak było? - zapatrzył się w okno, wrócił myślą do pamiętnej nocy. - Zadzwoniłem gdzieś koło drugiej nad ranem. Wiedziałem, że śpi w tym małym pokoju najbliżej drzwi frontowych, bo mi to mówiłeś. Na schodach było ciemno. Usłyszałem, że wychodzi do przedpokoju. Spytał, kto tam. Odpowiedziałem: „Andrzej”... On nie zapalił światła, do dziś nie wiem czemu, i było tam prawie zupełnie ciemno, tylko trochę światła z jego pokoju. Coś tam jeszcze powiedział, otworzył, odwrócił się plecami. Więc

wtedy uderzyłem. Bardzo mocno, pod lewą łopatkę. Potem uciekłem. Jak to możliwe, że on żyje?

- Po coś to zrobił? Przecież mówiłem ci tyle razy: żadnej mokrej roboty! Mogłeś go stopniowo wykończyć psychicznie, znalazłby się w końcu w zakładzie i miałbyś największą radość, ty mścicielu dla ubogich! A teraz milicja wyłazi ze skóry, żeby cię znaleźć.

Wrak skoczył na równe nogi, twarz mu zbieleła.

- Mnie?! Jak to, mnie?

- Zabójcę Czertwana. Za usiłowanie zabójstwa odpowiada się tak jak za mord. Pójdą krok za krokiem, trop w trop i wreszcie dojdą do ciebie.

Wrak ochłonął trochę, usiadł z powrotem i wytarł dłonią mokre czoło.

- Mnie nie znajdą - odparł twardo. - Mnie mogą najwyżej złapać za ten handel. Ale za tamto? Wykluczone. Żadnych powiązań. Żadnych dowodów. Nikt mnie nie widział. Z jakiej racji taki najniższy, najskromniejszy pracownik „Poksydu”, taki niepozorny sprzątacznik w dziale opakowań miałby zabijać dyrektora! Zresztą... - uśmiechnął się drwiąco - skąd wiesz, czy ktoś nie widział wtedy na podwórzu, jak podszedłeś do samochodu i zamieniłeś pudełko? Jak teraz zaczną szukać, węszyć, rozpytywać, na pewno znajdzie się ktoś, kto cię zapamiętał.

- Nie - powiedział Wygodzki. - Na sekretarza nigdy nie padnie posądzenie. Ja miałem zupełne prawo ruszać teczkę - dyrektora, do mnie się nie przyczepią. Zresztą, już mnie trochę wypytywali. I nic.

- A ta Wanda? Sekretarka? Jeżeli zezna, że była w bufecie pół godziny, nie pięć minut?

- No i co z tego? Zastępowałem ją w sekretariacie. Powiem im, że

nikt nie wchodził do gabinetu Czertwana, on sam ustawił domek z klocków, bo mu się zaczynało mieszać w głowie. Bo już przedtem mylił się w notatkach, gubił je, wpisywał nie te liczby, co trzeba. O tym on wie doskonale. I dlatego można mu śmiało wmówić i tę historię z pudełkiem.

- Poczekaj - Wrak patrzył na niego ze zdumieniem. - Ty mi wcale nie mówiłeś, że te pomyłki i te notatki, to sam Czertwan...

Wygodzki wzruszył ramionami.

- Pewnie, że on sam. Niejeden tak robi, kiedy jest przepracowany. Ale żaden nie bawi się w klocki i nie wsypuje śmieci do pudełka, które ma zawieźć na konferencję u ministra. Zgodziłem się wtedy, jak mnie prosiłeś, żeby zamienić. Po jaką cholere się zgodziłem, nie wiem.

- Ty go nie lubisz.

- Ani lubię, ani nie lubię.

- Kłamiesz. Ty mu zazdrościsz. Wygodzki roześmiał się nieszczerze.

- Czego?

- Stanowiska. Tego, że cię traktuje jak chłopca na posyłki. Nie wiesz, że cię w fabryce nazywają „dyrektorski piesek”?...No widzisz. Myślałem, że wiesz. „Kaziu tu, Kaziu tam. Zrób, załatw, kup, zawieź, przynieś.” I Kaziu załatwia, przynosi, kupuje. Masz przecież wyższe studia. Mógłbyś być na jego miejscu. Dlaczego siedzisz na tym stanowisku? Ja ci powiem, dlaczego. Bo to jest dla ciebie wygodny parawan. Taki użyteczny płaszczyk, pod którym nosisz chamski zawód handlarza. W fabryce, sekretarz pana dyrektora, na państwowej posiadzie, wszystko cacy, któż by śmiał posądzić. A po pracy - brudne pieniądze od chłopaczków, co się szprycują. Duże pieniądze. Warto ryzykować..

- Czego, ty chcesz!? - syknął Wygodzki, mieniając się na twarzy. - Na

morały ci się zebrało?

- Nie. Drażnisz mnie. Jesteś fałszywy. Taki... podwójny. Ja się nie wstydzę tego handlu, ja go lubię, ten gnój, ja w nim siedzę i żyję. A ty, taki ulizany, gładziutki sekretarzyk i ze swego kochanego dyrektorka robi wariata. Ty jesteś gorsza świnia niż ja! - stwierdził ze zdziwieniem. - Ja przynajmniej wiem, dlaczego, to wszystko robię.

Nagle poczuł znużenie, Ogarnęła go apatia. „Czertwan żyje” - myślał uporczywie. Jeszcze nie wiedział, co to dla niego oznacza i jak będzie dalej postępował.

- Aha - przypomniał sobie. - U Skazy jest taki jeden, nowy. Przyjechał z Anglii. Na krótko. Można by z nim pogadać o przerzucie. Coraz trudniej o dostawę, a chłopaki się dopominają. Jemioła czeka od tygodnia, czepia się mnie, że traci, że pójdzie na bazar.

- Skąd się wziął ten nowy?

- Mor go przyprowadził. To pewny gość. Widziałem jego angielski paszport. Dobrze mówi po polsku, chociaż nazwisko ma obce, jakiś John czy Jim. Mam się z nim spotkać za godzinę. Co powiedzieć?

- Spróbuj się dogadać. Ale ostrożnie. Ile chce, co może przywieźć, W jaki sposób. Przecież on może wpaść na cle, musi uzgodnić z tobą, jaką drogą będzie przerzucał. Na niepewne nie możemy zaczynać.

Rozmawiali już teraz jak dwaj zgodni wspólnicy, choć jeszcze przed kwadransiem skakali sobie do oczu. Jeden i drugi myślał przede wszystkim o pieniądzach. Tylko że Wrak miał jeszcze inną sprawę do załatwienia. Od lat.

Wygodzki wyszedł po godzinie, wsiadł do autobusu i pojechał do siebie na Nowogrodzką. Był obserwowany od tygodnia, z czego wcale nie

zdawał sobie sprawy, wywiadowcy pracowali bardzo dyskretnie. Kiedy Wyszedł z bramy domu, gdzie mieszkał Wrak, wiedzieli już, u kogo był i czekali tylko na okazję, aby milicja mogła porozmawiać sobie z elektrykiem Kowalskim. Okazja taka nadarzyła się zaraz po wyjściu Wraka z domu. - Niczego nie spodziewający się gospodarz na widok dzielnicowego szybko skruszał i wyznał z żalem, iż do tej pory nie miał jakoś czasu, aby zameldować swego sublokatora, ale uczyni to zaraz następnego dnia.

- Jak się nazywa pański sublokator? - spytał dzielnicowy.

- Adam Myszak - odparł Kowalski. I dodał: - Bardzo spokojny, miły człowiek.

## **Rozdział 10**

Wrak zadzwonił umówionym sygnałem, otworzył mu jak zwykle Kibic. Towarzystwo było prawie w tym samym składzie, brakowało jeszcze Błatego, który nie mógł przyjść do siebie po wczorajszym szprycowaniu. Handlarz rozejrzał się w półmroku, dostrzegł Szczęsnego i przysiadł obok.

- Pogadamy? - zaproponował. - Zależy nam, żeby szybko to mieć.

Szczęśny obrzucił go znudzonym wzrokiem.

- Kto to: my? - spytał. - Bo mnie nie zależy. Ja mam.

- No, mnie i... znajomemu. Nieważne. Kiedy byś pojechał?

- Dokąd?

- No, do Manchesteru! - zniecierpliwził się Wrak. - Przecież mówiliśmy wczoraj. Nie pamiętasz?

- Wczoraj, to było dawno. I po naszej rozmowie brałem. Dużo. Można potem zapomnieć.

- Cholera z wami! Więc słuchaj. Potrzebna mi jest stała dostawa z Anglii, zresztą skąd chcesz, kilku podstawowych narkotyków. Najbardziej mi zależy na czystej morfinie, heroinie i na locynie. Nie znam tamtejszych nazw, ale wiesz, o co chodzi. Masz angielski paszport, pewnie ważny, bo z nim przyjechałeś, więc mógłbyś obrócić parę razy. Zarobisz.

- Ile?

Wrak wyjął wargi, zamyślił się. Nie wiedział, jaką sumę zaproponować. Nie chciał za mało i nie chciał za dużo. Beryl mógł się potargować, grunt, żeby się zgodził.

- A ile chcesz? - spytał ostrożnie.

- Zależy, za co.

- No, powiedzmy, za morfinę?

- W dolarach. Za heroinę też w dolarach.

- Musiałbym obliczyć. Po ile kupujesz w Anglii? Szczęsny roześmiał się. - Nie odpowiedział.

- Poczekaj - Wrak podniósł się, poszedł do kuchni, zapalił światło i długo na starej kopercie kreślił, mnożył, dzielił, mozolnie zamieniając dolary na złotówki i odwrotnie, aby tylko interes dał dobry dochód. Potem wrócił i podał Szczęsnemu już na czysto przepisany rachunek: tyle za pudełko z dwudziestu fiolkami morfiny, tyle za heroinę, tyle za locynę, którą wykalkulował w złotówkach, bo Beryl nie zastrzegł sobie przy niej dolarów.

Szczęsny wziął kartkę do ręki i schował do kieszeni.

- Czemu schowałeś? - zaniepokoił się handlarz.



- A ty myślisz, że ja nie muszę się namyślić, obliczyć? Ja ryzykuję, więc mnie też musi się interes opłacić.

- Jak będziesz to przewoził przez cło?

- Moja sprawa. Nie bój się.

- Kiedy pojedziesz?

- Bardzo prędko. Jeżeli wyliczę sobie, że mi się opłaci.

- Kiedy mi dasz odpowiedź?

- Jutro.

- Gdzie?

- Gdzie chcesz.

- Najlepiej tu, u Skazy - zdecydował Wrak. Nie chciał przyprowadzać obcego do swojego pokoju, zwłaszcza że po rozmowie z Wygodzkim był trochę zaniepokojony.

- Dobrze.

- Zostaniesz tu do rana?

- Nie, wyjdę. Wrócę... powiedzmy, o dwunastej.

- Gdzie pójdziesz teraz?

Szczesny popatrzał na niego, mrużąc oczy.

- Mieszkam w „Europejskim” - odparł. - Ale ciebie nie chcę tam widzieć. Mógłbyś wszystko zepsuć.

- Rozumiem.

Wrak nie obraził się, zależało mu tylko na zgodzie Beryla. Szczesny podniósł się z dywanu, skinął na Mora, Wyszli razem na ulicę. To nikogo nie zdziwiło, znali się przecież podobno od dawna. Wolnym, niedbałym krokiem szli wąską uliczką, oddalając się od mieszkania Skazy. Po kilku minutach Mor zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, ale kierowca

spojrzawszy na nich splunął ostentacyjnie przez uchyloną szybę i dodał gazu.

- Idiota! - syknął Szczęsny, a Mor wybuchnął śmiechem.

- Świetny facet. Bezbłędnie nas ocenił. Nie zapominaj, co masz na sobie.

- Prawda - przyznał kapitan. - Nie zdążyłem się przyzwycząić. Ale mi się śpieszy, przecież u ciebie czeka ekspert.

- Nagrałeś rozmowę z Wrakiem?

- Tak. Jesteś pewny, że nikt za nami nie idzie?

- Nie. Nikt z tamtego towarzystwa. Czekaj, tam jest postój taksówek.

Wsiedli, odprowadzani ironicznymi spojrzeniami przechodniów. Pojechali do mieszkania Mora, dobrze zakonspirowanego na tyłach Nowego Światu. Czekał tam już na nich pracownik, specjalista od charakteryzacji. Po godzinie przywrócił Szczęsnemu jego normalny wygląd. Zostawił pudełko odżywczego kremu, chroniącego skórę przed pękaniem i łuszczeniem, pożegnał się i poszedł.

O siódmej rano przed dom, gdzie mieszkał Skaza, zajechała milicyjna „Nysa” i radiowóz. Kapitan Szczęsny po cywilnemu, w szarym ubraniu, oraz porucznik Kotowicz i kilku podoficerów w mundurach poszli ostrożnie na górę. Szczęsny zastukał do drzwi umówionym sygnałem. Otworzył Kibic, na wpół przytomny ze snu. Na widok milicji oczy rozszerzyły mu się zdumieniem. Krzyknął, cofnął się, ale kapitan przytrzymał go za rękę.

- Spokojnie! - ostrzegł. - Tylko spokojnie. Milicjanci ujęli ogłupiałego Kibica mocno pod ramiona, sprowadzili ze schodów i umieścili w „Nysie”. Tymczasem obaj oficerowie weszli do mieszkania.

Dziewczyny, Skaza, Blady i chłopak w białym golfie, nie używający pseudonimu - leżeli, pogrążeni w narkotycznym śnie. Pod wpływem głośnej rozmowy, potrząsania za rękę, pierwsza zbudziła się Maja. Przez chwilę przyglądała się bezmyślnie milicjantom, próbując skupić myśli i zrozumieć, co się dzieje dokoła niej. Potem podniosła krzyk, szarpnęła Skazę za ramię. Powoli budzili się inni. Osłupiali, z błędnymi oczami, w wymiętych ubraniach, wytaczali się jak pijacy na schody i trzeba było ich prowadzić, aby nie upadli.

„Nysa” i radiowóz zajęły przed Pałac Mostowskich.

Trochę otrzeźwiała piątkę wytaszczono z wężu, zaprowadzono na górę. Każde z nich zostało umieszczone w innym pokoju, zresztą jeszcze w trakcie jazdy wywiadowcy pilnowali, aby zatrzymani nie porozumiewali się między sobą, choć narkomani jechali przez miasto jak we śnie, przymykając oczy i kiwając się na boki.

- Kogo na początek? - spytał Daniłowicz, który czekał na nich w gabinecie.

- Mor radził, żeby zacząć od Kibica - rzekł Szczęsny. - Najłatwiej puści farbę.

- Co za Mor?... Aha! - zreflektował się major. - Dobrze, dawajcie Kibica. Na którą umówiłeś się z Wrakiem?

- Na dwunastą. Mam cztery i pół godziny czasu. Wszedł Kibic, prowadzony troskliwie przez milicjanta.

Posadzony na krześle, patrzył na nich wciąż tym samym ogłupiałym wzrokiem. Jego chuda, zawsze brudna twarz miała wyraz ogromnego zdumienia.

- Jak pan się nazywa? - spytał major. - Proszę o dowód osobisty.

- Ja - Kibic przełknął głośno ślinę. - Ale dlaczego... doprawdy, przecież ja nic... my nic...

- Nazwisko? - rzucił ostro Szczęsny.

- Koziak Waldemar.

- Adres?

- Marymoncka... - wyciągnął z kieszeni zniszczony dowód osobisty, położył na biurko.

- Czym pan się zajmuje? - pytał z kolei Daniłowicz. Koziak milczał, nerwowo przygryzając wargi.

- Pytałem, czym pan się zajmuje. Pracuje pan gdzieś?

- Chwilowo nie.

- Chwilowo, to znaczy od kiedy?

- Od... ze trzy lata będzie.

- A przedtem?

- Trochę u szwagra, na działce robiłem. Pomagałem.

- Z czego pan żyje?

- Ma... mamusia mi daje. Mieszkam u mamusi.

- Ile pan ma lat?

- Dwadzieścia osiem.

- I mamusia daje jeść. A czym jest ta mamusia, gdzie pracuje?

- W szpitalu. Za salową.

- Jest w szpitalu salową. Ile zarabia?

Koziak nie odpowiedział, zwiesił głowę. Wszyscy w pokoju dobrze wiedzieli, ile może zarobić salowa.

- Panie Koziak, od kiedy pan się szprycuje? - Szczęsny przysiadł tuż przed nim, na brzegu biurka. - Tylko bez lipy. I tak wiemy.

- Ja nic nie używam - obraził się, siąknął nosem.

- Kibic, ja pytam grzecznie: od kiedy się szprycujesz?

Nazwany pseudonimem, Koziak przestraszył się wyraźnie, przybladł. Patrzył na kapitana, mrugając spuchniętymi powiekami.

- Kupujesz od Wraka - ciągnął dalej Szczęsny. - Był u was wczoraj wieczorem i przedwczoraj. Kupujesz ty, Blady, ten w białym golfie, który nie ma pseudonimu, Skaza, Maja i ta ruda. Był z wami Mor i taki nowy, z Anglii... Beryl. Tego też już - mamy - powściągnął śmiech. Nie spuszczał wzroku z Koziaka, który bladł i coraz bardziej, i coraz szerzej otwierał usta ze zdumienia. - Źle recytowałeś ten wiersz, Kibic! Ten o płonących bękartach. Opuściłeś cały środek.

- Nie! - wrzasnął nagle Koziak i zjechał z krzesła na podłogę.

Dostał drgawek, piana osiadła mu w kątach ust. Przywołany lekarz stwierdził wyczerpanie organizmu i tak wyniszczonego chorobą płuc. Dał zastrzyk. Przyniesiono kawę, otrzeźwiony i napojony, Koziak załamał się psychicznie. Rewelacje, które usłyszał od Szczęsnego, rozwiązały mu język.

- Powiem wszystko - zaczął uroczystym tonem - widzę, że macie jakieś tajne urządzenia, które widzą i słyszą na odległość. Co pan chce wiedzieć? - zwrócił się do majora. Na Szczęsnego patrzył z obawą i odsuwał się od niego jak od siły nieczystej.

- Kto to jest Wrak? - major uruchomił magnetofon.

- On się nazywa Miszak. Mieszka u takiego jednego elektryka, Kowalskiego.

- Jak dawno kupujecie od Miszaka narkotyki?

- Gdzieś tak od roku.

- Skąd on je bierze?

- Tego nie wiem. Ale zawsze ma.

- Kto jeszcze wam dostarcza narkotyków?

- Czasem Jemioła. Nazywa się Saszewski, mieszka w Marysinie Wawerskim. Ale najczęściej Wrak.

- Czy Saszewski kontaktuje się z Miszakiem? Razem handlują?

Koziak zawahał się. Nie, żeby nie chciał mówić, ale nie był pewien.

- Chyba nie - rzekł ostrożnie. - Nie widziałem ich razem, Blady wie, z kim Miszak ma kontakt. Jakiś facet, na stanowisku. Ja go nie znam. Miszak raz posłał Bladego na Nowogrodzką, jak był chory.

- A ten facet mieszka na Nowogrodzkiej?

- Tak. Pod siódmym. Blady mówił, że ładnie mieszka.

- Powiedział ci nazwisko?

- Nie pytałem.

Odesłali Koziaka do poczekalni, na jego miejscu zasiadł przed biurkiem Blady, czyli Janusz Biegański, lat dwadzieścia siedem, mieszka z rodzicami.

- I co pan robi, panie Biegański? Z czego pan żyje?

- Na razie jestem u rodziców. Ojciec ma stanowisko w handlu zagranicznym. Nie muszę zarabiać.

- Aha. I nie ma pan żadnego zawodu?

- Studiowałem malarstwo.

- Długo?

- No... semestr. Za ciężko mi było.

- Jak się nazywa ten gość z Nowogrodzkiej pod siódmym?

Zaskoczony i zdezorientowany, powiedział:

- Kazimierz Wygodzki. Dyrektor fabryki „Poksyd”.

- Proszę! - mruknął Szczęsny. - Już dyrektor. Skąd to wiesz?

- No, on tak powiedział. Że jest dyrektorem technicznym czy coś takiego.

- Kiedy u niego byłeś, Blady?

Biegański drgnął, spojrzął na kapitana ze zdumieniem.

- Kto?

- No, ty. Janusz Biegański, czyli Blady. Długo szukałeś wtedy Wraka?

- Skąd pan...? Gdzie... - zająknął się, umilkł.

- Jak nosisz te czerwone kalosze, to myj codziennie nogi, bo ci śmierdzą. Wtedy, jak zdjąłeś i zostałeś w skarpetkach, to nos trzeba było zatykać.

Biegański poczerwieniał aż po korzonki włosów.

- Więc kiedy byłeś u Wygodzkiego?

- Ze dwa tygodnie temu. Nie, zaraz... dokładnie, dziewięć dni.”To znaczy, kiedy Czertwan już był w szpitalu - pomyślał Szczęsny. - Kaziu spodziewa się szybkiego awansu.”

- Będziesz miał niewąski wyrok za napad na tę małą - zaryzykował Daniłowicz. - Który z was pokaleczył jej twarz żyletką?

- To nie ja! - zawołał Blady. - To Ki... znaczy, Koziak, ja tam nie byłem.

- Mamy rysopisy wszystkich trzech. Jeden pasuje do ciebie jak ulał.

- Więc byłem.. Ale ja jej nawet nie dotknąłem.

- Kto był trzeci?

- Pajac. On się nie szprycuje.

- Tamci mówią, że ty byłeś inicjatorem napadu.

- Ja?! - krzyknął Biegański, - Proszę pana, oni łżą. Do mnie Wrak przyszedł i powiedział, że mu zależy. Dał mi prochy za darmo, to miałem nie iść? Ja jej nic nie zrobiłem.

- O co Wrakowi chodziło? Przecież ta mała to jeszcze dziecko.

- A, nie wiem. Mówił, że to córka kogoś, kto mu zrobił kiedyś wielkie świństwo. I że najlepiej się mścić na dzieciach. Jakby nie on, to żaden z nas by tam nie poszedł. On wiedział, że ta dziewczynka będzie wracać od koleżanki. Myśmy do niej nic nie mieli.

- Gdzie był wtedy Andrzej Czertwan?

- Ten... znaczy się, Idol? Ten gówniarz?

- Tak - potwierdził Szczęsny bez wahania.

- Nie było go z nami.

- Za ile sprzedał ci zegarek z czerwoną tarczą?

- To nie mnie! - Biegański pozwolił sobie na wzruszenie ramionami.

- On go dał Wrakowi. Za prochy. I tę kurtkę.

- Ale tyś potem podrzucił zegarek do kieszeni marynarki Idola. Już po napadzie. Koziak nam o tym mówił.

Blady zacisnął wargi z determinacją. Nie odpowiedział.

- Skąd wzięłeś ten zegarek? Przecież był u Wraka?

- Wrak mi kazał - stęknął, wyłamując palce i kręcąc się na krześle, jakby było nabite szpilkami. - Dał zegarek, jak przylecieliśmy do mieszkania Skazy już po wszystkim. Idol tam był. Spał po prochach. Wrak kazał mi włożyć zegarek do jego marynarki. On w ogóle... on go nauczył szprycować się i... i chodzić z nami.

- Wtedy w nocy, na Sandomierskiej - rzekł major - gdyby milicja nie



zjawiała się tak szybko, coście mieli z tą dziewczynką zrobić? Po co ciągnęliście ją do bramy?

Blady opuścił nisko głowę.

- Co Wrak kazał?... No? Gadaj!

- Że... - zamruczał niewyraźnie - no, żeby się z nią pobawić. Że ma już szesnaście lat.

- A ma dwanaście.

W pokoju zapanowała cisza. Oficerowie patrzyli na Biegańskiego, a on pod tymi spojrzeniami kulił się w krześle jak pod uderzeniem pałek.

Potem przyprowadzono krostowatego Skazę, dziewczyny i tego w golfie. W szarym świetle dnia opadła z nich cała tajemniczość, znikł urok pseudonimów, magia recytowanych obłądnych wierszy, filozofia bełkotu. Siedzieli teraz odrętwiali, kryjąc wzrok i zmięte twarze. Tu nie mogli już osłaniać się półmrokiem czerwonej lampy, przeżywać wspólnie kolorowych wizji. Odarci z wszelkiej egzotyki, brudni, ziewający z niewyspania, byli tak bardzo zwyczajni!

\*

Dziesięć po dziesiątej do gabinetu majora wprowadzono Kazimierza Wygodzkiego. Oszczędzono mu milicyjnej asysty w zakładzie pracy, wzywając pilnie do Komendy Dzielnicowej na Mokotowie, skąd dwaj wywiadowcy zabrali go do Pałacu Mostowskich.

Wygodzki nie odzywał się przez całą drogę, nawet nie zapytał o przyczynę tak niecodziennej jazdy. W gabinecie zajął wskazane mu krzesło. Na widok Szczęsnego wydał ironicznie usta i mruknął coś pod nosem.

Daniłowicz postanowił nie bawić się w żadną strategię

dochodzeniową.

- Panie Wygodzki - powiedział - zatrzymaliśmy pana, bo zebrało się już dość dowodów na pańską działalność, mocno skłóconą z kodeksem karnym. Od dłuższego czasu handluje pan środkami odurzającymi wspólnie z innymi, a mianowicie z niejakim Adamem Miszakiem, pseudonim Wrak...

- Chwileczkę! - przerwał mu Wygodzki, ruchem ręki wstrzymując dalsze słowa. - Ja sam wszystko powiem.

- Proszę bardzo - odparł major, trochę zdziwiony. Skinął na Kręglewskiego, który usiadł przy stoliku, aby protokołować zeznania. Szczęsny uruchomił magnetofon.

- Adama Miszaka - zaczął Wygodzki wolno, starannie dobierając słowa - poznałem w lutym tego roku. Przyjechał on wówczas do Warszawy, już nie pamiętam, skąd, i był bez pracy. Szukając jej, trafił do wydziału kadr w „Poksyzdzie”, przypuszczam, że po prostu przez biuro pośrednictwa pracy. Tak się złożyło, że poszedłem akurat do wydziału w jakiejś sprawie i zobaczyłem po raz pierwszy Miszaka. Był w kiepskim stanie fizycznym, wynędzniały i taki jakiś zabiedzony, że zrobiło mi się go żal. Dowiedziałem się, że właściwie nic nie umie i kadry nie chciały go przyjąć. Ale brakowało właśnie sprzątacza w pakowni, przy próbkach polistyrenu i innych tworzyw, więc zaproponowałem, aby zatrudnić tam Miszaka. Acz niechętnie, zgodzili się. Miszak, co zresztą naturalne, poczuł wtedy wobec mnie pewnego rodzaju wdzięczność, która mnie nieco krępowała, bo ją okazywał w fabryce.

- Co to znaczy: okazywał? - spytał major. - Przynosił panu jakieś podarunki?

- Próbowałem, ale nie przyjąłem i stanowczo zaprotestowałem przeciwko tym próbom rewanżu. Wiosną zauważyłem, że Miszak zaczyna gorzej pracować, a kierownik pakowni powiedział mi nawet z przekąsem, że mój podopieczny opuszcza godziny, znikając z fabryki. Zwróciłem Miszakowi na to uwagę. Wtedy odparł, że chciałby mi się z czegoś zwierzyć, ale nie w „Poksydzie”. Przyznam się panom, że wolałem nie pokazywać się z nim w lokalu, powiedziałem więc, żeby do mnie przyszedł do domu. No i wtedy, przez dwie godziny bodaj, opowiadał mi swoją historię, której słuchałem ze zdumieniem i przerażeniem.

Miszak urodził się i mieszkał dłuższy czas w Łokiewicach, takim - małym miasteczku. Nie chcę tu powtarzać wszystkich detali, zabrałoby to za wiele czasu. Krótko mówiąc, miał on tam dziewczynę o imieniu Irena, z którą był zaręczony. Przyjechał jego dawny kolega szkolny, Zbigniew Czertwan, rozkochał Irenę, narzeczeństwo się rozpadło. Od tej pory Miszak, jak twierdzi, zaprzysiął Czertwanowi zemstę. Szukał go najpierw w wojsku, ale tam nie miał dostępu. Potem, w miarę jak mijały lata, szukał już z mniejszą energią, uczucie pomsty osłabło. Nie wiodło mu się jednak w życiu i sądził, że jest to skutkiem owego nieszczęścia. Nic nie skończył, był bez zawodu, ot, taki ludzki wrak. Nagle w „Poksydzie” zobaczył znowu Czertwana. Poznał go podobno od razu.

- Czy dyrektor Czertwan również go poznał?

- Nie. Chyba nie. Wiedziałbym coś o tym. I wtedy, jak mówił Miszak, uczucie zemsty wróciło z całą siłą. To wszystko mi opowiedział, ale nie przywiązywałem wagi do jego słów. Jak się później okazało, było to błędem. Miszak postanowił, że odegra się wpierw na rodzinie Czertwana. Już wtedy, o czym nie wiedziałem - przyjąwszy pseudonim

Wrak - handlował narkotykami i znał środowisko narkomanów i hippiesów. Przez niejakiego Jemiołę-Saszewskiego wciągnął Andrzeja Czertwana do tych ludzi, nauczył zażywania narkotyków. Potem przygotował i opłacił chuliganów, którzy napadli na Basię Czertwan, córkę dyrektora. Wreszcie, pragnąc zakończyć zemstę, zakradł się w nocy do domu, gdzie dyrektor mieszka, podszył się pod Andrzeja i zadał Czertwanowi silny cios nożem. Był przekonany, że zabił.

- Kiedy pan się dowiedział o tych trzech kolejnych aktach zemsty?

- Opowiedział mi to dwa dni temu, chełpiąc się, że zabił Czertwana. Wyprowadziłem go z błędu i, przerażony i oburzony, próbowałem nakłonić, aby sam zgłosił się do milicji. Powiedziałem mu, że poczekam tydzień, a później ja pójdę do komendy i wszystko powiem. Na to on, śmiejąc się, odparł, że wtedy on oskarży mnie o rzekomy handel narkotykami. Mimo to postanowiłem słowa dotrzymać, ale panowie mnie uprzedzili. Oto cała prawda.

Umilkł, poprawił krawat i ze spokojną twarzą czekał na pytania z ich strony. Szczęsny spojrzął na zegarek, było kilka minut po jedenastej. Szybko napisał coś na kartce i podsunął majorowi. Ten przeczytał, skinął głową i rzekł:

- No dobrze. Posiedzi pan sobie teraz w poczekalni, panie Wygodzki, a później porozmawiamy jeszcze raz. To i owo z tego, co pan powiedział, trzeba oczywiście sprawdzić. Na razie dziękuję.

Wyprowadzono dyrektorskiego pieska z gabinetu, a Kręglewski odezwał się z uśmiechem:

- Ale wrabia tego Miszaka! Dałbym głowę, że było inaczej. Jedziesz już, Szczęsny?

- Tak - odparł kapitan. - Muszę tam być z Morem przed dwunastą.
- Chcesz kogoś do pomocy? - spytał major.
- Radiowóz do przywiezienia Wraka. Ale niech stanie parę ulic dalej, wezwę krótkofalówką. Wrak jest podejrzliwy.
- Macie pistolety?
- Mamy. Chyba nie będą potrzebne.

\*

Czekali godzinę, dwie, trzy... Wrak nie przyszedł. Szczęsny nastawił odbiornik i porozumiał się z centralą, pytając, co robić. Wywiadowcy, którzy obserwowali Wraka, tkwili wciąż w jednym miejscu, nie spuszczać oczu z domu, do którego handlarz wszedł poprzedniej nocy. Wczesnym rankiem elektryk Kowalski opuścił mieszkanie i udał się do jakiejś roboty. Jego sublokator dotychczas nie wychylił nosa z domu.

Porozumiawszy się z majorem, Szczęsny postanowił zaskoczyć Wraka w mieszkaniu. Mor znał sygnał, na który tamten otwierał drzwi. Pojechali zwyczajnie, tramwajem, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń, potem kawałek szli pieszo. Radiowóz bez liter MO trzymał się za nimi w przyzwoitej odległości.

Ale na umówiony sygnał nikt im nie otworzył. Próbowali kilka razy, sądząc, że Wrak upił się i śpi, albo też wbrew zwyczajowi zażył jakiś narkotyk. Wreszcie Szczęsny zaniepokoił się.

- Diabli wiedzą, kim jest właściwie ten cały Kowalski i co ich łączy - mruknął. - Wywalamy drzwi!
- Będziesz się tłumaczył - stwierdził raczej, niż zapytał Mor.
- Będę.
- W porządku.

Wyjął z kieszeni misterny przyrząd, pomanipulował przy zamku. Poszło łatwo. Kowalski nie dbał widać o zabezpieczenie swojego dobytku. Ostrożnie uchylili drzwi i weszli do ciemnego, długiego przedpokoju. W mieszkaniu panowała cisza, nikt się nie poruszył, nie spytał, kto tam,

- Może wywiadowcy przegapili - szepnął Mor. Albo tu jest gdzieś drugie wyjście, na tyły podwórza.

- Zobaczymy w tym pokoju, na lewo.

Zajrzeli, pokój był pusty. Spora ilość narzędzi, porozkładane śrubki, kontakty, kawałki kabla sugerowały, że zajmował go właściciel. Skierowali się więc do drugich drzwi, po prawej stronie korytarza.

Wrak leżał na tapczanie w dziwnie skurczonej pozycji, z rozrzuconymi rękami. Zdawało się, że śpi. Ale kiedy zbliżyli się, dostrzegli, że na wpół otwarte oczy mają nie ruchome źrenice, bardzo rozszerzone i w jasnych oczach Wraka niemal czarne. Twarz była sina, skóra na szyi i rękach szarozółta.

Szczesny ujął leżącego za rękę, chcąc wymacać puls.

Była chłodna, prawie zimna. Pochylił się niżej, pociągnął nosem powietrze i cofnął się szybko.

- Cyjanek - powiedział. - To już koniec. Pewnie od paru godzin. Wezwij ambulans.

- Cyjanek? - zdumiał się Mor. - Miał tyle narkotyków, a wybrał taką klasyczną truciznę.

- Może dlatego, że sam narkotyków nie używał? A może nie miał już nic innego.

Mor nastawił krótkofalówkę i powiadomił centralę o tym, co zaszło. Szczesny dojrzał na tapczanie, za ciałem zmarłego, białą kopertę. Włożył

rękawiczki, sięgnął po nią i przeczytał adres.

- Do Komendy Milicji w Warszawie... Ciekawe, czy to rzeczywiście jego pismo.

List był zaklejony. Schował go do kieszeni. Zanim przyjechała ekipa dochodzeniowo-śledcza z lekarzem, zajęli się zbadaniem pokoju. Znaleźli kilka pudełek z morfiną i dwanaście fiolek z jakimś bezbarwnym płynem, bez napisu. Znaleźli też składany sprężynowy nóż i mojkę - żyłkę, oprawioną w kawałeczek drewnianka. W szufladzie stolika przy tapczanie, pod szpargałami i dokumentami osobistymi Miszaka, leżała nieduża, mocno wyblakła fotografia dziewczyny, uśmiechniętej, ślicznej, o pięknych puszystych włosach.

- Irena - stwierdził Szczęsny. - Taka była dwadzieścia parę lat temu.

Mor zajrzał mu przez ramię.

- Fajna babka - rzekł z uznaniem. - To ta Więckowska?

- Tak. Popatrz, chyba kochał ją do dziś.

- No. A ona do dziś nie zapomniała o Czertwanie. Jak to się czasem ludziom nie składa!

Przyjechała ekipa i doktor Stern. Zbadał pobieżnie zwłoki, długo, starannie mył ręce.

- Prawdopodobnie nitrobenzen - odrzekł na pytanie Szczęsnego. - Pachnie tak, jak kwas pruski, gorzkimi migdałami. W wodzie ma smak słodkawy. Piętnaście do dwudziestu kropel, i koniec. Szybkie działanie. Nawet dziąsła są szarozółte i błona śluzowa. Charakterystyczny objaw po zażyciu nitrobenzenu.

\*

„Nazywam się Adam Miszak, pochodzę z Łokiewic. Zdecydowałem

się skończyć ze sobą i chcę milicji wszystko wyjaśnić, aby nie pozostawał bez kary ten, który jest winien podobnie jak ja.

Czertwanowi zaprzysiągłem zemstę. Od bardzo dawna. Jeszcze od szkolnych lat. Dla takich jak on byłem zawsze pokraką, Szczurem (tak mnie nazywali), oferumą, brzydactwem. Jeżeli ktokolwiek z was pojedzie kiedyś do Łokiewic i porozmawia ze starszymi ludźmi, to mu o tym powiedzą.

Powiedzą też o dziewczynie, której imienia nie chcę tu nawet wymieniać, żeby nie było szargane po sądach. Niech wam wystarczy, że Zbigniew Czertwan zmarnował mi życie, rozbił narzeczeństwo, zabrał dziewczynę, aby ją potem rzucić. Marzyłem o tym, aby znalazł się kiedyś w moich rękach. Aby mnie się bał. Abym to ja był górą! Nie on.

Kochałem ją i kocham do dziś dnia. Do chwili śmierci. Były potem lata, że chciałem zapomnieć o niej. Poznawałem różne inne dziewczyny, chciałem się ożenić, mieć dom, dzieci. Nie wiem, co to było ze mną, ale i te rzeczy wszystkie zostały mi odebrane. Chodziłem po świecie jak nie człowiek. Jak nie mężczyzna. A to wszystko przez Czertwana, bo to się na mnie tak odbiło, tamta sprawa z Łokiewic, że straciłem wiarę w siebie. Że w ogóle coś potrafię.

I tak już się stało, że do niczego w życiu nie doszedłem. Owszem, były lata, w których miewałem dużo pieniędzy, bo często handlowałem. Czym się dało. Potem to wszystko traciłem, jakoś tak szło. Ale jeżeli wam ktoś powie, że pracowałem dla Niemców, to kłamstwo. Przysięgam na to, jak stoję przed samą śmiercią.

W styczniu tego roku przyjechałem do Warszawy, bo gdzie indziej deptali mi już po piętach. Nie milicja. Wtedy jeszcze nie. Wspólnicy.



Zresztą, byłem im winien forszę. W Warszawie nawiązałem kontakty z przemytnikami narkotyków. Potem ze Saszewskim-Jemiołą z Marysina. Poznałem go na bazarze, czymś tam handlował. Robiliśmy najpierw trochę przy skórkach króliczych, potem zaczęliśmy sprzedawać prochy. Jemioła powiedział mi, że ma dostawcę w «Poksyzdzie», nazywa się Wygodzki. Skąd ten facet brał narkotyki, nie wiem. Handlowaliśmy więc potem we trójkę, ja przybrałem pseudonim Wrak. Dostarczałem leki Saszewskiemu, on rozprowadzał między łupów. Ale narkotykami się brzydziłem i nie zażywałem.

Kiedyś zaszedłem do Wygodzkiego, a byłem dobrze na bańce. No i wzięło mnie. Jak zaczął ciągnąć za język, wódki dolewać, opowiedziałem mu swoją historię z Czertwanem. Kiedy tak mówiłem, wszystko w pamięci wróciło i znów mnie zaczęło piec, jak dawniej. A wtedy Wygodzki roześmiał się i powiedział, że Czertwan jest jego dyrektorem w fabryce. I że mogę teraz na nim się odegrać. On go nie lubił, więc go nie ochraniał przede mną. Ja myślę, że chciał się dostać na jego miejsce, bo też chemik.

W «Poksyzdzie» były wolne miejsca dla niewykwalifikowanych i przyjęli mnie od razu, jako sprzątacza w pakowni. Obserwowałem odtąd Czertwana, ile razy pokazał się w pobliżu, i tak we mnie narastała na nowo chęć zemsty. Za wszystko. On mnie oczywiście nie poznał po tylu latach, zresztą nie nawijałem mu się na oczy.

A Wygodzki judził, podszczuwał. Raz powiedział mi, że Czertwan ma syna Andrzeja i warto by się na chłopaku odegrać za ojca. To mi się spodobało. Przez Jemiołę wciągnąłem Andrzeja do hippiesów. Później namówiłem paru, aby załatwili córkę Czertwana, Basię. Nie udało się do końca, bo wasi przyjechali radiowozem. Tyle, że wtedy kazałem podrzucić

do marynarki Andrzeja zegarek, który on mi przedtem oddał za prochy. Wyszło potem, że to brat na siostrę napadł, a ja byłem kryty.

Wygodzki zauważył - ale o tym dowiedziałem się od niego później - że Czertwan jest jakiś przepracowany, nerwowy, że gubi ważne papiery, myli się w listach. Więc powiedział mi, że warto by to pociągnąć, zrobić z niego wariata. No i upatrzył taki dzień, w którym Czertwan miał jechać do ministra na konferencję.

Przyleciał do mnie, chciał znaleźć pudełko do próbek. Opowiedział o tym. To był jego pomysł - zamienić pudełko i żeby zamiast próbek były śmiecie. Przygotowaliśmy drugie i czekaliśmy stosownej chwili. Oczywiście, mogło się nie udać. Ale akurat tak się złożyło - diabli nam chyba pomagali - że Czertwana wezwał na górę dyrektor Litwiński. A kierowca wtedy poszedł do bufetu. Wygodzki chciał, żebym to ja podszedł do samochodu, ale nie zgodziłem się. Co innego, jak przy dyrektorskiej teczce kręci się sekretarz techniczny, a co innego zwykły pracownik. No i Wygodzki przyznał mi rację. I poszedł. A ja mam na to świadka... to znaczy, możecie sprawdzić u świadka tej sceny, behapowca fabryki, Śmigielskiego. Jak raz przyszedł do pakowni, potem wyszliśmy razem na podwórze. Samochód, ten czarny «Mercedes» naczelnego, stał na drugim końcu pod budynkiem administracyjnym. Wygodzki otworzył - drzwiczki, pochylony grzebał w teczce. A ja powiedziałem do Śmigielskiego: - To pan sekretarz jedzie z dyrektorem na konferencję? - Śmigielski spojrzał w tym kierunku, i odpowiedział, że nic go to nie obchodzi, niech sobie jedzie. Ale go zobaczył przy wozie, możecie zapytać, on będzie pamiętał.

Potem Wygodzki wrócił na górę, poustawiał w gabinecie Czertwana te klocki na stoliku. Sekretarka była wtedy z pół godziny w bufecie,

rozmawiała z główną księgową, Zalesińską. Możecie - pytać, ona powie, bo sekretarki nie lubi. A Wygodzkiego i tak nikt by nie podejrzewał, bo zawsze dyrektorowi w oczy patrzył i chodził za nim jak pies. Dlatego nazywali go w fabryce: dyrektorski piesek.

Aha, jeszcze były te telefony do Czertwana. To ja dzwoniłem I mówiłem mu, że będzie płacił. Głupi, zapomniał, za co. Potem to mi już wszystko nie wystarczało. Myślałem, że go dostanę gdzieś na hali, najlepiej obok reaktorów. Ale zawsze byli dokoła ludzie. W końcu mnie to tak rozgniewało, że postanowiłem skończyć z nim raz na zawsze. Jednej nocy, kiedy jego syn siedział u Jemioły, właściwie oni teraz siedzą w takim bunkrze pod lasem, tam się zbierają... Więc jednej nocy poszedłem na Ogólną - dwadzieścia trzy. Wygodzki mówił mi kiedyś, że Czertwan śpi w małym pokoju najbliższej wejścia.

Dom nie jest zamykany na noc. Poszedłem schodami na szóste piętro, winda zwykle hałasuje. Ciemno było, nie zapalałem światła. Zadzwoiłem. Usłyszałem, jak zapytał, kto tam. Odpowiedziałem: Andrzej. Nie poznał głosu, bo mówiłem niewyraźnie, tak jakby chłopak był zalany. Otworzył, nie patrzył, kto wchodzi. Odwrócił się plecami. Uderzyłem nożem pod lewą łopatkę. Mocno. Nie miał prawa żyć po takim uderzeniu.

Potem uciekłem schodami. Nikt mnie nie widział. Nie mówiłem o tym Wygodzkiemu, ale on się domyślił, że to ja. Przyszedł do mnie i powiedział: - Czertwan żyje!

Od tej godziny chodziłem jak nieprzytomny. Wiedziałem, że drugi raz już nie potrafię. Niby gadałem jeszcze z Wygodzkim o prochach, o takim jednym nowym hippiesie, co przyjechał z Anglii i mógł nam

dostarczać narkotyki - ale czułem, że to wszystko już jest jakby poza mną. Że mnie właściwie nie obchodzi. Nic mi się w życiu nie udało i ta cała zemsta też nie. Wszystko we mnie wygasło i skończyło się.

Mam w domu nitrobenzen, ukradziony kiedyś z fabryki. Wiem, że dwadzieścia kropli wystarczy. Wezmę jednak czterdzieści. Bo i to ostatnie w moim życiu może mi się nie udać. Jak wszystko.

\*

Szczęśny wszedł do separatki i od progu napotkał przytomne oczy Czertwana. Dyrektor leżał wciąż nieruchomo, ale mógł już mówić i obawa o życie minęła.

Kapitan usiadł na brzegu łóżka, pielęgniarka jeszcze raz przypomniała, że pacjent ma się oszczędzać, i wyszła. Wtedy Szczęśny, opuszczając drastyczniejsze momenty, opowiedział, co zaszło. Czertwan słuchał z uwagą, nie odrywając od niego oczu. Po twarzy jego przebiegał chwilami wyraz zdumienia, niedowierzania, to znów rozżalenia.

- Nie mogę uwierzyć! - rzekł, kiedy kapitan skończył. - Ten mały Miszak, ten Adaś... rzeczywiście nazywaliśmy go Szczur, bo miał taki szczurzy pyszczek. W gruncie rzeczy nawet lubiliśmy go, tylko w chłopcach w tym wieku siedzi czasem jakaś złośliwa chęć natrząsania się z niedorajdy, jakim on był. A Irena... mój Boże, nawet nie pamiętam dziś, jak wyglądała. To był taki przelotny romans, zwykła przygoda. Na pewno nie traktowałem tego serio. Miszak mnie podobno później szukał przez jakiś czas, mówili mi w wojsku, ale nie zdawałem sobie sprawy, o co mu chodzi. Oczywiście, nie poznałem teraz jego głosu w telefonie... Tyle lat! Ale co za podłość, żeby mścić się na dzieciach.

- Są ludzie - rzekł Szczęśny ostrożnie, aby nie zdenerwować chorego

- którzy latami pamiętają krzywdę. Bo pan go skrzywdził, panie Zbigniewie. Może nieświadomie, ale jednak. Trzeba było zrozumieć, czym dla tego pokraki, jakęście go nazywali, była perspektywa małżeństwa z ładną dziewczyną. Założmy nawet, że wyszłaby za niego dla pieniędzy. Ale byłby jej mężem, choćby na krótko. Choćby przez rok.

Czertwan przymknął oczy i leżał czas jakiś, rozważając te słowa. Wreszcie odparł:

- Może ma pan rację. Cóż, Miszak skończył sam ze sobą, trudno nas teraz sądzić, choć gdybym przypuszczał... Ale Wygodzki! A ja mu tak wierzyłem. - Pomyślał chwilę i dodał: - Stankiewicz miał wtedy rację. On nie uwierzył w tę historię z klockami. Że to ja sam... Dzięki Bogu, wyjaśniło się i to. Proszę mi jeszcze powiedzieć, bo od dawna o tym myślałem, co to właściwie było z doktorem Sechną?

- Cóż, Sechno był kiedyś narkomanem. Nie ze swojej winy, chorował ciężko i w szpitalu dawali mu morfinę. Wpadł w nałóg. Potem zdobył się na ogromny wysiłek woli i odzwyczaił się sam, kosztem zmagania z własnym organizmem. Pozostał mu jednak uraz. Odtąd ilekroć ktoś przy nim zaczynał mówić o narkotykach, Sechnie zdawało się, że tamten robi to umyślnie, aby mu przypomnieć. No i wpadał w okropne rozdrażnienie. Później była jeszcze pewna sprawa sądowa, w której nadesłano anonim, oskarżając Sechnę o handel narkotykami. To była nieprawda, ale jeszcze bardziej pogłębiło to jego uraz.

- Tak, rozumiem. Wracając do Miszaka. Jak sobie pomyślę, to on się jednak dobrze na mnie odegrał. Andrzej... potem Basia, gdyby nie pańscy koledzy, nie chcę myśleć, co by się z nią stało. No i teraz ja. Może czeka: mnie renta inwalidzka? Może już nie będę zdolny do żadnego wysiłku...

- Z Andrzeja będzie jeszcze normalny, uczciwy człowiek. Basia rośnie zdrowo, już jej nikt nie zagraża. A pan... no cóż, sporo pan zapłacił, ale jest pan jeszcze młody, dyrektorze! Zresztą, czy naprawdę musi pan być całe życie dyrektorem?